

# Sodoma i Gomora, część druga, tom pierwszy





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

MARCEL PROUST

W POSZUKIWANIU STRACONEGO CZASU

# *Sodoma i Gomora*

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

# CZĘŚĆ DRUGA, TOM PIERWSZY

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Charlus w towarzystwie. — Lekarz. — Fizjonomia pani de Vaugoubert. — Pani d'Arapajon, wodotrysk Huberta Robert i wesolość Wielkiego księcia Włodzimierza. — Pani d'Amoncourt, de Citri, pani de Saint-Euverte, etc. Ciekawa rozmowa Swanna z księciem Gilbertem. — Albertyna przy telefonie. Wizyty przed moim drugim i ostatnim pobylem w Balbec. — Przybycie do Balbec. — Wahania serca.*

Ponieważ nie było mi pilno na wieczór u księstwa Gilbertów, zwłaszcza przy niepewności czy jestem proszony, stałem beczynnym na dworze; ale letni dzień, tak samo jak i ja, nie kwapił się ruszyć z miejsca. Mimo iż było już po dziewiątej, wciąż jeszcze dawał luksorskiemu obeliskowi na placu Zgody odcień różowego nugatu. Potem zmienił jego barwę, przeobrażając go w jakiś metal, tak że obelisk stał się nietylko cenniejszy, ale wydawał się jakby smuklejszy i prawie giętki. Miało się wrażenie, że możnaby go skrócić w rękę, że już może lekko wygięto to cacko. Księżyc wyglądał teraz na niebie niby ćwiartka pomarańczy, delikatnie obranej, mimo że trochę napoczętej. Ale niebawem miał się zmienić w najtwardsze złoto. Przycupnięta za nim, biedna mała gwiazdka służyła za jedyną towarzyszkę samotnej Lunie, gdy ta, osłaniając przyjaciółkę ale śmieiej sunąc naprzód, wznosiła jak nieodpartą broń, jak wschodni symbol, swój duży i cudowny złoty sierp.

Przed pałacem księżnej Marii de Guermantes spotkałem księcia de Châtellerault; nie pamiętałem już, że pół godziny temu prześladowała mnie obawa — mająca mnie zresztą niebawem znów ogarnąć — że przychodzę nie zaproszony. Człowiek niepokoi się, i często w długi czas po niebezpieczeństwie, zapomnianem dzięki roztargnieniu, przypomina sobie swój niepokój. Przywitałem się z młodym księciem i wszedłem do pałacu. Ale tutaj trzeba mi zanotować drobną okoliczność, pozwalającą zrozumieć fakt, który opiszę niebawem.

Był ktoś, kto tego wieczora (jak i poprzednich dni) dużo myślał o księciu de Châtellerault, nie domyślając się zresztą kim jest. Człowiekiem tym był szwajcar (nazywało się go w owej epoce „l'aboyeur”) księżnej Gilbertowej. Pan de Châtellerault, nie należący do najbliższych księżnej Marii — mimo że zresztą jej kuzyn — miał być w jej salonie pierwszy raz. Rodzice jego, poróżnieni od lat dziesięciu z księżną, pogodzili się z nią od dwóch tygodni, a nie mogąc tego wieczora być w Paryżu, polecili synowi aby ich reprezentował. Otóż, na kilka dni przedtem, kamerdyner księżnej Marii spotkał na Polach Elizejskich młodego człowieka, który go oczarował, ale którego tożsamości nie zdołał ustalić. Młody człowiek okazał się równie miły jak hojny; wszystkie fawory, których kamerdyner gotował się użyczyć tak młodemu paniczowi, przypadły, wręcz przeciwnie, w udziale jemu samemu. Ale pan de Châtellerault był równie płochliwy jak nieostrożny; nie miał żadnej ochoty zdradzać swego incognito, nie wiedząc z kim ma do czynienia; a gdyby wiedział, strach jego — mimo że nieuzasadniony — byłby jeszcze o wiele większy! Udawał tedy poprostu Anglika, i na wszystkie namiętne pytania famulusa, pragnącego kiedyś odnaleźć człowieka, któremu zawdzięczał tyle rozkoszy i darów, księżę powtarzał jedynie przez całą avenue Gabriel: — *I do not speak french.*

Jakkolwiek, mimo wszystko — z powodu macierzystych parantel kuzyna — księżę Błażej udawał, że znajduje w salonie księżnej Guermantes Baviere coś ze stylu „Courvoisier”, szacowano powszechnie inicjatywę i inteligencję tej damy wedle pewnej inowacji, której nie spotykało się nigdzie indziej w tej sferze. Po obiedzie mianowicie, jakiegokolwiek miały być rozmiary wieczornego rautu, ustawiano u księżnej Marii krzesła w ten sposób, że powstawały małe grupki gości, często odwróconych do siebie plecami. Księżna dawała wówczas wyraz swojej inwencji towarzyskiej, przysiadając się, niby to specjalnie, do którejś z takich grup, dokąd nie lękała się zresztą ściągnąć kogoś z innej grupy. Zwróciwszy naprzykład uwagę pana Detaille — z jego oczywistą aprobatą — na ładną szyję pani de Villemur, siedzącej w innym kółku i odwróconej plecami, księżna nie wahała się rzec głośno: „Pani de Villemur, pan Detaille, wielki malarz, podziwia właśnie pani szyję”. Pani de Villemur pojmowała to jako zaproszenie do rozmowy; ze zręcznością wytrawnej

amazonki obracała z wolna krzesło o trzy czwarte koła i nie deranzując sąsiadów siadała prawie wprost twarzą do księżnej. „Pani nie zna pana Detaille?” pytała pani domu, której nie wystarczyło zręczne i dyskretne wciągnięcie gościa do rozmowy. „Nie znam jego samego, ale znam jego dzieła” — odpowiadała pani de Villemur tonem pełnym szacunku i zachęty, równocześnie, z przytomnością umysłu, którą wielu podziwiała, zwracając niedostrzegalny ukłon w stronę sławnego malarza (mimo iż zainterpelowanie go przez księżnę nie mogło uchodzić za formalną prezentację).

— Niech pan przejdzie do nas, panie Detaille, przedstawię pana pani de Villemur.

Wówczas dama ta rozwijała tyle inwencji w zrobieniu miejsca autorowi *Marzenia*, ile jej okazała przed chwilą w tem aby się zwrócić do niego. I księżna przysuwała sobie krzesło; w istocie zagadnęła panią de Villemur jedynie poto, aby mieć pretekst opuszczenia pierwszej grupy, (spędziwszy w niej przepisowe dziesięć minut) i aby przyznać ten sam okres czasu drugiej grupie. W trzy kwadransie zaszczyciła wszystkie grupy swoją wizytą, za każdym razem jakby wynikłą ot tak, niespodzianie, z upodobań księżnej, ale zwłaszcza mającą uwydatnić swobodę, z jaką wielka dama umie przyjmować.

Ale teraz goście wieczorni zaczęli napływać i pani domu usiadła niedaleko wejścia — wyprostowana i dumna, w majestacie niemal królewskim, z oczami płonącymi własnym żarem — między dwiema brzydkimi księżniczkami krwi i ambasadorką hiszpańską.

Stałem w ogonku za kilkoma osobami przybyłymi przedemną; miałem naprost siebie księżną Marję. Nie sama tylko jej piękność — wśród tylu piękności — utrwaliła mi wspomnienie tej fety. Ale twarz pani domu była tak doskonała, była niby piękny medal, tak iż zachowała dla mnie wartość jakby pamiątkową. Księżna miała zwyczaj mówić do osób, które spotkała na kilka dni przed swoim rautem: „Przyjdzie pan (albo pani), prawda?” tak jakby pragnęła porozmawiać z nimi. Ale ponieważ, przeciwnie, nie miała im nic do powiedzenia, przeto, z chwilą gdy się zjawili przed nią, przerywała jedynie na chwilę, nie wstając, bląhą rozmowę z dwiema księżniczkami krwi i z ambasadorką i dziękowała, mówiąc: „To bardzo ładnie z pana (pani) strony”... Nie aby uważała, że gość, przychodząc, dał dowód uprzejmości, ale aby podkreślić własną uprzejmość; poczem, ciskając go z powrotem w rękę, dodawała zaraz: „Zastanie pan księcia Gilberta u wejścia do ogrodu”, tak że gość szedł zwiedzać i zostawiał ją w spokoju. Niektórym nawet nie mówiła nic, pokazując im poprostu — swoje cudowne onyksowe oczy, tak jakby się przyszło jedynie na wystawę drogich kamieni.

Najbliższą osobą, mającą wejść tuż przedemną, był książę de Châtellerault.

Zmuszony odpowiadać na wszystkie uśmiechy, na wszystkie skinienia dłoni, które płynęły ku niemu z salonu, młody książę nie zauważył kamerdynera; ale ten poznał go odrazu. Za chwilę miał usłyszeć nazwisko, które tak pragnął poznać. Pytając przedwczorajszego „Anglika” jak go ma oznajmić, lokaj był nietylko wzruszony, ale czuł się niedyskretny, niedelikatny. Miał wrażenie, że zdradzi całemu światu (nie domyślającemu się absolutnie niczego) sekret, który ośmiela się oto podchwycić i ogłosić publicznie. Słyszając odpowiedź gościa: „Książę de Châtellerault”, uczuł przypływ takiej dumy, że na chwilę oniemiał. Książę spojrział nań, poznał, uczuł się zgubiony, podczas gdy kamerdyner, który opamiętał się a znał na tyle herbarz aby sam z siebie dopełnić zbyt skromne nazwanie, ryczał z zawodową energią, łagodząc ją puszką sekretnej tkliwości: „Jego Wysokość Jaśnie Oświecony książę de Châtellerault!”

Ale teraz przyszła kolej na mnie. Pogrążony w kontemplacji pani domu, która mnie jeszcze nie spostrzegła, nie pomyślałem o strasznych dla mnie — mimo że na inny sposób niż dla pana de Châtellerault — funkcjach tego kamerdynera, ubranego czarno jak kat, otoczonego zgrają lokajów w najkolorowszych liberjach, tęgich chwatów gotowych chwycić intruza i wyrzucić go za drzwi. Kamerdyner spytał mnie o nazwisko; wymieniłem je równie machinalnie jak skazany na śmierć daje się przywiązać do pieńka. Podniósł natychmiast majestatycznie głowę i zanim mogłem go prosić aby mnie oznajmił niezbyt głośno — celem oszczędzenia mojej miłości własnej w razie gdybym nie był zaproszony, oraz miłości własnej księżnej Gilbertowej w razie gdybym nim był — wyryczał niepokojące zgłoski z siłą zdolną wstrząsnąć sklepieniem pałacu.

Znakomity Huxley (ten, którego bratanek zajmuje obecnie wybitne stanowisko w literaturze angielskiej) opowiada, że jedna z jego pacjentek bała się zjawić w towarzystwie, bo często w fotelu, który jej wskazywano uprzejmym gestem, widziała siedzącego star-



szego pana. Była zupełnie pewna, że bądź uprzejmy gest, bądź obecność starszego pana są halucynacją, bo nie wskazano jej przecie fotela już zajętego! I kiedy, pragnąc ją wyleczyć, Huxley zmusił ją aby poszła na jakieś przyjęcie, miała chwilę przykrego wahania, zadając sobie pytanie czy uprzejmy gest, jakim jej wskazywano krzesło, jest rzeczą realną, lub też czy, ulegając swemu urojeniu, siądzie publicznie na kolanach bardzo realnego jegomościa. Ta chwila niepewności była dla niej czemś bardzo okrutnym; ale moja niepewność była może jeszcze dotkliwsza. Z chwilą gdy usłyszał grzmot swego nazwiska, niby wróżbę możliwego kataklizmu, musiałem (aby stwierdzić bodaj swoją dobrą wiarę, i tak jakby mnie nie dręczyła żadna wątpliwość) posunąć się ze zdecydowaną miną do pani domu.

Spostrzegła mnie, kiedy byłem o kilka kroków, i — co mi już nie zostawiło żadnej wątpliwości iż padłem ofiarą intrygi — zamiast siedzieć w miejscu jak dla innych gości, wstała i podeszła do mnie. W sekundę później, mogłem wydać westchnienie ulgi, niby pacjentka Huxleya, kiedy, zdecydowawszy się usiąść w fotelu, przekonała się że jest wolny i zrozumiała że to starszy pan był halunacją. Księżna wyciągnęła do mnie rękę z uśmiechem. Stała przez chwilę z wdziękiem właściwym stancy Malherbe'a, która się kończy tak:

I ażeby ich uczyć, aniołowie wstają.

Przeprosiła mnie, że księżnej Oriany jeszcze nie ma, tak jakbym ja się musiał nudzić bez niej. Aby się ze mną przywitać, wykonała dokoła mnie, trzymając mnie za rękę, pełen gracji obrót, w którego wir uczułem się porwany. Spodziewałem się niemal, że mi wręczy w tej chwili, niby danserka prowadząca kotyliona, laseczkę z rączką z kości słoniowej lub zegarek z bransoletką. Ale nie dała mi nic, i tak jakby zamiast tańczyć bostona, słuchała raczej przenaświáwszego kwartetu Beethovena, bojąc się zmacić jego podniosłe akcenty, urwała rozmowę — lub raczej nie zaczęła jej — i jeszcze rozpromieniona moim widokiem, uprzedziła mnie jedynie, gdzie się znajduje książę Gilbert.

Oddaliłem się od księżnej i nie śmiałem się już zbliżyć, czując że mi nie ma absolutnie nic do powiedzenia i że, w ogromie swojej dobrej woli, ta cudownie wyniosła i piękna kobieta, szlachetna szlachetnością owych wielkich dam, co tak dumnie niegdyś wstępowały na szafot, mogłaby tylko — nie śmiać mi ofiarować szklanki lemoniady — powtórzyć to, co mi już powiedziała dwa razy: „Zastanie pan księcia w ogrodzie”. Otóż, iść przywitać księcia Gilberta, znaczyło dla mnie czuć odradzające się pod inną formą niedawne obawy.

W każdym razie, trzeba było znaleźć kogoś, ktoby mnie przedstawił. Słysząc było — górującą nad wszystkimi rozmowami — nieustającą paplaninę pana de Charlus, rozmawiającego z J. E. księciem Sidonia, którego baron poznał przed chwilą. Wspólne zawody odgadują się, wspólne wady także. Pan de Charlus i pan de Sidonia z punktu zwięszyli wzajem swoją wspólną wadę, potrzebę nieustającego monologu — przyczem żaden z nich nie cierpiał najmniejszego przerywania. Osądziwszy natychmiast, że — jak powiada słynny sonet — zło jest bez ratunku, postanowili obaj nie milczeć ale mówić, nie troszcząc się o to co może powiedzieć drugi. To spowodowało ów charakterystyczny zgiełk, podobnie jak w komedjach Moliera, gdy kilka osób mówi równocześnie, a każda co innego. Dzięki swemu donośnemu organowi, baron był zresztą pewny, że przygłuszy i pokryje wąty głos pana de Sidonia; ale nie zdołał zniechęcić swego partnera, bo gdy p. de Charlus chwytął na chwilę oddech, wypełniał przerwę szmer granda hiszpańskiego, który niezmaczenie mówił dalej. Byłbym chętnie poprosił pana de Charlus, aby mnie przedstawił księciu Gilbertowi, ale bałem się aż nazbyt słusznie, że baron gniewa się na mnie. Zachowałem się najniewdzięczniejszemu w świecie, pozostając drugi raz głuchy na jego propozycje i nie dając znaku życia od owego wieczoru, kiedy mnie tak serdecznie odwiedził do domu. A przecież scena między Jupienem a baronem, którą widziałem tegoż popołudnia, nie mogła mi służyć wstecz za wymówkę. Nie podejrzewałem nic podobnego. Prawda iż niedawno, kiedy rodzice wyrzucali mi lenistwo i to żem sobie nie zadał jeszcze trudu napisania słówka do pana de Charlus, wypomniałem im gwałtownie, iż chcą, abym przyjął hańbiące propozycje. Ale jedynie gniew, chęć znalezienia zwrotu najprzykrzejszego dla rodziców, podyktowały mi tę kłamliwą odpowiedź. W rzeczywistości nie wyobrażałem sobie nic zmysłowego ani nawet sentymentalnego w propozycjach baro-

na. Rzuciłem to rodzicom jako czysty absurd. Ale czasami przyszłość mieszka w nas bez naszej wiedzy i słowa nasze, myśląc że kłamia, kreślą bliską rzeczywistość.

P. de Charlus byłby mi prawdopodobnie wybaczył brak wdzięczności. Ale moja obecność u księżnej Marji — jak od pewnego czasu moje wizyty u jej kuzynki — przyprawiała go o wściekłość; zdawała się urągać uroczystemu oświadczeniu barona: „Nikt nie dostanie się do tych salonów bez mojej woli”. Popelnilem poważny błąd, zbrodnię może nie do darowania, nie trzymając się uświęconej drogi. P. de Charlus wiedział, że gromy, jakie miotał na tych, co się nie uginali pod jego rozkazami lub mieli nieszczęście obudzić jego nienawiść, zaczynały tracić siłę; zdaniem wielu osób, zmieniały się, mimo wściekłości jaką w to baron wkładał, w gromy teatralne, nie zdolne już wypędzić kogokolwiek skądkolwiek. Ale może sądził, iż jego władza — uszczuplona, ale jeszcze wielka — zachowała swoją moc w oczach nowicjuszków takich jak ja. Toteż nie uważałem za bezpieczne prosić barona o przysługę na tem zebraniu, gdzie sama moja obecność mogła się wydać ironicznym zaprzeczeniem jego pretensyj.

Zatrzymał mnie w tej chwili człowiek dość pospolity, profesor E... Zdziwił się, że mnie spotyka u Guermantów. Ja zdziwiłem się jeszcze bardziej, bo nigdy nie widziano dotąd — i nie ujrano później — u księżnej Marji figur tego rodzaju. Profesor wyleczył niedawno księcia Gilberta, już opatrzonych Sakramentami, z infekcyjnego zapalenia płuc; szczerą wdzięczność księżnej Marji sprawiła, że przełamano zwyczaj i zaproszono lekarza. Ponieważ nie znał absolutnie nikogo w tych salonach a nie mógł krążyć bez końca samotnie niby poseł śmierci, poznawszy mnie, uczuł — po raz pierwszy w życiu — że ma mi niezliczoną ilość rzeczy do powiedzenia, co mu pozwalało nabrać kontenansu. To była jedna z przyczyn, dla których zbliżył się do mnie. Była również i inna. Profesor miał tę ambicję, że się nigdy nie myli w diagnozie. Otóż skorowidz jego klienteli był tak obfity, że nie zawsze przypominał sobie dokładnie (jeśli tylko raz widział chorego), czy choroba poszła tą drogą, jaką on jej wyznaczył. Czytelnik pamięta może, że w chwili ataku babki, zaprowadziłem ją do profesora T... owego wieczora, kiedy sobie kazał przyszywać tyle orderów. Po tak długim czasie nie przypominał już sobie zawiadomienia o śmierci, które mu posłano.

— Szanowna babcia pańska umarła zapewne? — rzekł głosem, w którym zupełna niemal pewność pokrywała lekką obawę. — A! W istocie! Zresztą, od pierwszej minuty kiedy ją ujrzałem, prognoza moja była najzupełniej ujemna, przypominam sobie doskonale.

W ten sposób, profesor E... dowiedział się lub przypomniał sobie o śmierci babki, i muszę to rzec na jego chwałę — zarazem na pochwałę całego ciała lekarskiego — dowiadując się o tem nie zdradził satysfakcji, nie odczuł jej może. Błędy lekarzy są niezliczone. Grzeszą oni zazwyczaj optymizmem co do terapii, pesymizmem co do wyniku. „Wino? w umiarkowanej ilości nie może zaszkodzić; ostatecznie to jest środek tonizujący... Kobiety? Ostatecznie, to jest funkcja organizmu. Pozwalam panu... bez nadużyć, rozumie pan. Nadmiar jest we wszystkim szkodliwy”. I odrazu cóż za pokusa dla chorego, odstąpić od tych dwóch źródeł zdrowia — wody i czystości. W zamian za to, jeżeli chory ma coś w sercu, białko, etc. — oho! nie pociągnie długo. Z zaburzeń poważnych ale funkcjonalnych lekarz chętnie wnosi o nieistniejącym raku. Daremne byłoby odwiedzać chorego, skoro wizyty lekarza nie zdołałyby powściągnąć nieubłaganej choroby. I kiedy chory, pozostawiony samemu sobie, nałoży sobie surowy tryb życia i wyleczy się lub bodaj przetrwa, lekarz, spotkawszy go na *avenue de l'Opéra*, kiedy sądził że on od dawna spoczywa na *Père Lachaise*, dojrzy w ukłonie byłego pacjenta gest drwiącego zuchwałstwa. Wyobraźmy sobie oburzenie prezesa sądu karnego, który dwa lata temu wydał na bandytę wyrok śmierci, a obecnie spotyka go spacerującego najspokojniej! Lekarze (nie mówię tu oczywiście o wszystkich i nie zapominam o wspaniałych wyjątkach) są przeważnie bardziej zirytowani, bardziej podrażnieni naruszeniem ich werdyktu, niż radzi z jego spełnienia. Co tłumaczy, że profesor E..., mimo całego zadowolenia intelektualnego jakie musiał odczuć że się nie omylił, zdołał jednak mówić ze smutkiem o nieszczęściu które nas spotkało. Nie starał się skrócić rozmowy, która mu dawała punkt oparcia, raczej pozostania dłużej w salonie. Mówił o upałach, jakie panowały w tych dniach, ale mimo że odczytany i umiejący się dobrze wysławiać, rzekł: „Czy pan nie cierpi od tej hiper-

termi?” Bo medycyna zrobiła od czasu Moliера pewne postępy w wiedzy, ale żadnego w słownictwie. Doktor dodał:

— Trzeba zwłaszcza unikać sudacji, którą podobny czas powoduje, zwłaszcza w przegrzanych salonach. Może pan temu przeciwdziałać, kiedy pan wróci do domu i będzie pan miał ochotę pić, zapomocą ciepła (co oznaczało oczywiście gorące napoje).

W związku z chorobą na którą umarła babka, przedmiot ten interesował mnie; przeczytałem niedawno w dziele wielkiego uczonego, że pocenie się działa szkodliwie na nerki, usuwając przez skórę materje, które powinny się wydzielać inną drogą. Ubolewałem nad kanikularnym czasem, w który umarła babka i dość byłem skłonny przypisywać mu owo nieszczęście. Nie wspominałem o tem doktorowi E..., ale on rzekł sam z siebie: „Upały powodujące obfite poty, mają tą zaletę, że pocenie się odciąża nerki”. Medycyna nie jest wiedzą ścisłą!

Uczepiwszy się mnie, profesor E... nie miał ochoty mnie opuścić. Ale ja spostrzegłem margrabiego de Vaugoubert: składał właśnie księżnej Marji głębokie ukłony z prawa i lewa, cofnąwszy się uprzednio o krok. P. de Norpois zapoznał mnie z nim niedawno; miałem tedy nadzieję, że znalazł kogoś, kto mnie będzie mógł przedstawić panu domu. Rozmiary tego dzieła nie pozwalają mi wytłumaczyć, naskutek jakich wydarzeń młodości p. de Vaugoubert, jeden z niewielu ludzi „z towarzystwa” (może jedyny), był — jak się to nazywa w Sodomie — „w konfidencji” z panem de Charlus. Ale jeżeli nasz ambasador przy królu Teodozjuszu miał pewne wspólne przywary z baronem, były one jedynie czemś w rodzaju bardzo bladego odbicia. Owe kolejne ataki sympatji i nienawiści, w jakie wprawiała barona chęć oczarowania, a potem obawa — równie urojona — że będzie jeżeli nie shańbiony, to bodaj odkryty, przybierały u p. de Vaugoubert formę nieskończenie łagodniejszą, sentymentalną i głupią. Vaugoubert zdradzał te same wahania, ale były one raczej śmieszne wskutek jego czystości, „platonizmu” (dla którego, będąc nader ambitny, od czasów uniwersyteckich poświęcił wszelką przyjemność), a zwłaszcza wskutek jego nicości umysłowej. Ale gdy baron wybuchał przesadnymi pochwałami z prawdziwym przepychem wymowy i zaprawiał je subtelnym i gryzącym szyderstwem, zdolnym napiętnować na zawsze jego ofiarę, u pana de Vaugoubert sympatja wyrażała się przeciwnie z banalnością człowieka miernego, światowca i urzędnika, a pretensje (zwykle całkowicie urojone, jak u barona) objawiały się niezyczliwością stałą ale wycutą z dowcipu i tem bardziej rażącą, że była zazwyczaj w sprzeczności z tem co ambasador mówił pół roku wprzód i co miał może znów mówić za jakiś czas: ta regularność w zmienności dawała rozmaitym fazom życia pana de Vaugoubert poezję niemal astronomiczną, mimo że pozatem najmniej przypominał gwiazdę.

Uklon, jaki mi oddał p. de Vaugoubert, nie miał nic wspólnego z przypuszczalnym ukłonem pana de Charlus. W powitanie to, p. de Vaugoubert, prócz tysiąca mizdrzeń w jego mniemaniu wielkoświatowych i dyplomatycznych, wkładał jakąś dziarskość, lekkość, uśmiech, tak aby się wydawał z jednej strony zadowolony z życia — wówczas gdy przeżuwał zawody karjery bez przyszłości, pod grozą spensjonowania — z drugiej młody, męski i uroczy. W rzeczywistości nie śmiał już nawet oglądać w lustrze zmarszczek gromadzących się na twarzy, którą pragnąłby zachować pełną pokus! Nie iżby łaknął faktycznych zdobyczy, o których sama myśl przerażała go z przyczyny plotek, skandalów, szantażów. Przeszedłszy od infantylniej niemal rozpusty do bezwarunkowej wstrzemięźliwości, datującej od dnia gdy zamarzył o *quai d'Orsay* i o wielkiej karierze dyplomatycznej, ambasador ów miał minę zwierzęcia w klatce, rzucającego na wszystkie strony spojrzenia pełne strachu, żądzy i otępienia. Pod wpływem tego otępienia ambasador nie zastanawiał się, iż urwisy z czasu jego młodości nie są już smarkaczami, i kiedy gazeciarz krzyczał mu w nos: *La Presse!* p. de Vaugoubert drżał nietyle z żądzy, ile z przerażenia że go poznano i odkryto.

Ale, w braku rozkoszy, poświęconych niewdzięcznemu *quai d'Orsay*, p. de Vaugoubert miał nagle porwy serca — i dlatego pragnąłby się jeszcze podobać. Bóg wie, iloma listami zamęczał ministerstwo, co za chytryści rozwijał, jak wprawiał w ruch stosunki swojej żony (którą, dla jej korpulencji, dla jej wysokiego urodzenia, męskiego wyglądu, a zwłaszcza z przyczyny mierności jej męża, uważano za osobę wybitnie uzdolnioną, za istotnego ambasadora), aby wprowadzić, bez żadnej godziwej przyczyny, jakiegoś młodego człowieka — kompletne zero — do personelu poselstwa. Prawda że w kilka miesięcy

lub w kilka lat potem, wystarczyło aby niewydarzony attaché, bez cienia złej intencji, okazał nieco chłodu swemu szefowi, a już ten, uważając to za wzgardę lub za zdradę, wkładał tę samą histeryczną żarliwość w ukaranie młodzieńca, z jaką wprzód starał się go obdarzyć. Poruszał ziemię i niebo aby odwołano młodego człowieka; wiceminister otrzymywał codziennie list: „Kiedyż mnie wreszcie uwolnicie od tego ciemiegi! Dajcie mu trochę szkoły w jego własnym interesie. Potrzebuje twardej ręki”. Stanowisko attaché przy królu Teodozjuszu było z tego powodu niezbyt przyjemne. Ale we wszystkim innym, dzięki światowemu wyrobieniu, p. de Vaugoubert był jednym z najlepszych przedstawicieli rządu francuskiego zagranicą. Kiedy człowiek rzekomo bardzo zdolny, jakobin i wszechstronnie wykształcony, zastąpił go później, rychło wybuchła wojna między Francją a zaprzyjaźnioną monarchią.

P. de Vaugoubert, jak p. de Charlus, nie lubił witać pierwszy. Obaj woleli odpowiadać na ukłon, bojąc się zawsze plotek, jakie ten, do którego inaczej byliby wyciągnęli rękę, mógł o nich słyszeć od ostatniego widzenia się. Co się mnie tyczy, p. de Vaugoubert nie potrzebował sobie zadawać tego pytania; podszedłem pierwszy, choćby dla różnicy wieku. Odkłonił mi się oczarowany, uszczęśliwiony; oczy jego biegały tak, jakby z każdej strony znajdowała się zabroniona koniczyna. Pomyślałem, że wypadaloby poprosić ambasadora, aby mnie przedstawił pani de Vaugoubert, zanim go poproszę o przedstawienie mnie księciu Gilbertowi. Myśl przedstawienia mnie żonie przyjął z widoczną radością; ucieszył się tem dla siebie i dla niej i powiódł mnie zdecydowanym krokiem do margrabin. Znalazłszy się przed nią i wskazując mnie dłonią i oczyma ze wszystkimi oznakami poważania, stał mimo to niemy; po chwili oddalił się zostawiając mnie z żoną. Dama podała mi rękę, nie wiedząc jednak kogo zaszczyca tą uprzejmością; odgadłem bowiem, że p. de Vaugoubert zapomniał mego nazwiska, może nawet mnie nie poznał, a przez grzeczność, nie chcąc się przyznać do tego, sprowadził akt prezentacji do samych gestów. Toteż nie wiele mnie to posunęło naprzód: jak prosić damę, nieznającą mego nazwiska, o przedstawienie mnie panu domu! Co więcej, trzeba mi było rozmawiać chwilę z panią de Vaugoubert, co mnie męczyło z dwójakiego względu. Nie miałem ochoty zasiadywać się na tej zabawie, bo umówiłem się z Albertyną (dałem jej łóżę na *Fedre*), że przyjdzie do mnie nieco przed dwunastą. Zapewne, nie byłem wcale zakochany w Albertynie; sprowadzając ją tego wieczora, kierowałem się czysto zmysłowem pragnieniem, mimo że było to w skwarnej porze roku, kiedy wyzwolona zmysłowość chętniej nawiedza organy smaku, szukając przedewszystkiem chłodu. Bardziej niż pocałunku młodej dziewczyny, pragnie oranżady, kąpieli, oglądania wreszcie tego obranego ze skórki i soczystego księżycy, gaszącego pragnienie nieba. Bądź co bądź, spodziewałem się przy boku Albertyny — która zresztą przypominała mi chłód fal — wyzbyć się żalów, jakie mi niechybnie zostawi krąg tych uroczych twarzy, bo raut księżnej Marji był przyjęciem zarówno dla panien jak dla mężatek. Z drugiej strony, burbońska i chmurna twarz imponującej pani de Vaugoubert nie miała nic powabnego.

Mówiono mi w ministerstwie, bez cienia dwuznacznej intencji, że w tem małżeństwie mąż nosi spódnicę a żona spodnie. Otóż, było w tem więcej prawdy niż przypuszczano. Pani de Vaugoubert to był mężczyzna. Czy była zawsze taka, czy stała się taką jaką oglądałem, mniejsza; w obu wypadkach miało się do czynienia z jednym z najbardziej wzruszających cudów natury, które — drugi zwłaszcza — upodobniają królestwo ludzkie do królestwa kwiatów. W pierwszej hipotezie — jeżeli przysła pani de Vaugoubert była zawsze tak ciężko *męska* — natura, przez djaboliczną i zbawienną chytryść, daje młodej dziewczynie zwodny wygląd mężczyzny. I młodzieniec, który stroni od kobiet a chce się uleczyć, z radością bierze narzeczoną, przypominającą mu tragarza. W przeciwnym razie, jeżeli kobieta nie ma zrazu cech męskich, nabiera ich stopniowo, aby się spodobać mężowi, bodaj nieświadomie, przez rodzaj mimetyzmu, sprawiającego, iż pewne kwiaty przybierają pozór owadów, które chcą sięgnąć. Żal że nie jest kochana, że nie jest mężczyzną, zmęcza ją. Nawet poza wypadkiem który nas tu zaprzęta, któż nie zauważył, że najnormalniejsze stadła stają się w końcu do siebie podobne, czasem nawet wymieniają swoje przymioty. Były kanclerz niemiecki, książę Bülow, ożenił się z Włoszką. Po dłuższym czasie, zauważono na Pincio, ile germański małżonek nabrał włoskiej subtelności, a włoska księżniczka szorstkości niemieckiej. Aby wyciągnąć ostateczne konsekwencje z praw które kreślimy: każdy zna znakomitego francuskiego dyplomate, którego pocho-



dzenie odbijało się jedynie w jego nazwisku, jednym z najznakomitszych na Wschodzie. Dojrzewając, starzejąc się, odkrył w sobie człowieka Wschodu, którego nigdy się w nim nie podejrzewało, tak iż widząc go, żałuje się że nie nosi fezu, któryby go dopełnił.

Ale wróćmy do bardzo nieznanego obyczajów ambasadora, którego naszkicowaliśmy patryjarchalnie ociężałą sylwetę. Pani de Vaugoubert wcielała nabyty lub praistniejący typ, którego nieśmiertelnym obrazem jest księżniczka Palatynatu. Ta, zawsze w stroju do konnej jazdy, wzięwszy od męża więcej niż męskość, przejąwszy wady mężczyźni nie lubiących kobiet, denuncjuje w swoich plotkarskich listach stosunki, jakie uprawiają między sobą wszyscy magnaci dworu Ludwika XIV. Jedną z przyczyn, podkreślających jeszcze męskość kobiet takich jak pani de Vaugoubert, jest to, że opuszczenie w jakim je pozostawia mąż, wstyd z tego powodu, niweczą stopniowo wszystko co w nich jest kobiece. Nabierają w końcu przymiotów i wad będących przeciwstawieniem charakteru męża. W miarę jak on się robi płochy, zniewieściały, niedyskretny, one stają się niby pozbawionym wdzięku obrazem cnót, jakie powinienby mieć małżonek.

Ślady hańby, zgryzot, oburzenia, kaziły regularną twarz pani de Vaugoubert. Niestety, czułem że patrzy na mnie z zainteresowaniem i z ciekawością, jak na jednego z owych młodych ludzi, którzy się tak podobali panu de Vaugoubert i w których takby się pragnęła wcielić sama, teraz kiedy starzejący się małżonek ciągnął ku młodości. Patrzała na mnie z uwagą owych mieszkanki prowincji, które z żurnalu mój kopiują kostjum *tailleur*, tak „twarzowy” dla ładnej pani na rysunku (w istocie jednej i tej samej na wszystkich stronicach, ale rozmnożonej złudnie w wiele osób dzięki obfitości póz i różnaitości toalet). Organiczny pociąg popychający ku mnie panią de Vaugoubert był tak silny, że ujęła mnie pod ramię, abym ją zaprowadził na szklankę oranżady. Ale uwolniłem się, mówiąc że muszę niedługo iść, a nie przedstawiłem się jeszcze panu domu.

Odległość, dzieląca mnie od wejścia do ogrodu, gdzie książę Gilbert rozmawiał z paroma osobami, nie była zbyt wielka. Ale przejmowała mnie większym strachem, niż gdyby dla jej przebycia trzeba się było wystawić na huraganowy ogień.

Wiele kobiet, które — sądziłem — mogłyby mnie przedstawić, snuło się po ogrodzie, gdzie, udając najwyższy podziw, nie bardzo wiedziały co robić. Zabawy tego rodzaju są zazwyczaj przyjemnością antycypowaną. Nabierają realności bodaj dopiero nazajutrz, kiedy stają się przedmiotem zainteresowania osób, które nie były zaproszone. Prawdziwy pisarz, wolny od głupiej próżności tylu literatów, jeżeli w artykule krytyka zawsze objawiającego dlań najwyższy podziw, widzi cytowane nazwiska miernych autorów a swego nie, nie ma czasu zastanawiać się nad tem ani się temu dziwić: wzywa go jego praca. Ale kobieta światowa nie ma nic do roboty; toteż czytając w *Figarze*: „Wczoraj księstwo Gilbertostwo de Guermantes wydali wielki wieczór etc.” wykrzykuje: „Jak to! trzy dni temu rozmawiałam godzinę z księżną Marją, i nie powiedziała mi nic!” i łamie sobie głowę dochodząc co ona mogła zrobić Guermantom. Trzeba powiedzieć, że co się tyczyło przyjęć księżnej Marji, zdziwienie zaproszonych było czasem równe zdziwieniu niezaproszonych. Bo te fety wybuchały w chwili gdy się ich najmniej spodziewano, i gromadziły ludzi, o których księżna Marja zapomniała przez całe lata. A prawie wszyscy ludzie światowi są tak nieznaczący, że każdy z nich mierzy w swoim sądzie drugich jedynie miarą doznanej uprzejmości; o ile jest zaproszony, kocha ich, o ile jest pominięty, nienawidzi. Co się tyczy pominiętych, jeżeli w istocie zdarzało się księżnej Marji pomijać nawet przyjaciół, płynęło to często z obawy pogniewania „Palamedy”, który ich wyklął. Toteż mogłem być pewny, że księżna nie wspomniała o mnie panu de Charlus, inaczej nie byłoby mnie tam.

Baron stał teraz u wejścia do ogrodu, obok ambasadora niemieckiego, oparty o poręcz paradnych schodów wiodących do pałacu, tak że, mimo trzech czy czterech wielbicielek, które się zgrupowały dookoła niego i prawie go zasłaniały, każdy gość musiał podejść aby się z nim przywitać. I słyszało się kolejno: „Dobry wieczór, panie du Hazay; dobry wieczór, pani de la Tour du Pin-Verclause; dobry wieczór, pani de la Tour du Pin-Gouvernet; jak się masz, Filibert; dobry wieczór, droga ambasadorowo”, etc. Czyniło to ustawiczny szelest, przerywany życzliwymi rekomendacjami lub pytaniami (przyczem baron nie słuchał odpowiedzi), rzucanymi tonem łagodniejszym, sztucznie obojętnym i dobrotliwym: — Niech pani uważa, żeby się córeczka nie przeziębiła, w ogrodzie jest zawsze trochę wilgoci.

Dobry wieczór, pani de Brantes. Dobry wieczór, pani de Mecklembourg. Czy córeczka jest z panią? Czy włożyła swoją uroczą różową sukienkę? Jak się masz, Saint-Geran”.

Z pewnością była w tej postawie pycha; p. de Charlus wiedział, że jako Guermantes odgrywa ważną rolę na tej fecie. Ale była w tym nietylko duma; dla człowieka mającego zmysł estetyczny, samo to słowo *fête* nabierało jakiegoś zbytkownego i niezwykłego odcienia, jaki może ona mieć, gdy się odbywa nie u ludzi „z towarzystwa”, ale na obrazie Carpaccia lub Veroneza. Prawdopodobniejsze nawet jest, p. de Charlus, który był i niemieckim księciem, raczej musiał sobie wyobrazić ucztę z *Tannhäusera*, a siebie samego niby margrafa, znajdującego u wrót Wartburga życzliwe i dobre słowo dla każdego z zaproszonych, gdy ich wejście do zamku lub do parku wita długa, sto razy powtórzona fraza słynnego „Marsza”.

Trzeba się było jednak zdecydować. Widziałem wprawdzie pod drzewami kobiety, z którymi byłem dość blisko, ale zdawały się przeobrażone, ponieważ znajdowały się u księżnej Marji a nie u jej kuzynki i ponieważ widziałem je nie przed talerzem z saskiej porcelany, ale w cieniu kasztana. Elegancja środowiska nie grała w tym roli. Choćby była nieskończenie mniejsza niż u „Oriany”, byłbym tak samo wzruszony. Niech elektryczność zgaśnie w naszym salonie, tak że trzeba ją zastąpić lampą, a wszystko wyda się nam zmienione.

Wyrwała mnie z mojej niepewności pani de Souvré. „Dobry wieczór — rzekła podchodząc do mnie. Czy dawno pan nie widział Oriany?” — Umiała, jak nikt, tego rodzaju słowom dawać intonację, dowodzącą że ich nie wygłasza przez czystą głupotę, jak ludzie którzy, nie wiedząc o czym mówić, zaczepiają was tysiąc razy powołując się na wspólną znajomość, często nader mglistą. Rzuciła mi przeciwnie subtelne i znaczące spojrzenie, które mówiło: „Niech pan nie sądzi, że pana nie poznałam. Pan jest ten młody człowiek, którego widziałam u księżnej Oriany. Poznaję pana doskonale”.

Na nieszczęście, opieka, jaką otaczało mnie to zdanie głupie z pozoru a delikatne w intencji, była nadzwyczaj wątpa i rozwiała się natychmiast, skorom z niej chciał skorzystać. Kiedy chodziło o poparcie czyjejs prośby wobec kogoś potężnego, pani de Souvré umiała równocześnie robić wrażenie w oczach petenta że go poleca, a w oczach wysokiej osobistości, że go nie poleca, tak że ten „dwuwykładny” gest otwierał pani de Souvré kredyt wdzięczności u jednego, w niczem nie obciążając jej konta u drugiego. Jakoż, kiedy, zachęcony uprzejmością damy, poprosiłem ją, aby mnie przedstawiła księciu, skorzystała z chwili kiedy pan domu patrzył w inną stronę, ujęła mnie macierzyńsko za ramiona i uśmiechając się do odwróconej twarzy księcia nie mogącego jej widzieć, pchnęła mnie ku niemu ruchem rzekomo opiekuńczym, rozmyślnie bezskutecznym, zostawiającym mnie w punkcie w którym byłem wprzód. Oto nikczemność ludzi ze „świata”.

Nikczemność innej damy, która podeszła ku mnie aby się przywitać nazywając mnie po imieniu, była jeszcze większa. Mówiąc z nią, siliłem się przypomnieć sobie jej nazwisko: pamiętałem że gdzieś jadłem z nią obiad, pamiętałem jej odezwanie się. Moja uwaga, zwrócona w głąb gdzie mieściły się owe wspomnienia, nie mogła odnaleźć jej nazwiska. Ale było tam. Myśl moja rozpoczęła z niem rodzaj gry, aby pochwycić jego zarysy, literę od której się zaczyna, i aby je oświetlić wkońcu całe. Daremny trud: czułem w przybliżeniu jego masę, ciężar, ale co się tyczy jego form, konfrontując je z mrocznym jeńcem wtulonym we wnętrzną noc, powiadałem sobie: „To nie to”. Niewątpliwie, myśl moja mogłaby stworzyć najtrudniejsze nazwiska. Na nieszczęście, nie miała stworzyć, ale odtworzyć. Wszelka czynność ducha jest łatwa, jeżeli nie jest poddana jarzmu rzeczywistości. Tu, byłem zmuszony się jej poddać. Wreszcie, nagle zjawilo mi się całe to nazwisko: „pani d'Arpajon”. Niesłusznie mówię że „zjawilo się”, bo nie ukazało mi się, jak sądzę, samorzutnie. Nie sądzę również, aby blahe i mnogie wspomnienia, odnoszące się do tej damy i wciąż wzywane przeze mnie na pomoc (w zakłękciach tego rodzaju: „No, przecież to jest owa dama zaprzyjaźniona z panią de Souvré i mająca dla Wiktora Hugo uwielbienie tak naiwne, połączone z takim lękiem i zgrozą”), nie sądzę aby wszystkie te wspomnienia bujające między mną a jej nazwiskiem, pomogły w jakiejkolwiek mierze do jego wyłowienia. W tej wielkiej ciuciubabce, jaka się odbywa w naszej pamięci kiedy chcemy odnaleźć jakieś nazwisko, nie ma stopniowań możliwości. Nie widzi się nic, potem nagle ukazuje się dokładne nazwisko, bardzo odmienne od tego cośmy zgadywali. To nie ono przyszło do nas. Nie, sądzę raczej że w miarę jak żyjemy, oddalamy się od strefy,

w której jakieś nazwisko jest wyraźne; raczej dzięki ćwiczeniu woli i uwagi, które zwiększyło ostrość wewnętrznego spojrzenia, przeniknąłem nagle półmrok i przewidziałem. W każdym razie, jeżeli istnieją przejścia między zapomnieniem a pamięcią, wówczas owe przejścia są nieświadome. Bo prowizoryczne nazwiska, przez które przechodzimy, zanim znajdziemy prawdziwe, są złudne i nie podobne doń ani trochę. To nie są nawet, ściśle mówiąc, nazwiska, ale często proste spółgłoski, których niema w odnalezionym wreszcie nazwisku. Zresztą ta praca ducha, wiodąca od nicości do realności, jest tak tajemnicza, że ostatecznie możliwe jest, że te fałszywe spółgłoski to są źerdki niezręcznie podane, aby nam pomóc uczyć się prawdziwego nazwiska.

Wszystko to — powie czytelnik — w niczem nie objaśnia nam nieużytości owej damy; ale skoro się tak długo nad tem rozwiódł, pozwól, panie autorze, zabrać sobie jeszcze minutę czasu, iżbym panu powiedział, że ubolewania godne jest, abys pan, tak młody (jak pan byłeś, lub jak był pański bohater, o ile on nie jest tobą), już miał tak mało pamięci. Nie móc sobie przypomnieć nazwiska damy, którą pan znał bardzo dobrze! To bardzo przykre, w istocie, panie czytelniku. I smutniejsze niż przypuszczasz, kiedy się w tem czuje zapowiedź czasu gdy nazwiska i imiona znikną z jasnej strefy myśli i kiedy trzeba będzie się wyrzec na zawsze nazwania sobie samemu tych, których się najlepiej znało. To przykre w istocie, aby trzeba było od młodu tyle wysiłku dla odnalezienia nazwiska, które się zna dobrze. Ale gdyby to kalectwo jawiło się jedynie w stosunku do nazwisk ledwie że znajomych, bardzo naturalnie zapomnianych i dla których nie chciałoby się podjąć trudu pamiętania, ułomność ta nie byłaby bez korzyści. „I jakich, proszę?” Takich, proszę pana, że jedynie choroba każe nam spostrzegać i uczyć się i pozwala rozkładać mechanizmy, którychby się bez tego nie poznało. Człowiekowi, który co wieczór pada jak kłoda na łóżko i przestaje żyć do chwili obudzenia się i wstania, czyż przyjdzie kiedy do głowy zrobić, jeżeli nie wielkie odkrycie, to bodaj małe spostrzeżenia dotyczące się snu? Zaledwie wie że śpi. Trochę bezsenności nie jest bezużyteczne dla ocenienia snu, dla rzucenia odrobiny światła w tę noc. Bezzawodna pamięć nie jest zbyt silnym bodźcem do studjowania zjawisk pamięci. „Ostatecznie, czy pani d’Arpajon przedstawiła pana księciu Gilbertowi?” Nie, ale zamilcz i pozwól mi podjąć opowiadanie.

Pani d’Arpajon była jeszcze małoduszniejsza od pani de Souvré, ale małoduszność jej była bardziej usprawiedliwiona. Wiedziała, że zawsze miała mało wpływów w towarzystwie. Wpływy te osłabił jeszcze jej stosunek z księciem Błażajem, a zerwanie tego stosunku przez księcia zadało im ostatni cios. Zły humor, w jaki ją wprowadziła moja prośba o przedstawienie mnie księciu Gilbertowi, objawił się u niej milczeniem, którem chciała naiwnie wyrazić, że nie słyszała tego com mówił. Nie czuła nawet, że mimowoli zmarszczyła brwi z gniewu. A może, przeciwnie, czuła, ale nie troszczyła się o tę sprzeczność i posłużyła się nią, aby, bez zbytnej brutalności, dać mi lekcję taktu — niemą, ale przez to tem wymowniejszą.

Zresztą, pani d’Arpajon była bardzo kwaśna; wiele spojrzeń wznosiło się w stronę renesansowego balkonu, w którego rogu, zamiast monumentalnych posągów, jakimi tak często strojono krużganki w owej epoce, pochylała się, nie mniej posągowa niż one, wspaniała księżna de Surgis-le-Duc, ta co zajęła miejsce pani d’Arpajon w sercu Błażeja de Guermantes. Pod lekkim białym tiulem, chroniącym ją od nocnego chłodu, widać było jej gibkie ciało zrywającej się bogini Zwycięstwa.

Jako jedyny ratunek pozostawał mi już tylko pan de Charlus, który przeszedł z powrotem do sali wychodzącej na ogród. Ponieważ baron udawał, że jest zatopiony w rzekomej partji wista, która mu pozwalała nie okazywać że widzi kogokolwiek, mogłem swobodnie podziwiać świadomą i artystyczną prostotę jego fraka, który, dzięki drobnym szczegółom dostrzegalnym jedynie oku krawca, robił wrażenie czarno-białej „harmonji” Whistlera; czarno-biało-czerwonej raczej, bo p. de Charlus nosił na szerokiej wstążce, przypięty do fraka, biało-czarno-czerwono emaljowany krzyż zakonu maltańskiego.

W tej chwili przerwała baronowi partję pani de Gallardon, prowadząc swego siostrzeńca, wicehrabiego de Courvoisier, ładnego chłopca o impertynenckiej minie.

— Kuzynie — rzekła pani de Gallardon — pozwoli kuzyn, że mu przedstawię mego siostrzeńca Adalberta. Adalbercie, wiesz, to sławny wuj Palamed, o którym tyle słyszałeś.

— Dobry wieczór, pani de Gallardon — odparł Charlus. I dodał, nie patrząc nawet na młodego człowieka: „Witam pana”, z nadętą miną i tonem tak wybitnie niegrzec-

nym, że wszyscy się zdumieli. Może sądząc, że pani de Gallardon ma wątpliwości co do jego obyczajów i że nie mogła sobie odmówić przyjemności zrobienia do nich aluzji, nie chciał jej dostarczyć materiału uprzejmością dla jej siostrzeńca; może chciał publicznie zmanifestować swoją obojętność dla młodych ludzi; może uważał iż rzeczony Adalbert nie potwierdził słów ciotki miną dostatecznie pełną szacunku; może wreszcie, pragnąc później zawrzeć bliższą znajomość z tak sympatycznym kuzynkiem, baron chciał sobie zapewnić korzyści uprzedniej agresji, jak owi monarchowie, którzy przed wszczęciem akcji dyplomatycznej popierają ją akcją militarną.

To aby p. de Charlus ziścił prośbę o przedstawienie mnie, okazało się mniej trudne niż sądziłem. Z jednej strony, w ciągu dwudziestu lat, ten don Kiszot bił się z tyloma wiatrakami (często byli to krewni, o których twierdził, że się źle zachowali wobec niego), tak często wykluczał kogoś — jako „osobę zupełnie niemożliwą” — z zaproszeń do takich czy innych Guermantów, iż ci zaczęli się obawiać, że się poróżnią ze wszystkimi których lubili, że się wyrzekną do śmierci towarzystwa niektórych „nowych” których byli ciekawi, poto aby się solidaryzować z grzmiącymi ale niezrozumiałymi urazami szwagra czy kuzyna, żądającego aby się dlań wyrzec żony, brata, dzieci. Inteligentniejszy od innych Guermantów, p. de Charlus widział, że jego ostracyzmy uwzględniano ledwie co drugi raz; sprzedając tedy przyszłość, bojąc się aby pewnego dnia raczej jego się nie wyrzeczono, zaczął uznawać kompromisy, spuszczać — jak się to mówi — z ceny. Co więcej, o ile zdolny był darzyć na miesiące, na lata, trwałym życiem znienawidzoną istotę — której zaproszenia nie dopuściłby za nic i raczej biłby się jak tragarz bodaj z królową (bo dostojęństwo osoby stawiającej mu opór przestawało dlań wchodzić w rachubę), w zamian za to, wybuchy jego gniewu, ponawiane zbyt często, pozostawały tem samem nieco fragmentaryczne. „Idjota, paskudny błazen! przepędzi się go tam gdzie jego miejsce, wymiecie się go do zlewu, co na nieszczęście nie obędzie się bez szkody dla zdrowotności publicznej”, ryczał baron nawet będąc sam w swoim gabinecie, przy lekturze listu, który mu się wydał nie dość pełen szacunku, lub przypomniawszy sobie jakieś powiedzenie, które mu powtórzono. Ale nowa wściekłość na drugiego „idjotę” rozpraszała poprzednią i byle pierwszy idjota okazał nieco skruchy, najsurowszy sąd o nim szedł w zapomnienie, ile że nie trwał dość długo aby stworzyć grunt pod gmach nienawiści. Toteż — mimo uraz barona do mnie — prośba o przedstawienie mnie księciu Gilbertowi byłaby może odniosła pomyślny skutek, gdybym nie wpadł na nieszczęśliwy pomysł dodania przez skrupuł (aby mnie baron nie mógł posądzić żem tu wszedł na ryzyko, licząc na niego że mi pomoże zostać):

— Pan wie, że ja znam księżstwa bardzo dobrze, księżna Marja była dla mnie bardzo uprzejma.

— Ha, w takim razie, jeżeli pan ich zna, naco panu mojej prezentacji — trzasnął odwracając się plecami i podjął swoją fikcyjną partję z nuncjuszem, ambasadorem niemieckim i jakąś figurą, której nie znałem.

Wówczas z głębi tych ogrodów gdzie niegdyś książę d'Aiguillon chował osobliwe zwierzęta, doszedł mnie, przez szeroko rozwarte okno, odgłos jakby węszenia, które wchłaniało ten cały wykwent i nie chciało zeń nic uronić. Odgłos zbliżał się, skierowałem się na los szczęścia w jego kierunku, tak iż słowa „dobry wieczór”, szepnięte mi w ucho przez pana de Bréauté zabrzmiały nie jak żelazisty i wyszczerbiony dźwięk ostrzonego noża a jeszcze mniej jak pomruk warchlaka, niszczyciela uprawnych pól, ale jak głos możliwego wybawcy. Mniej potężny niż pani de Souvré, ale mniej nieużyty, o wiele swobodniejszy z księciem niż pani d'Arpajon, żywiący może złudzenia co do mojej sytuacji w sferze Guermantów, lub może znający tę sytuację lepiej ode mnie, p. de Bréauté niełatwy był wszelako w pierwszej chwili do ujęcia, bo z drgającymi i rozdętymi nozdrzami zwracał się na wszystkie strony, wybałuszając ciekawie monokl, tak jakby się znajdował wobec pięciuset arcydzieł. Ale usłyszawszy moją prośbę, przyjął ją z zadowoleniem, poprowadził mnie do księcia i przedstawił mnie z łakomą, ceremonialną i wulgarną miną, tak jakby mu podał talerzyk ptifurów, polecając je. O ile wzięcie księcia Błażeja było — kiedy chciał — miłe, koleżeńskie, serdeczne i poufale, o tyle wzięcie księcia Gilberta wydało mi się sztywne, uroczyste, wyniosłe. Ledwie się do mnie uśmiechnął, wygłaszając poważnie: „Witam pana”. Słyszałem często, jak książę Błażej dworował sobie ze sztywności kuzyna. Ale po pierwszych słowach księcia Gilberta, które przez swój chłód i powagę

tworzyły całkowity kontrast ze słownictwem księcia Błażeja, zrozumiałem natychmiast, iż człowiekiem głęboko lekceważącym jest książę Błażej, który cię traktuje od pierwszej wizyty jak kamrata i że z tych dwóch wielkich panów człowiekiem naprawdę prostym jest Gilbert. Ujrzałem w jego sztywności większe poczucie, nie równości, bo to byłoby u niego nie do pojęcia, ale bodaj szacunku, jaki można przyznać niższemu od siebie, jak się to zdarza we wszystkich środowiskach silnie zhierarchizowanych, w sądownictwie na przykład, albo w łonie Fakultetu, gdzie generalny prokurator lub dziekan, świadomi swojej wysokiej godności, kryją może w tradycyjnej dumie więcej istotnej prostoty i — skoro się ich pozna bliżej — więcej dobroci, szczerzej naturalności, serdeczności, niż inni, nowocześniejsi od nich, w filuternej komedji filuternego koleżeństwa. „Czy pan zamierza iść drogą swego ojca”, spytał książę sztywno ale z zainteresowaniem. Odpowiedziałem zwięźle, rozumiejąc że pyta jedynie przez uprzejmość, i oddaliłem się, aby zostawić dostęp nowoprzybyłym.

Ujrzałem Swanna, chciałem z nim mówić, ale w tej chwili spostrzegłem, że książę Gilbert, zamiast przywitać się poprostu z mężem Odety, natychmiast, z siłą pompy ssącej, wciągnął go w głąb ogrodu, zdaniem niektórych osób poto aby go wyprosić za drzwi.

Mimo iż byłem tak roztargniony, że dopiero na trzeci dzień dowiedziałem się z dzienników, iż czeska orkiestra przygrywała cały wieczór i że co minutę zapalano ognie bengalskie, odnalazłem nieco przytomności na myśl, iż ujrzę słynny wodotrysk Huberta Robert.

Na polance okolonej pięknymi drzewami (niektóre były równie stare jak ten wodotrysk), widać go było zdaleka nieco z boku. Smukły, nieruchomy, stężały, kołysał na wietrze swój lekko opadający, blady i drżący pióropusz. XVIII wiek wysubtelnił wykwiłt jego linii, ale, utrwalając styl wytrysku, jakgdyby poraził jego życie; na tę odległość miało się raczej wrażenie sztuki niż poczucie wody. Nawet wilgotna mgła, zbierająca się na szczycie, zachowała charakter epoki, jak chmury gromadzące się na niebie dokoła pałaców Wersalu. Ale z bliska człowiek zdawał sobie sprawę, że, mimo iż szanując pierwotny rysunek niby kamienie starożytnego pałacu, wciąż nowe wody, posłuszne dawnym rozkazom architekta, spełniały te rozkazy dokładnie ale zdając się je gwałcić, ile że dopiero tysiąc ich ulotnych płasów mogło dać na odległość wrażenie jednego rzutu. Ten wytrysk był w istocie równie często przerywany jak mgławica opadu, podczas gdy z daleka wydawał się nieugięty, zbity, ciągły, nieprzerwany. Podszedłszy nieco bliżej, widziało się, że tę ciągłość, na pozór czysto linearną, utrwalal, we wszystkich punktach wzbijania się wodotrysku, wszędzie tam gdzie mógłby się on złamać, równoległy słup wody, wznoszący się wyżej od pierwszego, a sam, na większej i już męczącej dlań wysokości, wsparty trzecim. Z bliska, omdlałe krople opadały ze słupa wody, krzyżując się w przelocie ze swemi biegnącymi w górę siostrami; to znów, rozdarłe, porwane w wir powietrza zmaconego tym ciągłym wytryskiem, bujały zanim wpadły do basenu. Swojami wahaniami, pędem w przeciwnym kierunku, hamowały i zacierały miękką parą prostolinijność i prężność tej lodygi, wznoszącej podłużną chmurę utworzoną z tysięcy kropelek, ale na pozór wymalowaną złożonym i niezmiennym bronzem, która wzbijała się nieflamiwa, nieruchoma, bystra i chybka, łącząc się z obłokami na niebie. Na nieszczęście, podmuch wiatru wystarczał aby ją strącić na ziemię, czasem nawet nieposłuszny strumień wody odszczepiał się i zmoczyłby do szpiku niebaczną i zapatrzoną ciżbę, gdyby się nie trzymała w pełnej szacunku odległości.

Jeden z takich drobnych wypadków, zdarzających się prawie tylko wówczas gdy zrywał się wiatr, był dość nieprzyjemny. Mówiono pani d'Arpajon, że książę Błażej — w istocie jeszcze nieobecny — jest z panią de Surgis w różowej marmurowej galerji, dokąd wiodła podwójna kolumnada, wznosząca się od cembrzyny basenu. Otóż, w chwili gdy pani d'Arpajon miała się zapuścić między kolumny, silny podmuch ciepłego wiatru skrzył wodotrysk i skropił tak dokładnie piękną damę, że woda, ściekając przez dekolt pod suknię, zmoczyła ją naksztal kąpielii. Wówczas, rozległo się przerywane chrząkanie, dość silne aby je mogła słyszeć cała armja, ale przeciągające się chwilami, tak jakby się zwracało nie do całej armji lecz kolejno do każdego oddziału; to Wielki książę Włodzimierz śmiał się z całego serca, widząc prysznic pani d'Arpajon, jedną z najweselszych rzeczy (jak lubił powtarzać później), jakie widział w życiu. Kiedy parę miłosiernych osób zwracało uwagę moskalowi, że słówko współczucia z jego strony byłoby może na miejscu i sprawiłoby przyjemność tej kobiecie, która, mimo swojej dobrej czterdziestki, ocierając się

szalem, nie prosząc nikogo o pomoc, ratowała się mimo wody chlapiącej złośliwie cembrzynę basenu, Wielki książę, który miał dobre serce, uznał za właściwe dopełnić tego obowiązku. Jakoż, skoro się uciszyły ostatnie salwy śmiechu, rozległ się nowy wybuch jeszcze gwałtowniejszy od poprzednich: „Brawo, stara!” — wykrzyknął klaszcząc w ręce jak w teatrze. Pani d'Arpajon nie była rada, że chwalono jej zwinność kosztem jej młodości. I kiedy ktoś, ogłuszony szumem wody, nad którym górował wszelako grzmot Jego Wysokości, rzekł: „Zdaje się, że Jego Wysokość coś mówił do pani? — Nie, to do pani de Souvré” — odparła.

Przebyłem ogród i wróciłem na schody, gdzie nieobecność księcia Gilberta, który znikł ze Swannem, zwiększyła ciżbę gości dookoła pana de Charlus; tak, kiedy Ludwik XIV opuszczał Wersal, więcej osób było u jego brata. Baron zatrzymał mnie w drodze, podczas gdy za mną dwie damy i młody człowiek zbliżali się aby się z nim przywitać.

„Miło mi widzieć pana tutaj”, rzekł podając mi rękę. „Dobry wieczór, pani de la Trémoille, jak się masz, droga Herminjo”. Ale z pewnością wspomnienie tego, co mi powiedział o swojej zwierzchniczej roli w pałacu Guermantes zbudziło w nim, w stosunku do tego co go drażniło ale czemu nie mógł zapobiec, chęć okazania zadowolenia, któremu jego wielkopańska buta i histeryczne podniecenie dały natychmiast formę bezgranicznej ironji: „Miło, ale zwłaszcza zabawnie”. I wstrząsały go wybuchy śmiechu, mające zarazem świadczyć o jego radości i o bezsilności ludzkich słów dla jej oddania.

Tymczasem niektóre osoby, wiedząc jak baron jest nieprzystępny i skłonny do brutalnych wybuchów, zbliżyły się ciekawie, poczem z nieprzyzwoitym prawie pośpiechem brały nogi za pas. — No, niech się pan nie gniewa — rzekł baron, trącając mnie lekko w ramię — pan wie, że ja pana bardzo lubię. Jak się masz, Antjochu; jak się masz, Louis-René. Czy pan już widział wodotrysk? — spytał mnie tonem raczej twierdzącym niż pytającym. To bardzo ładne, prawda? Cudowne! Oczywiście, to mogłoby być jeszcze ładniejsze, gdyby usunąć pewne rzeczy; wówczas nie byłoby nic podobnego we Francji. Ale tak jak jest, to już należy do rzeczy najlepszych. Bréauté powie panu, że źle zrobiono wieszając lampiony; tak powie aby zatrzeć ślad że to on wpadł na ten idjotyczny pomysł. Ale, w sumie, zdołał tylko bardzo niewiele zeszpecić. O wiele trudniej jest zniekształcić dzieło sztuki, niż je stworzyć. Domyślaliśmy się już zresztą potrosze, że Bréauté ma mniej talentu od Huberta Robert.

Wsunąłem się w sznur gości, wchodzących do pałacu.

— Czy dawno widział pan moją uroczą Orianę — spytała księżna Marja, która od niedawna opuściła fotel przy wejściu i z którą wracałem do salonów. — Ma przyjść dziś wieczór, widziałam ją zaraz popołudniu — dodała pani domu. — Przyrzekła mi. Zdaje mi się zresztą, że pan je obiad z nami obiema u królowej włoskiej, w ambasadzie, we czwartek. Będą wszystkie możliwe Wysokości, to będzie bardzo onieśmielające.

Nie mogły w każdym razie onieśmielić księżnej Marji, w której salonach roilo się od książąt krwi i która mówiła „moje małe Koburgi”, tak jakby mówiła „moje pieski”. Toteż księżna Marja mówiła: „To będzie bardzo onieśmielające”, przez czystą głupotę, która u ludzi światowych przewyższa jeszcze ich próżność. O własnej genealogji wiedziała mniej niż lada profesor historii. Co się tyczy przyjaciół, starała się dowieść, że zna przydomki jakie im nadawano. Zapytawszy, czy będę w przyszłym tygodniu na obiedzie u margrabiny de la Pommelière, którą często nazywano „la Pomme”, i otrzymawszy przeczącą odpowiedź, księżna Marja zamilkła na chwilę. Potem, bez żadnej innej racji prócz świadomej chęci popisu mimowolną erudycją, banalnością i zgodnością z duchem stada, dodała: „Dosyć miła jest ta *Pomme!*”.

Podczas gdy księżna Marja rozmawiała ze mną, wkraczali właśnie do salonów księstwo Błazejowie. Ale nie mogłem odrazu podejść do nich, bo mnie złapała w przelocie ambasadorowa turecka. Pokazując mi panią domu, którą dopiero co opuściłem, wykrzyknęła, chwytając mnie za ramię:

— Cóż za rozkoszna osoba, ta księżna Marja! Co za niepospolita istota! Zdaje mi się, że gdybym była mężczyzną — dodała z odrobiną wschodniej uniżoności i zmysłowości — poświęciłabym życie temu niebiańskiemu stworzeniu.

Odpowiedziałem, że jest w istocie uroczą, ale że bliżej znam jej kuzynkę Orianę.



— Ależ nie ma żadnego porównania — rzekła ambasadorowa. — Oriana jest przemiła światowa kobietka, która czerpie swój dowcip od Mémé i od Babala, podczas gdy księżna Marja to jest *ktos*.

Nigdy bardzo nie lubiłem, aby mi tak bezapelacyjnie narzucano, co mam myśleć o znajomych. I nie było żadnej racji, aby ambasadorowa turecka miała o wartości księżnej Oriany sąd kompetentniejszy od mojego.

Z drugiej strony, fakt że mnie ambasadorowa zirytowała, tłumaczy się tem, że wady prostego znajomego, a nawet przyjaciela, są dla nas niby trucizny, przeciw którym jesteśmy na szczęście „zmitrydatyzowani”. Ale, nie siląc się na żaden aparat porównań naukowych, ani wspominając o *anafilaksji*, powiedzmy, że w łonie naszych przyjacielskich lub poprostu światowych stosunków, czai się wrogość, chwilowo uleczona, ale powracająca, napadowa. Zazwyczaj mało się cierpi od tych trucizn, dopóki ludzie są „naturalni”. Mówiąc „Babal”, „Mémé” na oznaczenie osób których nie znała, ambasadorowa turecka zawieszała działanie „mitrydatyzmu”, który zazwyczaj czynił mi ją znośną. Drażniła mnie, co było tem niesprawiedliwsze, że ona mówiła tak nie dlatego aby udawać zazłość z „Mémé”, ale wskutek zbyt pospiesznej edukacji, zalecającej jej nazywać owych szlachetnych panów w sposób, który uważała za krajowy obyczaj. Przeszła kurs w ciągu kilku miesięcy, nie przebywając wszystkich stopni. Ale po zastanowieniu odkryłem, że moja niechęć do towarzystwa ambasadorowej ma inne źródło. Nie dawno temu, u „Oriany”, ta sama dyplomatyczna jejmość oświadczyła mi, że świadomą i poważną miną, że księżna Marja de Guermantes jest jej wręcz antypatyczna. Woląłem nie zastanawiać się nad tą zmianą kursu: wywołało ją zaproszenie na wieczór. Ambasadorowa była całkiem szczerą, powiadając że księżna Marja jest czarująca. Zawsze tak myślała. Ale stale dotąd nie zapraszana do księżnej, uważała za właściwe dać temu brakowi zaproszeń formę dobrowolnej i zasadniczej abstynencji. Teraz, kiedy była w salonie księżnej i prawdopodobnie miała w nim bywać nadal, sympatja jej mogła się wyrazić swobodnie. Dla wytłumaczenia trzech czwartych sądów, jakie ludzie wydają o ludziach, nie potrzeba szukać zawieszonoj miłości ani politycznych zawiści. Sąd buja w powietrzu: zaproszenie lub jego brak przechyla go na jedną lub drugą stronę. Zresztą, ambasadorowa turecka — jak mówiła baronowa de Guermantes, która zrobiła ze mną inspekcję salonów — „dobrze robiła” w towarzystwie. Była zwłaszcza bardzo użyteczna. Prawdziwe gwiazdy światowe zmęczone są występami. Kto ich jest ciekaw, musi często emigrować w drugą hemisferę, gdzie są prawie samotne. Ale kobiety podobne do ambasadorowej ottomańskiej, całkiem świeże w „świecie”, zawsze skore są błyszczeć, aby tak rzec, wszędzie naraz. Są niezmiernie użyteczne dla tego rodzaju spektaklów zwanych wieczorem czy rautem, gdzie raczej kazałyby się zanieść umierające, niżby się tam miały nie pokazać. To są statystki, na które zawsze można liczyć, nie opuszczając żadnej fety. Toteż głupie żółtodzioby, nie wiedząc że to są fałszywe gwiazdy, widzą w nich królowe szyku, podczas gdy trzebaby prawdziwej lekcji, aby im wytłumaczyć, na jakiej zasadzie pani Standish, nieznaną im nawet ze słyszenia i malująca poduszki, zdala od świata, jest co najmniej równie wielką damą jak księżna Doudeauville.

W zwykłych momentach życia, oczy księżnej Oriany były roztargnione i trochę melancholijne; zapalała w nich duchowy płomień jedynie za każdym razem kiedy się miała przywitać z kimś znajomym; zupełnie tak, jakby ów ktoś był jakimś dowcipnym, miłym żartem, smacznym kąskiem, którego smak odbija się na twarzy znawcy subtelnym i radosnym wyrazem. Ale na wielkich przyjęciach, mając za wiele osób do witania, uważała że zbyt męczące byłoby gasić po każdej z nich i za każdym razem światło. Jak miłośnik literatury, idąc do teatru aby oglądać nowość jednego z mistrzów sceny, pewny że nie zmarnuje wieczoru, już oddając rzeczy w szatni dostraja usta do inteligentnego uśmiechu, ożywione spojrzenie do złośliwej aprobaty, tak wchodząc do salonu, księżna Oriana zaświecała oczy na cały wieczór. I oddając wieczorowy płaszcz o wspaniałej czerwieni Tiepolo, odsłaniając istną rubinową obrozę obejmującą jej szyję, zlustrowawszy suknię owem ostatniem, szybkim, szczegółowem i wyczerpującem spojrzeniem krawieckiem, jakim jest spojrzenie światowej kobiety, Oriana sprawdzała blask swoich oczu, tak samo jak blask innych klejnotów.

Daremnie parę „życzliwych języków”, jak p. de Janville, rzuciło się na księcia Błażeja, aby mu nie dać wejść: — Czyż ty nie wiesz, że biedny Mama jest konający? Właśnie był

u niego książd z olejami. — Wiem, wiem — odpowiedział p. de Guermantes, odpychając natręta w przejściu. — Wiatyk wywarł najlepszy skutek — dodał uśmiechając się rozkosznie na myśl o reducie, której był zdecydowany nie chybić po wieczorze u Gilbertów. — Nie chcieliśmy, aby wiadano żeśmy wrócili — rzekła do mnie księżna Oriana. Nie domyślała się, że księżna Marja osłabiła zawczasu to twierdzenie, powiadając, że widziała przez chwilę swoją kuzynkę, która obiecała przyjść. Po długim spojrzeniu, którym przez pięć minut prażył żonę, książę Błażej rzekł: „Powiedziałem Orianie o pańskich wątpliwościach”.

Teraz, kiedy księżna widziała że były nieuzasadnione i że nie potrzebuje nic robić aby je rozprószyć, oświadczyła że były niedorzeczne, żartowała ze mnie długo.

— Cóż za pomysł, przypuszczać, że pan nie był zaproszony! A potem, byłam przecie ja. Czy pan sądzi, że nie potrafiłabym uzyskać dla pana zaproszenia do mojej kuzynki?

Muszę powiedzieć, że księżna robiła później często dla mnie trudniejsze rzeczy; mimo to nie wzięłam tych jej słów w sensie wyrzutu że byłem zbyt oględny. Zaczynałem poznawać ściśłą wartość mówionego lub niemego języka arystokratycznej uprzejmości; uprzejmości szczęśliwej że może nam osłodzić nasze poczucie niższości, ale nie do tego stopnia aby je rozprószyć, bo w takim razie jużby ta uprzejmość nie miała racji istnienia. „Ależ ty jesteś równy nam, o ile nie wyższy”, zdawali się wszystkimi swemi postępkami mówić Guermantowie; i mówili to we wszelki najmiłszy sposób, poto aby ich kochano, podziwiano, ale nie aby im uwierzono. Odgadnąć fikcyjny charakter tej uprzejmości, to oni nazywali „być dobrze wychowanym”; uwierzyć w szczerą uprzejmość, było złem wychowaniem. Otrzymałem zresztą niebawem lekcję, która pouczyła mnie najściślej o rozciągłości i o granicach pewnych form arystokratycznej uprzejmości. Było to na podwieczorku wydanym przez księżnę de Montmorency dla królowej angielskiej; utworzył się tam mały orszak posuwający się do bufetu, na czele zaś kroczyła monarchini, prowadzona pod ręką przez księcia Błażeja. Wszedłem właśnie w tej chwili. Drugą swobodną ręką książę dawał mi, na odległość conajmniej czterdziestu metrów, tysiąc znaków równie przyjaznych jak zachęcających; wyraźnie mówiły one, że mogę się zbliżyć bez obawy aby mnie zjedzono na surowo zamiast sandwichów. Ale ja, który zaczynałem się doskonalić w języku dworów, zamiast się zbliżyć bodaj o jeden krok, z czterdziestu metrów odległości skłoniłem się głęboko, ale bez uśmiechu, tak jakbym miał przed sobą kogoś ledwie znajomego, poczem udałem się dalej swoją drogą w przeciwnym kierunku. Gdybym napisał arcydzieło, mniej by mnie ono podniosło w oczach Guermantów niż ten ukłon. Nie tylko nie uszedł oczu księcia, który musiał przecież odpowiadać na ukłony jakich pięciuset osób, ale i oczu księżnej, która, spotkawszy moją matkę, opowiedziała jej to zdarzenie, bynajmniej nie powiadając że źle postąpił, że powinienem się być zbliżyć. Oznajmiła, że książę zachwycony był moim ukłonem, że niepodobna było zawrzeć w nim więcej rzeczy. Nie przestawano znajdować w tym ukłonie wszystkich przymiotów, nie wspominając wszakże o tym, który wydał się najcenniejszy, to znaczy że był skromny; i nie przestano mi prawić komplementów, które pojąłem nietyle jako nagrodę za przeszłość, ile jako wskazówkę na przyszłość, w rodzaju tych, jakich delikatnie udziela uczniom dyrektor konwiktu. „Nie zapominajcie, drogie dzieci, że te nagrody są nietyle dla was, ile dla waszych rodziców, aby was tu znów umieścili na przyszły rok”. W ten sposób, pani de Marsantes, kiedy ktoś z innego świata wchodził w jej sferę, chwaliła przed nim ludzi skromnych („znajduje się ich kiedy się ich szuka, a pozatem umieją być tak jakby ich nie było”), tak jak służącemu, który nie pachnie, zwraca się w pośredniej formie uwagę, że kąpiel wyborna jest dla zdrowia.

Podczas gdy rozmawiał z panią de Guermantes, zanim jeszcze opuściła się, usłyszałem głos z rodzaju który w przyszłości miałem niemylnie rozpoznawać. Był to, w danym wypadku, p. de Vaugoubert rozmawiający z panem de Charlus. Klinicysta nie czeka aż chory podniesie koszulę, ani nie potrzebuje słuchać oddechu pacjenta: głos mu wystarcza. Ileż to razy później miał mnie uderzyć w salonie akcent lub śmiech jakiegoś człowieka, który wszelako ściśle naśladował gwarę swego zawodu lub formy swojej sfery, przybierając surową dystynkcję lub poufałą rubasność; ale fałsz głosu wystarczał dla mego wycwiczzonego ucha niby widelki stroiciela; i powiadałem sobie: „To jakiś Charlus”.

W tej chwili cały personel jakiejś ambasady przeszedł, kłaniając się panu de Charlus. Mimo że moje odkrycie rzeczony choroby datowało ledwie od tego popołudnia (kiedym

spozrzegł pana de Charlus z Jupienem), nie potrzebowalby dla postawienia diagnozy pytać ani auskultować. Ale p. de Vaugoubert, rozmawiający z p. de Charlus, widocznie nie był pewny. A przecież po wątpieniach wieku młodzieńczego, powinien był już wiedzieć czego się trzymać. Zboczeniec uważa się za jedynego w swoim rodzaju w całym świecie; później dopiero wyobraża sobie — druga przesada — że jedynym wyjątkiem jest człowiek normalny. Ale p. de Vaugoubert, ambitny i płochliwy, nie oddawał się już od bardzo dawna temu, co byłoby dlań rozkoszą. Karjera dyplomatyczna miała na jego życie wpływ równający się wstąpieniu do zakonu. Połączona z pilnością w Szkole nauk politycznych, skazała go, od dwudziestego roku życia, na czystość pierwszych chrześcijan. Toteż, ponieważ każdy zmysł traci swoją siłę i żywotność i zanika kiedy go nie używać, p. de Vaugoubert — tak samo jak człowiek cywilizowany, niezdolny już do ćwiczeń fizycznych oraz pozbawiony sluchu człowieka jaskiniowego — stracił specjalną bystrość, która rzadko zawodziła pana de Charlus; i na oficjalnych obiadach, bądź w Paryżu bądź zagranicą, ambasador nie umiał już nawet rozpoznać tych, którzy pod powłoką uniformu byli w gruncie podobni jemu.

Kilka nazwisk, jakie wymienił p. de Charlus, oburzony kiedy jego samego cytowano dla jego gustów, ale zawsze lubiący demaskować skłonności innych, wprawiły pana de Vaugoubert w rozkoszne zdumienie. Nie aby po tylu latach chciał skorzystać z jakiej gratki. Ale nagle rewelacje (podobne tym, które w tragedjach Racine'a objaśniają Atalję i Abnera, że Joas jest z rasy Dawida, że zasiadająca w purpurze Estera ma krewnych żydłaków), zmieniając wygląd poselstwa X... lub jakiegoś departamentu Ministerstwa spraw zagranicznych, czyniły mu retrospektywnie owe pałace czemś równie tajemniczym jak świątynia Jerozolimska lub sala tronowa w Suzie. Wobec tej ambasady, której młody personel zbliżył się w komplecie, aby uściskać dłoń pana de Charlus, pan de Vaugoubert przybrał zachwyconą minę Elizy, wykrzykującej w *Esterze*:

Nieba! zastęp niewinnych piękności uoczy  
Ze wszech stron przybywając czaruje me oczy.  
Jakże powabna stroi wstydlivość ich twarze!

Następnie, pragnąc być bardziej „poinformowany”, z uśmiechem rzucił panu de Charlus spojrzenie głupio-pytające i pożądliwe zarazem: „Ależ tak, rozumie się”, rzekł p. de Charlus z poważną miną erudyty mówiącego do nieuka. Odtąd, Vaugoubert (co bardzo drażniło pana de Charlus) nie odrywał już oczu od tych młodych sekretarzów, których ambasador mocarstwa X..., stary wyjadacz, dobrał nader starannie. P. de Vaugoubert milczał, widziałem tylko jego spojrzenia. Ale, przyzwyczajony od dzieciństwa używać nawet rzeczom niemym języka klasyków, czytałem w oczach pana de Vaugoubert wiersze, w których Estera tłumaczy Elizie, że Mardocheusz postarał się, przez miłość swojej religii, umieszczać przy królowej jedynie dziewczęta, które tę religję wyznają.

Zapał jego, uczucia wszystkie dzieląc z nami,  
Chciał zaludnić ten pałac Syjonu córami;  
Młode i tkliwe kwiaty, łosem doświadczone,  
Pod niebo cudzoziemskie jak ja przeniesione,  
W miejscu, co od niegodnych oczu leży zdala,  
On (przezacny ambasador) troskliwie hoduje i w cnocie utrwała.

Wreszcie pan de Vaugoubert przemówił inaczej niż oczami:

— Kto wie — rzekł melancholijnie — czy w kraju, gdzie ja rezyduję, nie istnieje to samo.

— To bardzo prawdopodobne — odparł p. de Charlus — zaczynając od króla Teodozjusza, mimo że nie wiem o nim nic pozytywnego.

— Och, wcale nie!

— W takim razie, doprawdy znakomicie to udaje! Ależ się mizdrzy! Ma ten *genre* „moja mała”, rodzaj którego najbardziej nie znoszę. Nie odważyłbym się z nim pokazać na ulicy. Zresztą, musisz mieć o nim wyrobione zdanie, znany jest jak zły szeląg.

— Mylisz się co do niego najzupełniej. Jest zresztą czarujący. W dniu, w którym podpisano ugodę z Francją, król mnie uściskał. Nigdy nie byłem tak wzruszony.

— To była chwila aby mu wyznać to czego pragniesz.

— Och, Boże, co za okropność, gdyby on bodaj podejrzewał! Ale w tym względzie nie mam żadnych obaw.

Usłyszawszy te słowa (bo stałem niedaleko), natychmiast zacytowałem sobie w duchu:

Po dzień dzisiejszy zgoła kim jestem król nie wie,  
I sekret ten wciąż wiąże język mój spętany.

Ten w pół-niemym w pół-mówionym dialogu trwał niezbyt długo. Ledwie przeszedł kilka kroków z księżną Orianą, kiedy nieduża brunetka, bardzo ładna, zatrzymała ją:

— Chciałabym koniecznie pomówić z tobą. D'Annunzio ujrzał cię z łoża, napisał do księżnej de T... list, gdzie powiada, że w życiu nie widział nic równie pięknego. Oddałby życie za dziesięć minut rozmowy z tobą. W każdym razie, nawet jeżeli nie możesz albo nie chcesz, list jest w moim posiadaniu. Musisz mi naznaczyć godzinę. Są pewne dyskretne rzeczy, których nie mogę powiedzieć tutaj. Widzę, że mnie pan nie poznaje, dodała zwracając się do mnie; spotkałam pana u księżnej Parmy (gdzie nigdy nie byłem). Cesarz rosyjski życzyłby sobie, aby pańskiego ojca posłano do Petersburga. Jeżeli pan może przyjść we wtorek, właśnie będzie Izwołski, pomówilibyście o tem. Mam dla ciebie podarek, kochanie — dodała obracając się do księżnej; podarek, którego nie zrobiłabym nikomu prócz ciebie. Rękopis trzech sztuk Ibsena, które mi przesłał przez swojego starego pielęgniarza. Zachowam jedną, a dwie dam tobie.

Książę Błażej nie był zachwycony temi propozycjami. Niepewny czy Ibsen lub d'Annunzio żyją czy umarli, widział już pisarzy, dramaturgów, składających wizyty jego żonie i pakujących ją do swoich utworów. Ludzie światowi chętnie wyobrażają sobie książki jako rodzaj pudła pozbawionego jednej ściany, tak że autor coprędzej „pakuje” do środka osoby które napotka. To jest oczywiście nielojalnie, a tacy ludzie to są podejrzane figury. Zapewne, byłoby dość zabawne widywać ich „*en passant*”, bo dzięki nim, kiedy się czyta książkę lub artykuł, zna się „podszewkę” wszystkiego, można „zdrzeć maski”. Mimo wszystko, roztropniej jest poprzestać na autorach umarłych. P. de Guermantes uważał za „zupełnie na miejscu” jedynie osobnika, który prowadził rubrykę nekrologów w „*Gaulois*”. Ten przynajmniej ograniczał się do cytowania nazwiska pana de Guermantes między osobami zauważonymi „w szczególności” na pogrzebach, gdzie książę się zapisał na liście. Kiedy p. de Guermantes wołał aby jego nazwisko nie figurowało, wówczas, zamiast się zapisywać, przesyłał rodzinie zmarłego kondolencję, zapewniającą o jego bardzo żalobnych uczuciach. Jeżeli ta rodzina zamieściła w dzienniku: „pomiędzy otrzymanymi dowodami współczucia, zacytujmy list księcia de Guermantes”, etc. to nie była wina wzmiankarza, ale syna, brata, ojca zmarłej osoby, których książę piętnował jako karjerowiczów i z którymi odtąd był zdecydowany nie utrzymywać stosunków (co nazywał, nie mając ścisłego poczucia wyrażenia, „być na pieńku”).

Bądź jak bądź, faktem jest, że nazwisko Ibsena i d'Annunzia i niepewność czy jeszcze żyją wywołały zmarszczenie brwi księcia, znajdującego się jeszcze natyle blisko, aby dosłyszec rozmaite uprzejmości pani Tymoleonowej d'Amoncourt. Była to przemiła kobieta, o inteligencji — jak jej uroda — tak wdzięcznej, że jedno z dwojga wystarczyłoby aby czarować. Ale urodzona poza sferą w której żyła obecnie, marząca zrazu tylko o salonie literackim, kolejna i wyłączna przyjaciółka — bynajmniej nie kochanka, życie jej było bardzo czyste — każdego wielkiego pisarza, który jej darowywał wszystkie swoje rękopisy, pisał książki dla niej, przypadkowo weszła w faubourg Saint-Germain, gdzie jej te awantaże literackie stworzyły pewną pozycję. Miała obecnie „sytuację”, nie potrzebując rozdawać innych łask, prócz tych które rozlewała jej obecność. Ale przyzwyczajona niegdyś do lawirowania, do polityki salonowej, do świadczenia usług, zachowała ten nawyk, mimo że już jej to nie było potrzebne. Miała zawsze jakiś ważny sekret do zwierzenia, jakiegoś potentata do przedstawienia, akwarelę mistrza do ofiarowania. Było zapewne we wszystkich tych zbytecznych urokach nieco kłamstwa, ale czyniły one z jej życia błyskotliwie skomplikowaną komedję; faktem było, że ona mianowała prefektów i generałów.

Posuwając się obok mnie, księżna Oriana pozwalała lazurówemu światłu swoich oczu bujać przed sobą, ale w przestrzeni, aby uniknąć ludzi z którymi nie miała ochoty się zetknąć, a których groźną rafę odgadywała niekiedy zdala. Posuwaliśmy się między podwójnym rzędem gości, którzy wiedząc że nigdy nie poznają „Oriany”, chcieli bodaj — jako osobliwość — pokazać ją żonie: „Urszulo, prędko, prędko, chodź zobaczyć panią de Guermantes, rozmawia z tym młodym człowiekiem”. I czuło się, że nie wiele potrzeba, a weszliby na krzesła aby lepiej widzieć, jak na rewji 14 lipca lub na *Grand Prix*.

To nie znaczy, aby salon księżnej Oriany bardziej był arystokratyczny niż salon jej kuzynki. U Oriany bywali ludzie, których księżna Marja nigdy nie zgodziłaby się zaprosić, głównie z powodu męża. Nigdy nie przyjęłaby pani Alfonsowej de Rothschild, która, będąc serdeczną przyjaciółką księżnej de la Trémoille i księżnej de Sagan — jak i sama Oriana — bywała u Oriany. Toż samo z baronem Hirsch, którego książe Walji przyprowadził do Oriany, ale nie do księżnej Marji, której ów baron nie przypadłby do smaku. Podobnie było z paroma znakomitościami świata bonapartystycznego a nawet republikańskiego, które zainteresowały Oriane, ale których książe Gilbert, zażarty rojalista, nie zechciałby przyjąć. Jego antysemityzm, równie zasadniczy, nie ugiął się przed żadną elegancją, choćby najbardziej uznaną w wielkim świecie, a jeżeli książe przyjmował Swanna, z którym był od niepamiętnych czasów w przyjaźni — będąc zresztą jedynym z Guermantów, który go tytułował Swannem a nie Karolem — to dla tego, że wiedząc iż babka Swanna, protestantka wydana za Żyda, była kochanką księcia de Berri, próbował od czasu do czasu wierzyć w legendę, która czyniła ojca Swanna naturalnym synem księcia krwi. W duchu tej hipotezy (zresztą fałszywej), Swann, syn katolika — będącego synem Burbona — i katoliczki, stawał się czystej krwi chrześcijaninem.

— Jakto, pan nie zna tych wspaniałości! — rzekła do mnie księżna Oriana, mówiąc o pałacu gdzieś się znajdowali. Ale, uczciwszy pałac kuzynki, skwapliwie dodała, że woli tysiąc razy swój „kącik”. — Tutaj to jest cudowne do *zwiedzania*. Ale umarłabym z melancholji, gdyby mi trzeba było spać w pokojach, gdzie się działo tyle wypadków historycznych. Miałabym wrażenie, że zostałam po zamknięciu lokalu, zapomniana, w zamku Blois, w Fontainebleau, nawet w Luwrze, i że jako jedyną ucieczkę od melancholji mogę sobie uprzytomnić, że znajduję się w pokoju, gdzie zamordowano Monaldeschiego. Jako rumianek do poduszki, to nie jest wystarczające. O, jest pani de Saint-Euverte. Byliśmy właśnie u niej na obiedzie. Ponieważ jutro urządza swoją doroczną awanturę, myślałam, że poszła spać. Ale ona nie może przepuścić najmniejszej zabawy. Gdyby ten raut był na wsi, raczej wdrapałaby się na omnibus, niżby się miała nie zjawić.

W istocie, pani de Saint-Euverte przyszła tego wieczora nietyle dla przyjemności nieominięcia cudzej fety, ile aby zabezpieczyć sukces własnej, zwerbować ostatnich gości, i poniekąd odbyć *in extremis* przegląd wojsk, mających nazajutrz paradować na jej *garden party*. Bo od wielu lat goście pani de Saint-Euverte nie byli już zgoła ci sami co dawniej. Niewieście gwiazdy świata Guermantów, wówczas tak nieliczne — obsypywane uprzejmościami pani domu — ściągnęły tam pomału swoje przyjaciółki. Równocześnie, siłą akcji posuwającej się równoległe ale w przeciwnym kierunku, z roku na rok pani de Saint-Euverte redukowałą liczbę osób nieznanymi eleganckiemu światu. Przestała odwiedzać jedną, potem drugą ze znajomych. Przez jakiś czas funkcjonował system „klas”, pozwalający, dzięki wieczorom pokrywanych milczeniem, zaprosić wyeliminowanych, aby się pobawili między sobą, co uwalniało gospodynię od zapraszania ich z godniejszymi osobami. Na co się mogli skarżyć? Czy nie mieli (*panem et circenses*) ptifurów i pięknej muzyki? Toteż, w symetrii poniekąd do dwóch księżnych na wygnaniu, które niegdyś — w początkach *salonu Saint-Euverte* — podpierały, niby dwie karjatydy, jego chwiejący się strop, widziało się w ostatnich latach jedynie dwie osoby z innej klasy zamieszane w ten wielki świat: starą panią de Cambremer, oraz żonę pewnego architekta, kobietę z pięknym głosem, do której talentu często trzeba się było uciekać. Ale nie znając już nikogo u pani de Saint-Euverte, oplakując stracone towarzyski, czując że wszystkich tam rażą, panie te robiły wrażenie istot mrących z zimna, niby dwie jaskółki, które nie odleciały na czas. Toteż następnego roku już ich nie zaproszono; pani de Franquetot próbowała podjąć kroki na rzecz kuzynki, która tak kochała muzykę! Ale ponieważ nie zdołała uzyskać odpowiedzi wyraźniejszej niż te słowa: „Ależ zawsze można wejść posłuchać muzyki, jeżeli

to ją bawi; niema w tem żadnej zbrodni!” pani de Cambremer uznała, że zaproszenie nie jest dość usilne i została w domu.

Wobec takiego przeobrażenia salonu trędowatych w salon wielkich dam (ostatnia forma, na pozór arcyelegancka, jaką ów salon przybrał), można się było zdziwić, iż osoba dająca nazajutrz najświetniejsze przyjęcie sezonu, musi się w przeddzień zwracać z ostatnim apelem do swojej armji. Ale bo też blaski salonu Saint-Euverte istniały jedynie dla tych, których światowość polega wyłącznie na czytaniu sprawozdań z „poranków” i wieczorów w „*Gaulois*” lub w „*Figarze*”, bez osobistych doświadczeń w tej mierze. Dla tych światowców, widzących świat jedynie poprzez gazetę, wyliczenie ambasadorowych angielskiej, austriackiej, etc., księżnych d’Uzès, de la Trémoille, etc., etc., wystarczało aby sobie wyobrażali salon Saint-Euverte jako pierwszy w Paryżu, wówczas gdy był jednym z ostatnich. Nie aby „wzmianki” kłamały. Większość cytowanych osób była tam w istocie. Ale każda z nich przysłała naskutek błagań, grzeczności, usług, z poczuciem że czyni pani de Saint-Euverte niezmierny zaszczyt. Takie salony, raczej unikane niż poszukiwane, dokąd się idzie niejako z bolesnego obowiązku, dają złudzenie jedynie czytelniczkom „kroniki światowej”. Przeoczą zebranie naprawdę eleganckie, gdzie pani domu mogła mieć wszystkie diuszessy płonące żądzą znalezienia się „wśród wybranych”, ale prosi z nich tylko dwie lub trzy i nie stara się o zamieszczenie nazwisk swoich gości w gazecie. To też te osoby, ignorujące lub lekceważące potęgę jaką stała się dziś „reklama”, są eleganckie dla królowej hiszpańskiej, ale nieznanne tłumowi, ponieważ królowa wie, kim one są, a tłum nie wie.

Pani de Saint-Euverte nie była z rzędu tych osób, toteż zabiegliwie przychodziła zgarnąć na jutro wszystkich zaproszonych. Pana de Charlus nie było wśród nich; za nic nie chciał bywać w tym domu. Ale on był źle z tyloma osobami, że pani de Saint-Euverte mogła to złożyć na karb charakteru barona.

Z pewnością, gdyby chodziło tylko o Oriane, pani de Saint-Euverte mogłaby się nie trudzić, skoro jej zaproszenie, dopełnione ustnie, księżna przyjęła z ową uroczą i zawodną uprzejmością, cechującą pewnych Akademików, od których kandydat wychodzi rozczulony, nie wątpiąc że może liczyć na ich głos. Ale była tam nietylko ona. Czy księżkę d’Agrigente przyjdzie? A pani de Durfort? Toteż, aby czuwać nad zbiorem, pani de Saint-Euverte uważała za praktyczniejsze przybyć sama; przymilna wobec jednych, władczą z drugimi, wszystkim pozwalała się domyślać niewiarygodnych uciech, jakich nie spotka się drugi raz, każdemu przyrzekła obecność osoby której widoku ów pragnął, lub osobistości którą właśnie potrzebował spotkać. I ta swojego rodzaju godność, w jaką pani de Saint-Euverte oblekała się jeden raz do roku — niby niektóre urzędy starożytnego świata — osoby wyprawiającej nazajutrz największe *garden party* sezonu, dawała jej chwilową ważność. Lista była ułożona i zamknięta, tak iż przebiegając zwolna salony księżnej Marji, aby szepnąć kolejno każdemu: „Nie zapomni pan (pani) jutro”, pani de Saint-Euverte kosztowała tej ulotnej chwały, że, nie przestając się uśmiechać, odwracała oczy kiedy spostrzegła jakiegoś niepożądanego kopciuszką, lub szlachciurę, wpuszczanego do „Gilberta” na zasadzie koleżeństwa ze szkolnej ławy, ale niezdolnego swoją obecnością w niczem usświetnić jej *garden party*. Wolała nie odzywać się do takiego, aby móc potem powiedzieć: „Zapraszałam ustnie i na nieszczęście nie spotkałam pana”. I tak ona, prosta Saint-Euverte, dokonywała własnymi oczami „przesiewania przez sito” gości księżnej Marji! I czyniąc to, czuła się sama prawdziwą księżną de Guermantes.

Trzeba powiedzieć, że i Oriana również nie miała w swoich ukłonach i uśmiechach tyle swobody ile możnaby przypuszczać. Po części, niewątpliwie, kiedy ich odmawiała, czyniła to dobrowolnie: „Ależ ona mnie nudzi — mówiła Oriana — czyż będę musiała mówić z nią o jej wieczorze przez godzinę?”

Przechodziła jakaś diuszessa, silna brunetka, którą brzydota jej, głupota oraz wybryki młodości wyгнаły nie z towarzystwa, ale z niektórych eleganckich kólek: „Au! — syknęła pani de Guermantes, z owem precyzyjnym i krytycznym spojrzeniem znawcy, kiedy mu ktoś pokaże fałszywy klejnot — przyjmują to tutaj!” Na sam widok osoby „z feletem”, której twarz w dodatku była usiana zbytnią ilością włochatych brodawek, pani de Guermantes stwierdzała niską jakość wieczoru. Chowała się z tą damą w dzieciństwie, ale zerwała z nią wszelkie stosunki; na jej ukłon odpowiedziała jedynie suchem sknieciem głowy. „Nie rozumiem — rzekła do mnie, jakby usprawiedliwiając się — że Marja zaprasza nas razem z temi szumowinami. Możnaby rzec, że pozbierała gości ze wszyst-



kich parafji. U Melanji Pourtales było o wiele lepiej urządzone. Mogła sobie przyjmować święty Synod i Wielki Wschód, jeżeli miała ochotę, ale przynajmniej nie zapraszała nas w te dni”. Ale, w stosunku do wielu osób, Oriana postępowała tak przez nieśmiałość, przez obawę sceny od męża, nie lubiącego aby ona przyjmowała artystów etc. (księżna Marja protegowała ich chętnie: trzeba było uważać, aby nie wpaść u niej na jaką znakomitą śpiewaczką niemiecką), przez jakiś lęk wobec nacjonalizmu, którym, kultywując, jak p. de Charlus, „ducha Guermantów”, gardziła z punktu widzenia światowego (sądzano obecnie, dla uczczenia sztabu generalnego, pewnego generała plebejusza wyżej od niektórych diuków), któremu jednak — wiedząc że ona sama ma opinię „źle myślącej” — robiła szerokie ustępstwa, do tego stopnia, że bała się w tym antysemitycznym środowisku Swannowi podawać rękę. Co do tego punktu uspokoiła się szybko, dowiedziawszy się, że książę Gilbert nie dał Swannowi wejść i że miał z nim jakieś „wyjaśnienia”. Nie groziło jej, że będzie musiała na oczach publiczności rozmawiać z „biednym Lolem”, którego wołała lubić u siebie w domu.

— A to znowu co takiego? — wykrzyknęła księżna Oriana, widząc że jakaś nieduża osoba, wyglądająca dość szczególnie, w czarnej sukni tak skromnej że możnaby ją wziąć za nędzarkę, składa jej, wraz z mężem, głęboki ukłon. Nie poznała jej i dosyć skłonna do tego rodzaju impertynencji, wyprostowała się obrażona, spoglądając bez ukłonu z wyrazem zdumienia:

— Co to za figura, Błażeju? — spytała ze zdziwieniem, gdy p. de Guermantes, chcąc naprawić niegrzeczność żony, kłaniał się damie i ścisnął dłoń jej męża.

— Ależ to pani de Chaussepierre, byłeś bardzo niegrzeczna.

— Ja nie wiem, co to jest Chaussepierre.

— Siostrzeniec starej Chanlivault.

— Nie znam nic podobnego. Kto to jest ta kobieta, czemu ona mi się kłania?

— Ależ znasz ją doskonale, to córka pani de Charleval, Henrjety Montmorency.

— A! znałam bardzo dobrze jej matkę, była urocza, bardzo inteligentna. Pocóż ona wyszła za wszystkich tych ludzi, których ja nie znam? Powiadasz, że się nazywa Chaussepierre? — rzekła sylabizując to słowo z pytającą miną, jakby się bała omylić.

Książę objął ją surowym spojrzeniem:

— Nazywać się Chaussepierre wcale nie jest tak śmieszne jak ci się wydaje. Stary Chaussepierre był bratem owej Charleval, pani de Sennecour oraz wicehrabiny du Merlerault. To ludzie bardzo *dobrze*.

— Och, dosyć! — wykrzyknęła księżna, która jak pogromczyni nie dopuszczała nigdy wrażenia że się dała zastraszyć krwiożerczym spojrzeniom drapieznika. — Błażeju, bajeczny jesteś. Ja nie wiem, gdzie ty wyszukujesz wszystkie te nazwiska, ale szczerze ci ich winszuję. Jeżeli nie znałam „Chaussepierre”, w zamian czytałam Balzaka — nie ty jeden go czytałeś — a nawet czytałam Labiche’a. Wysoko cenię *Chanlivault*, dosyć jest w moim guście *Charleval*, ale wyznaję że *du Merlerault* jest arcydziełem! Zresztą, zgódźmy się, że *Chaussepierre* jest też nienajgorsze. Ty skądś pozbierałeś to wszystko, to niepodobieństwo! Pan, który chce pisać książkę, rzekła do mnie, powinien pan zapamiętać *Charleval* i *Merlerault*. Nie znajdzie pan nic lepszego.

— Narazi się poprostu na proces i pójdzie do więzienia; dajesz mu bardzo złe rady, Oriano.

— Mam dla niego nadzieję, że znajdzie łatwo młodsze osoby, kiedy ma ochotę prosić o złe rady, a zwłaszcza wprowadzić je w czyn. Ale jeżeli nie zamierza popełnić nic gorszego niż książkę!...

Dosyć daleko od nas, wspaniała i dumna młoda kobieta odcinała się harmonijnie w białej sukni, całej z diamentów i z tiulu. Pani de Guermantes spojrzała na nią w chwili gdy młoda kobieta mówiła do całej grupy osób, urzeczonych jej wdziękiem<sup>1</sup>.

— Pańska siostra jest wszędzie najpiękniejsza; urocza jest dziś wieczór — rzekła, biorąc krzesło — do księcia de Chimay, który przechodził.

Pułkownik de Froberville (miał wuja generała tego samego nazwiska) usiadł koło nas, zarówno jak p. de Bréauté, podczas gdy p. de Vaugoubert, kołysząc się (przez nadmiar

<sup>1</sup>młoda kobieta mówiła do całej grupy osób, urzeczonych jej wdziękiem — Proust wprowadza tu przelotnie, robiąc jej komplement, autentyczną hrabinę de Noailles, poetkę, siostrę księżnej de Chimay. [przypis redakcyjny]

grzeczności, który zachował nawet kiedy grał w tenisa, przyczem, przez to że przeproszał wysoko postawione osoby zanim odbił piłkę, nieuchronnie skazywał partję na przegranie), wracał do pana de Charlus (dotąd niemal zawiniętego w olbrzymią spódnicę hrabiny Molé, którą oficjalnie wielbił ponad wszystkie inne kobiety) i to przypadkowo w chwili, gdy grupa członków nowego ciała dyplomatycznego kłaniała się baronowi. Na widok młodego sekretarza o wyrazie szczególnie inteligentnym, p. de Vaugoubert wpił w pana de Charlus uśmiech, w którym widocznie wykwiłało jedno pytanie. P. de Charlus byłby może chętnie skompromitował kogoś, ale czując się samemu skompromitowanym przez ten uśmiech, mogący mieć tylko jedno znaczenie, wściekł się:

— Absolutnie nie wiem nic, proszę pana, zachowaj pan swoje ciekawości dla siebie. Mnie one zostawiają zupełnie obojętnym. Zresztą, w danym wypadku, trafia pan jak kulą w płot. Sądzę, że ten młody człowiek jest wręcz przeciwnie.

Tu p. de Charlus, wściekły że został wystawiony na sztych przez głupca, nie mówił prawdy. Sekretarz — w razie gdyby baron miał słusność — stanowiłby wyjątek w tej ambasadzie. Była ona w istocie złożona z figur nader różnych, po części bardzo miernych, tak że, jeżeli się szukało pobudki ich doboru, można ją było odkryć jedynie w inwersji. Stawiając na czele tej małej Sodomy dyplomatycznej ambasadora lubiącego — wręcz przeciwnie — kobiety z komiczną przesadą kobieciarza z wodwilu, który dowodził prawidłowo swoim bataljonem zbrojeńców, powodowano się jakgdyby prawem kontrastu. Mimo tego co miał przed oczami, ambasador ów nie wierzył w inwersję. Dał tego niebawem dowód, wydając swoją siostrę za *chargé d'affaires*, którego uważał bardzo fałszywie za dziwkarza. Z tą chwilą stał się trochę krępujący i niebawem zastąpiono go nową Eksceleńcją, która zapewniła jednolitość zespołu. Inne ambasady starały się rywalizować z tą, ale nie zdołały jej odebrać pierwszeństwa (jak na „konkursie generalnym”, gdzie jedno liceum zdobywa je zawsze), i trzeba było dziesięciu lat czasu, aby — gdy młodzi *attachés* innego pokroju wdarli się w tę tak zgraną całość — inna ambasada zdołała wreszcie wydrzeć żalostną palmę i kroczyć na czele.

Uspokojona co do obawy, że będzie musiała rozmawiać ze Swannem, pani de Guermantes była jedynie ciekawa rozmowy, jaką ów miał z panem domu.

— Czy pan wie, o czym mówili? — spytał książę Błazej pana de Bréauté.

— Słyszałem — odparł — że o jednoaktówce, którą pisarz Bergotte wystawił u Swannów. To było zresztą czarujące. Ale zdaje się, że aktor ucharakteryzował się na Gilberta, którego zresztą imię Bergotte w istocie chciał odmalować.

— O, toby mnie bawiło zobaczyć jak ktoś robi Gilberta — rzekła księżna uśmiechając się w zamyśleniu.

— Z powodu tej komedyjki — odparł pan de Bréauté wysuwając szczękę gryzonia — Gilbert poprosił o wyjaśnienie Swanna, który ograniczył się do odpowiedzi, uznanej zresztą powszechnie za bardzo dowcipną: „Ależ wcale nie, to nic a nic do ciebie niepodobne, ty jesteś o wiele śmieszniejszy!” — Zdaje się zresztą (dodał pan de Bréauté), że komedyjka jest urocza. Pani Molé była na tem i szalenie się bawiła.

— Jakto, pani Molé bywa tam? — rzekła księżna zdziwiona. — A, to robota Mémé! Zawsze się tak kończy z temi domami. Pewnego dnia wszyscy zaczynają tam chodzić, i ja, która dla zasady uprawiałam dobrowolną abstynencję, nudzę się wreszcie sama w swoim kącie.

Już, od tej relacji pana de Bréauté, księżna Oriana przyjęła, jak widzieliśmy, nowy punkt widzenia, jeżeli nie co do salonu Swannów, to przynajmniej co do hipotezy spotkania Swanna za chwilę. — Wyjaśnienie, jakie pan nam daje, rzekł do pana de Bréauté pułkownik de Froberville, jest najzupełniej opaczne. Mam swoje przyczyny aby wiedzieć o tem. Książę Gilbert poprostu zmył głowę Swannowi, jak mówili nasi ojcowie, i dał mu do zrozumienia, że nie ma się co pokazywać u niego, zważywszy poglądy z jakimi się afiszuje. I wedle mnie, wuj Gilbert miał po tysiąc razy słusność, nietylko że mu zmył głowę, ale powinien był skończyć od pół roku z tym jawnym dreyfusistą.

Biedny Vaugoubert, stawszy się tym razem sam z nazbyt marudnego tenisisty bezwładną piłką tenisową odbijaną bez ceremonji, znalazł się tuż koło księżnej Oriany, której przedłożył swoje atencje. Spotkał się z nieszczęśliwym przyjęciem, Oriana bowiem żywiła przeświadczenie, że wszyscy dyplomaci lub politycy z jej świata są durnie.

P. de Froberville siłą rzeczy skorzystał z uprzywilejowanej sytuacji, jaką od niedawna zyskali wojskowi w towarzystwie. Na nieszczęście, o ile żona którą pojął, była bardzo autentyczną krewną Guermantów, była zarazem bardzo ubogą krewną, że zaś sam pułkownik stracił majątek, nie mieli dużo stosunków. Byli to typowi ludzie, których się pomija, poza uroczystymi okazjami, kiedy mieli szczęście stracić krewnego lub asystować jego zaślubinom. Wówczas tworzyli istotnie część wspólnoty wielkiego świata, jak owi nominalni katolicy, którzy zbliżają się do stołu pańskiego jedynie raz do roku. Materialne ich położenie byłoby nawet oplakane, gdyby pani de Saint-Euverte, wierna dawnemu przywiązaniu do nieboszczyka generała de Froberville, nie wspomagała na wszystkie sposoby tego stadła, dostarczając sukien i rozrywek dwom córeczkom. Ale pułkownik, który uchodził za „dobrego chłopą”, nie miał duszy wdzięcznej. Zawistny był o splendory swej dobrodziejki, która sławiła je sama bez wytchnienia i miary. Doroczne *garden party* było dla niego, dla jego żony i dzieci cudowną przyjemnością, której nie wyrzekliby się za skarby świata, ale przyjemnością zatrutą myślą o satysfakcjach, jakie z tej fety czerpała pani de Saint-Euverte. Obwieszczenie *garden-party* w dziennikach, które następnie, po szczegółowym sprawozdaniu, dodawały machiawelicznie: „Powrócimy do tej pięknej zabawy”, dodatkowe szczegóły dotyczące toalet, podawane przez kilka dni z rzędu, wszystko to sprawiało państwu de Froberville takie cierpienie, że, mimo iż dość pozbawieni rozrywek i wiedząc iż mogą liczyć na to popołudnie, dochodzili co roku do pragnienia aby niepogoda udaremniła zabawę, spoglądali na barometr i witali z rozkoszą zapowiedź burzy grożącej popsuciem festynu.

— Nie będę z tobą dyskutował o polityce, Froberville — rzekł pan de Guermantes — ale co się tyczy Swanna, szczerze mogę powiedzieć, że jego postępowanie wobec nas było czemś bez przykładu. On, wprowadzony niegdyś w towarzystwo przez nas, przez księcia de Chartres, dziś, powiadają, jest otwarciem dreyfusistą! Nigdy nie byłbym się tego po nim spodziewał; on, taki smakosz, umysł pozytywny, kolekcjoner, amator starych książek, członek Jockey-clubu, człowiek otoczony powszechnym szacunkiem, znawca dobrych firm (przysyłał nam najlepsze porto jakie istnieje), miłośnik sztuki, ojciec rodziny... Ha, bardzo się zawiodłem! Nie mówię o sobie, wiadomo że ja jestem stary cymbał, którego zdanie się nie liczy, ot sobie popychadło; ale choćby dla samej Oriany, nie powinien był tego robić, powinien się być otwarcie wyprzeć Żydów i popleczników skazanego. — Tak, po przyjaźni, jaką mu zawsze okazywała żona — podjął książkę, który widocznie uważał, że potępić Dreyfusa jako zdrajcę stanu, jakiegobądź by się miało przekonanie o jego winie, było rodzajem podziękowania za przyjęcie doznane w faubourg Saint-Germain — powinien się być zrzucić z tej solidarności. Bo spytaj się Oriany, ona zawsze miała słabość do niego.

Księżna, sądząc że naiwny i spokojny ton przyda dramatycznej szczeroci jej słowom, rzekła głosem uczenicy, jakgdyby pozwalając poprostu prawdzie wyjść ze swoich ust i barwiąc jedynie oczy odcieniem melancholji:

— Ależ tak, w istocie, nie mam żadnego powodu ukrywać, że byłam szczerze przywiązana do Lola.

— O widzisz, ja jej tego nie sufluję. I po tem wszystkim, on posuwa niewdzięczność do tego aby być dreyfusistą!

— A propos dreyfusistów — rzekłem — zdaje się, że prinż Von należy do nich.

— A, dobrze pan robi, że mi pan mówi o nim — wykrzyknął p. de Guermantes; byłbym zapomniał, że mnie zaprosił na poniedziałek na obiad. Czy on jest dreyfusistą czy nie, jest mi całkowicie obojętne; to jest cudzoziemiec. O to się tyle troszczę, co o króla murzyńskiego. Z Francuzem, to inna rzecz. Prawda, że Swann jest żyd. Ale do dzisiejszego dnia — wybac mi Froberville — miałem tę słabość, aby myśleć, że żyd może być Francuzem, rozumiem żyd przyzwoity, człowiek z towarzystwa. Otóż Swann był tem wszystkim w całym znaczeniu słowa. I cóż, zmusza mnie do uznania że się omylił, skoro bierze stronę tego Dreyfusa (który, winny czy nie winny, nie należy wcale do jego sfery, którego nie byłby nigdy spotkał), przeciw towarzystwu które go traktowało jak jednego ze swoich. Niema co mówić, myśmy wszyscy ręczyli za Swanna, byłbym odpowiadał za jego patriotyzm jak za własny. A, źle się nam odwdzięczył! Przyznaję, że z jego strony nigdybym się tego nie spodziewał. Lepiej go sądziłem. Był inteligentny (w swoim rodzaju oczywiście). Zapewne, wiem, że zrobił już jedno paskustwo, to swoje hanieb-

ne małżeństwo. Czy wiesz, komu małżeństwo Swanna sprawiło wielką przykrość? Mojej żonie. Oriana ma często to, co bym nazwał afektacją chłodu. Ale w gruncie ona czuje niesłychanie silnie.

Pani de Guermantes, zachwycona tą analizą swego charakteru, słuchała ze skromną miną, ale nie mówiła ani słowa, nie chcąc wprost potwierdzać pochwały, a zwłaszcza bojąc się ją przerwać. P. de Guermantes mógłby mówić godzinę na ten temat, Oriana nie ruszyłaby się z miejsca, jak podczas muzyki.

— Otóż — ciągnął książę — przypominam sobie, że kiedy się dowiedziała o małżeństwie Swanna, uczuła się jakby dotknięta; uważała, że to nieładnie ze strony człowieka, któremu okazywaliśmy tyle przyjaźni. Bardzo lubiła Swanna, strasznie ją to zmartwiło. Prawda, Oriano?

Pani de Guermantes sądziła, iż powinna odpowiedzieć na wezwanie tak bezpośrednie, co do faktycznego punktu, pozwalającego jej dyskretnie potwierdzić pochwały, które — czuła to — już się skończyły. Nieśmiałym i prostym tonem, z miną tembardziej sztuczną że chciała aby wyrażała „czucie”, rzekła z pełną umiaru słodyczą:

— To prawda, Błżej się nie myli.

— A przecież to jeszcze nie było to samo! Cóż chcecie, miłość to miłość, mimo że, mojem zdaniem, powinna zachować pewne granice. Usprawiedliwiłbym jeszcze młodego człowieka, smarkacza któryby się dał porwać utopiom. Ale Swann, człowiek inteligentny, człowiek wypróbowanej delikatności, znawca obrazów, sztuki, zaufany księcia de Chartres, samego Gilberta!

Ton, jakim mówił to pan de Guermantes, był zresztą całkiem sympatyczny, bez cienia owej pospolitości, jaką książę zdradzał zbyt często. Mówił smutno, z lekkim oburzeniem, ale wszystko oddychało w nim ową łagodną powagą, stanowiącą soczysty i szeroki wdzięk pewnych figur Rembrandta, burmestra Six na przykład. Czuło się, że niemoralność postępków Swanna w sprawie Dreyfusa nie nastęrcza się nawet księciu jako problemat, tak dalece nie miał wątpliwości w tej mierze; był niby stroskany ojciec widzący jak jeden z synów, dla którego wychowania poniósł wielkie ofiary, dobrowolnie rujnuje wspaniałą sytuację jaką mu ojciec stworzył i hańbi uczciwe nazwisko wybrykami niedopuszczalnymi wedle zasad lub przesądów rodziny. Prawda, że p. de Guermantes nie okazał niegdyś równie głębokiego i bolesnego zdumienia, kiedy się dowiedział, że Saint-Loup jest dreyfusistą. Ale, po pierwsze, uważał swego siostrzeńca za zbłąkanego młodego chłopca, z którego strony — dopóki się nie poprawi — nic nie może dziwić; podczas gdy Swann był tem, co pan de Guermantes nazywał „człowiekiem zrównoważonym, człowiekiem mającym pierwszorzędną pozycję”. Powtóre, co najważniejsze, od owej epoki upłynęło sporo czasu, w ciągu którego, o ile, z historycznego punktu widzenia, wypadki mogły poczęści usprawiedliwiać tezę dreyfusistowską, opozycja antydreyfusowska zdwoiła gwałtowność i z czysto politycznej zrazu stała się obecnie socjalną. Była to teraz kwestja militarysty, patriotyzmu; fale gniewu wzniecone w społeczeństwie miały czas nabrać siły, jakiej nigdy nie mają w początkach burzy.

— Widzicie — podjął p. de Guermantes — nawet z punktu widzenia swoich drogich żydów, skoro chce ich koniecznie wspierać, Swann palnął głupstwo o nieobliczalnej doniosłości. Dowiódł, że oni są poniekąd zmuszeni używać pomocy komukolwiek ze swojej rasy, nawet jeżeli go nie znają. To niebezpieczeństwo publiczne! Byliśmy niewątpliwie zanadto łatwi, a gaffa, jaką popełnia Swann, będzie miała tem większy resonans, że on był szanowany, nawet przyjmowany, i że był niemal jedynym żydem którego się znało. Świat powie sobie: *Ab uno disce omnes*. (Satysfakcja, że znalazł tak z punktu w pamięci odpowiedni cytat, rozjaśniła dumnym uśmiechem melancholję zdradzonego magnata).

Miałem wielką ochotę dowiedzieć się, co naprawdę zaszło między księciem Gilbertem a Swannem i zobaczyć Swanna, o ile nie opuścił jeszcze zabawy.

— Powiem panu — rzekła księżna, której zwierzyłem swoje pragnienie — że mnie nie zależy specjalnie na tem aby widzieć Swanna, bo zdaje się, wedle tego co mówiono przed chwilą u pani de Saint-Euverte, on chciałby przed śmiercią, żebym się zapoznała z jego żoną i córką. Mój Boże, boleję niezmiernie nad tem że on jest chory, ale przecież mam nadzieję że to nie takie poważne. A przytem, ostatecznie, to nie jest powód; to byłoby doprawdy za łatwe! Pisarzowi bez talentu wystarczyłoby tylko powiedzieć: „Gło-

sujcie za mną do Akademji, bo moja żona ma umrzeć i chcę jej dać tę ostatnią radość”. Nie byłoby salonów, gdyby się trzeba było poznawać ze wszystkimi umierającymi. Mój stangret mógłby mi powiedzieć: „Moja córka jest bardzo chora, niech mnie pani wprowadzi do księżnej Parmy”. Uwielbiam Lola i sprawiłoby mi wielką przykrość odmówić mu czegoś, toteż wolę raczej nie dać mu sposobności proszenia mnie o to. Spodziewam się z całego serca, że nie jest umierający jak powiada, ale doprawdy, gdyby się coś podobnego miało zdarzyć, to nie byłby dla mnie moment zawierania znajomości z dwiema kreaturami, które mnie pozbawiły na piętnaście lat najmilszego z przyjaciół. I zostawiłby mi je na karku wówczas, gdy ta znajomość nie ułatwiłaby mi nawet widywania jego samego, skoro by już nie żył!

Tymczasem p. de Bréauté wciąż przeżuwał kłam, jaki mu zadał pułkownik de Froberville.

— Nie wątpię o ścisłości pańskich informacji, drogi pułkowniku — rzekł — ale ja mam znów swoje, z dobrego źródła. Książę de la Tour d’Auvergne powtórzył mi wszystko.

— Dziwię się, że człowiek tak świątły jak ty może jeszcze mówić „książę de la Tour d’Auvergne”, przerwał p. de Guermantes; wiesz przecie, że nie jest nim ani trochę. Istnieje już tylko jeden członek tej rodziny. To wuj Oriany, książę de Bouillon.

— Brat pani de Villeparisis? — spytałem, przypominając sobie, że ona jest z domu de Bouillon.

— Właśnie. Oriano, kłania ci się pani de Lambresac.

W istocie, widziało się chwilami rodzący się i biegnący niby spadająca gwiazda słaby uśmiech, przeznaczony przez księżnę de Lambresac dla jakiejś osoby, którą poznała. Ale ten uśmiech, zamiast się precyzować w czynnym twierdzeniu, w mowie niemej lecz jasnej, roztopiał się prawie natychmiast w jakiejś idealnej ekstazie, która nie rozróżniała nic, podczas gdy głowa pochylała się gestem namaszczonego błogosławieństwa, przypominającym ruch, jakim pochyla się ku ciżbie komuniantek zramolizowany nieco prałat. Pani de Lambresac nie była zramolizowana ani trochę. Ale znałem już ten swoisty gest staroświeckiej dystynkcji. W Combray i w Paryżu, wszystkie przyjaciółki babki miały zwyczaj się witać w towarzystwie z miną równie seraficzną co gdyby spostrzegły kogoś znajomego w kościele w chwili Podniesienia lub na pogrzebie i przesyłały mu lekkie dzieńdobry, kończące się modlitwą. Otóż, słowa pana de Guermantes miały dopełnić tego zestawienia.

— Ależ pan widział księcia de Bouillon — rzekł. — Wychodził właśnie z mojej biblioteki w chwili gdy pan wchodził: ten jegomość trochę przysadkowaty i całkiem siwy.

Był to ten, którego ja wziąłem za łyka z Combray, a w którym teraz odnajdywałem w pamięci podobieństwo z panią de Villeparisis. Podobieństwo zamierających ukłonów księżnej de Lambresac z ukłonami przyjaciółek babki zaczynało mnie interesować, dowodząc, że w zamkniętych i ciasnych środowiskach, bądź drobnego mieszczaństwa bądź arystokracji, dawne maniery przechowują się, pozwalając nam, niby archeologowi, odnaleźć, czem mogło być wychowanie, oraz cząstka duszy jaką ono odbija, w czasach wicehrabiego d’Arlincourt i Loizy Puget. Doskonała zgodność wyglądu księcia de Bouillon z rówieśnym mu małomieszczaninem z Combray lepiej mi teraz przypomniła (co mnie już tak uderzyło, kiedy widział dziadka Roberta de Saint-Loup, księcia de la Rochefoucauld, na dagerotypie, gdzie, jako strój, mina i wzięcie, zupełnie był podobny do mego wujecznego dziadka), że różnice społeczne, a także indywidualne, stapiają się na odległość we wspólnym kolorycie epoki. Faktem jest, że podobieństwo stroju, a także odbijający się w twarzy odbłask ducha epoki, zajmują w danej osobie miejsce znacznie ważniejsze niż kasta tej osoby, wypełniająca je jedynie w miłości własnej zainteresowanego i w wyobraźni drugich. Aby sobie zdać sprawę, że wielki pan z czasu Ludwika Filipa mniej różni się od mieszczańca z czasu Ludwika Filipa niż od wielkiego pana z czasu Ludwika XV, na to nie potrzeba zachodzić do galerji w Luwrze.

W tej chwili, muzyk bawarski z długimi włosami, protegowany księżnej Marji, skłonił się Orianie. Odpowiedziała skinieniem głowy, ale książę, wściekły że żona wita się z kimś kogo on nie zna, z kimś wyglądającym do tego dość osobliwie i wedle wiedzy pana de Guermantes mającym bardzo złą reputację, zwrócił się do żony z pytającą i groźną miną, jakgdyby mówił: „Co to za figura?” Położenie biednej pani de Guermantes było już dość skomplikowane i gdyby muzyk miał trochę litości nad tą małżonką-męczennicą, byłby się oddalił co żywo. Ale czy to buntując się przeciw upokorzeniu, jakie mu zadano

publicznie wobec najstarszych przyjaciół klubowych księcia Błażeja (których obecność spowodowała może potrosze jego milczący ukłon), aby okazać że z pełnym prawem, nie zaś przez uzurpację ukłonił się pani de Guermantes, czy to idąc za tajemnym i nieodpartem natchnieniem gaffy, która go popchnęła — w chwili gdy powinien był zawierzyć raczej intuicji — do zastosowania ścisłej litery form towarzyskich, muzyk podszedł jeszcze bliżej i rzekł: „Księżno, ośmielam się prosić o zaszczyt przedstawienia mnie księciu”. Pani de Guermantes była bardzo nieszczęśliwa. Ale ostatecznie, mimo iż zdradzana jako żona, była jednak księżną de Guermantes i nie mogła się uznać za wyzutą z prawa przedstawienia mężowi osób, które znała.

— Błażeju — rzekła — pozwól sobie przedstawić pana d’Herweck.

— Nie pytam się, czy pani będzie jutro u pani de Saint-Euverte — rzekł pułkownik de Froberville do pani de Guermantes, aby rozprószyć przykre wrażenie, spowodowane niewczesną pretensją pana d’Herweck. — Cały Paryż tam będzie.

Równocześnie, obracając się jednym ruchem i całym ciałem ku niedyskretnemu muzykowi, książę de Guermantes, monumentalny, niemy, rozgniewany, podobny do grzmiącego Jowisza, stał tak nieruchomo kilka sekund, z oczami płonącymi gniewem i zdumieniem, z kędzierzawymi włosami, robiącymi wrażenie że wytrysły z krateru. Następnie, jakby pod działaniem impulsu, który wyłącznie pozwalał mu dopełnić żądanej grzeczności, wyzywając postawą biorąc niejako obecnych na świadków że nie zna bawarskiego muzyka, krzyżując za plecami ręce w białych rękawiczkach, pochylał się i wymierzył muzykowi ukłon tak głęboki, nacechowany takim zdumieniem i wściekłością, tak gwałtowny i nagły, że drżący artysta cofnął się pochylając się równocześnie, aby nie otrzymać strasznego ciosu głową w brzuch.

— Ale... bo właśnie ja nie będę w Paryżu — odpowiedziała księżna panu de Froberville. — Powiem panu (do czego nie powinnam się przyznać), że doszłam swoich lat, nie znając witrażów w Montfort l’Amaury. To wstyd, ale tak już jest. Zatem, aby naprawić tę występłą ignorancję, postanowiłam wybrać się jutro obejrzeć te witraże.

Pan de Bréauté uśmiechnął się dyskretnie. Zrozumiał w istocie, że jeżeli księżna mogła wytrwać „do swoich lat”, nie znając witrażów w Montfort l’Amaury, ta artystyczna wyprawa nie nabrała nagle charakteru niecierpiącego zwłoki i mogła bez niebezpieczeństwa, skoro się ją odwlekało przez więcej niż dwadzieścia pięć lat, zaczekać jeszcze dwadzieścia cztery godzin. Nagły projekt księżnej był poprostu dekretem, w stylu Guermantów, stwierdzającym że salon Saint-Euverte stanowczo nie jest domem naprawdę *dobrze*, ale domem gdzie zaprasza się kogoś poto aby się nim pochwalić w kronice „Gaulois”; domem dającym piętno prawdziwej elegancji tym, lub w każdym razie tej (jeżeli ona będzie tą jedyną), której się tam nie zobaczy. Delikatna uciecha pana de Bréauté, zdwojona tą poetycką przyjemnością, jakiej kosztowali ludzie światowi, widząc panią de Guermantes robiącą rzeczy, których własna ich skromniejsza sytuacja nie pozwalała im naśladować, ale których sama wizja wywoływała u nich uśmiech chłopka przywiązanego do gleby, gdy widzi ludzi swobodniejszych i szczęśliwszych, przechodzących ponad nim, ta subtelna przyjemność nie miała żadnego podobieństwa z utajonym lecz bezgranicznym uczuciem szczęścia, jakiego doznał równocześnie p. de Froberville.

Wysiłki, jakie czynił p. de Froberville aby ściszyć śmiech, sprawiły, że poczerwieniał jak kogut; mimo to, przerywając słowa czkawką radości, wykrzyknął miłosiernie: — Och! biedna ciocia Saint-Euverte, ona to odchoruje! Nie! nieszczęśliwa kobieta nie będzie miała swojej księżnej, co za cios, ależ ona może kipnąć od tego! — dodał skręcając się od śmiechu. I w upojeniu nie mógł się wstrzymać od przebierania nogami i zacierania rąk. Uśmiechając się jednym okiem i kątem ust do pana de Froberville, oceniając jego uprzejmą intencję, ale zarazem śmiertelną nudę jaką wydzielał, pani de Guermantes zdecydowała się wreszcie opuścić pułkownika.

— Proszę pana, *zmuszona* już jestem pożegnać się z panem — rzekła wstając z wrazem melancholijnej rezygnacji i tak jakby to było nieszczęście dla niej. Pod czarem jej modrych oczu, głos jej, słodki i melodyjny, przywodził na myśl poetyczną skargę wróżki. — Błażej chce, żebyśmy podeszła trochę do Marji.

W rzeczywistości miała dość Froberville’a, który bez przerwy zazdrościł jej, że jedzie do Montfort l’Amaury, podczas gdy księżna była pewna, że on słyszy o tych witrażach



pierwszy raz i że, z drugiej strony, za nic nie opuściłby podwieczorku u pani de Saint-Euverte.

— Do widzenia, za ledwie z panem mówiłam, tak już jest w świecie, ludzie się nie widują, nie mówią sobie tego co by chcieli powiedzieć, zresztą wszędzie w życiu to samo! Miejmy nadzieję, że choć po śmierci świat będzie lepiej urządzony. Przynajmniej nie będzie się potrzeba wciąż dekoltować. A i to jeszcze kto wie. Będzie się może wystawiało swoje kości i swoje robaki na wielkie święta. Czemu nie? Ot, niech pan patrzy na starą Rampillon, czy pan znajdzie wielką różnicę między tem a szkieletem w wyciętej sukni. Prawda że ma potemu prawa, bo ma conajmniej sto lat. Była już jednym z owych świętych monstrów, przed którymi nie chciałam bić czołem, kiedy wchodziłam w świat. Myślałam, że ona umarła od bardzo dawna, co byłoby zresztą jedynym wytłumaczeniem widowiska jakie nam daje. To wstrząsające i liturgiczne. Istne *Campo Santo*!

Księżna opuściła pułkownika, on zbliżył się jeszcze: „Chciałbym pani jeszcze coś powiedzieć”... Trochę podrażniona, odrzekła wyniośle: „O co chodzi?” A on, obawiając się, aby w ostatniej chwili nie zmieniła planów co do Montfort l’Amaury, dodał:

— Nie śmiałem tego mówić z powodu pani de Saint-Euverte, aby jej nie zrobić przykrości, ale skoro pani nie zamierza u niej być, mogę powiedzieć, że cieszę się z tego dla pani, bo tam jest odra.

— Och, Boże! — rzekła Oriana, która się bała chorób. — Ale to dla mnie nie ma znaczenia, przechodziłam już odrę. Nie można tego mieć dwa razy.

— To lekarze tak mówią; znam ludzi, którzy mieli odrę cztery razy. Słowem, ostrzegłem panią.

Co się tyczy samego pułkownika, musiałby chyba naprawdę mieć tę fikcyjną odrę i być przykuty do łóżka, aby się zdecydował opuścić ową *garden-party*, oczekiwane od tyłu miesiący. Czekala go tam przyjemność oglądania tyłu elegancji! i większa jeszcze przyjemność oglądania pewnych rzeczy chybionych, a zwłaszcza rozkosz chwalenia się długi czas elegancjami, a ubolewania nad tem co było chybione — przesadzając lub zmyślając.

Korzystając z tego że księżna zmieniła miejsce, wstałem również i udałem się ku palarni, dowiedzieć się o Swanna.

— Niech pan nie wierzy ani słówka temu co mówił Babal, rzekła księżna. Nigdy ta gąska Molé nie wpakowałaby się w taką historję. Tak tylko opowiadają, żeby nas ściągnąć. U Swannów nikt nie bywa i nikt ich nie zaprasza. On sam to przyznaje. „Siedzimy sobie we dwójkę przy kominku”. Ponieważ on mówi zawsze *my*, nie jak król, ale za swoją żonę, nie dopytuję się bliżej. Ale ja mam dobre informacje — dodała.

Minęliśmy dwóch młodych ludzi, których uderzająca i odmienna uroda czerpała początek z jednej kobiety. Byli to dwaj synowie pani de Surgis, nowej kochanki księcia Błażeja. Lśnili wspaniałościami swojej matki, ale każdy wziął inne. W jednego przeszła, falując w męskim ciele, królewska postawa pani de Surgis; ta sama gorąca, rudawa i perłowa bladeść napływała do marmurowych lic matki i syna; drugi brat dostał w zamian jej greckie czoło, idealny nos, posągową szyję, niezgłębione oczy. W ten sposób dwójka ich uroda, utworzona z różnych darów jakie między nich rozdzieliła bogini, dawała abstrakcyjną przyjemność myśli, że przyczyna tej piękności znajduje się zewnątrz nich; możnaby rzec, iż zasadnicze wdzięki matki wcieliły się w dwa różne ciała, że jeden z tych młodych ludzi był postawą matki i jej cerą, drugi jej spojrzeniem, niby owe boskie istoty, będące jedynie siłą i pięknnością Jowisza lub Minerwy. Byli pełni szacunku dla księcia de Guermantes, o którym mówili: „To wielki przyjaciel naszych rodziców”; mimo to, starszy uznał, że bezpieczniej jest nie witać się z księżną, której niechęć do swojej matki — nie rozumiejąc może powodów tej niechęci — znał; toteż na nasz widok lekko odwrócił głowę. Młodszy, naśladowujący we wszystkim brata, ponieważ, będąc mało inteligentny i co więcej krótkowidz, nie odważył się mieć własnego zdania, pochylił głowę pod tym samym kątem; zaczęli wsunęli się obaj do sali gry, jeden za drugim, podobni dwóm alegorycznym postaciom.

W chwili gdy miał wejść do tej sali, zatrzymała mnie piękna jeszcze margrabina de Citri, prawie z pianą na ustach. Dość szlachetnie urodzona, marzyła o świetnym małżeństwie i zrobiła je w istocie wychodząc za pana de Citri, którego prababka była z domu Aumale-Lorraine. Ale ledwo zaznała tej satysfakcji; opozycyjny jej charakter nabrał do

wielkiego świata wstrętu, który nie wykluczał zresztą światowości. Nie tylko będąc gdzieś na przyjęciu drwiła sobie ze wszystkich, ale drwiny te miały coś tak gwałtownego, że nawet ostry śmiech nie wystarczał i mienił się w chrapliwy świst. — Ha! — rzekła do mnie wskazując księżnę, która, roztawszy się ze mną była już dość daleko — aż się coś we mnie przewraca, że ona może prowadzić takie życie.

Czy te słowa były okrzykiem rozjuszonej świętej, która dziwi się, że poganie nie cisną się sami do prawdy, czy anarchisty spragnionego rzezi? W każdym razie, wykrzyknik ten był bardzo nieuzasadniony. Najpierw, życie pani de Guermantes bardzo mało się różniło (poza oburzeniem) od życia pani de Citri. Pani de Citri zdumiewała się, widząc Oriane zdolną do tego śmiertelnego poświęcenia: wybrać się na wieczór księżnej Marji! Trzeba dodać, w danym wypadku, że pani de Citri szczerze lubiła księżnę Marję, w istocie bardzo dobrą, i wiedziała, że przychodząc na jej wieczór, sprawi jej wielką przyjemność. Toteż, aby być na tym raucie, odprosiła tancerkę, którą uważała za geniusza a która miała ją wtajemniczyć w misterja rosyjskiej choreografji. Inną przyczyną, odbierającą pewną wartość wściekłym atakom pani de Citri na widok Oriany witającej się z tym lub owym, było to, że pani de Guermantes zdradzała objawy tej samej przywary, która trawiła panią de Citri, mimo iż o wiele mniej posuniętej. Widzieliśmy zresztą, że miała jej zarodki od urodzenia. Inteligentniejsza przytem od pani de Citri, Oriana miałaby więcej od niej praw do tego nihilizmu (który nie był jedynie światowy); ale faktem jest, że pewne przymioty raczej pomagają znosić wady drugich niż każą od nich cierpieć; człowiek bardzo niepospolity mniej będzie zazwyczaj zwracał uwagi na czyjąś głupotę, niżby to uczynił głupiec. Opisałiśmy natyle obszernie rodzaj dowcipu księżnej, aby dowieść, że, o ile nie miał on nic wspólnego z wysoką inteligencją, był przynajmniej dowcipem, dowcipem umiejącym wyzyskać (jak czyni tłumacz) rozmaite formy składni. Otóż nic podobnego nie dawało pani de Citri praw do pogardzania cechami tak podobnymi do jej własnych. Uważała wszystkich za idjotów; ale w rozmowie, w listach, okazywała się raczej niższa od ludzi, których traktowała z taką wzgardą. Miała zresztą taką potrzebę zniszczenia, że kiedy prawie zupełnie wyrzekła się świata, przyjemności, których szukała wówczas, uległy jedna po drugiej jej straszliwej sile destrukcyjnej. Porzuciwszy bale i rauty dla wieczorów muzycznych, zaczęła mówić: „Pani lubi muzykę? To zależy od chwili. Ale jakież to może być nudne! Och, Beethoven, co za piła!” O Wagnerze, potem o Francku, o Debussym, nie zadawała sobie nawet trudu mówienia „piła”; poprzestawała na ruchu ręką, jakby coś piłowała.

Niebawem, nudne stało się wszystko. „Jakie to nudne, piękne rzeczy! Och! obrazy, to można oszaleć!” „Jaką pan ma słuszność, to takie nudne pisać listy”. W końcu oświadczyła nam, że samo życie to jest piła, przyczem trudno było zgadnąć, gdzie znajduje skalę porównania.

Nie wiem, czy to dla tego co księżna Oriana owego pierwszego wieczora, kiedy byłem u niej na obiedzie — powiedziała o tym pokoju, ale sala gry czy palarnia, ze swoją wzorzystą posadzką, ze swemi trójnogami, postaciami bogów i zwierząt, które mierzyły mnie wzrokiem, sfinksami wyciągniętemu na poręczach, a zwłaszcza ze swoim olbrzymim stołem z marmuru czy z emaljowanej mozaiki, okrytym symbolicznymi znakami, mniej lub więcej naśladowanymi ze sztuki etruskiej i egipskiej, ta sala do gry zrobiła na mnie wrażenie iście czarnoksięskiego pokoju. Otóż, na fotelu bliskim lśniącego i uświęconego stołu, p. de Charlus, nie tykający kart, nieczuły na to co się dzieje dokoła, niezdolny spostrzec mego wejścia, zdawał się czarnoksiężnikiem, całą potęgą woli i rozumu siłą się wyciągnąć horoskop. Oczy wychodziły mu z głowy niczem pytji na trójnogu; iżby zaś nic nie zamąciło jego pracy, wymagającej poniechania najprostszych ruchów, podobny rachmistrzowi wyrzekającemu się wszelkiej czynności póki nie rozwiąże swego zagadnienia, baron położył koło siebie cygaro, które dopiero co miał w ustach i na którego dokończenie nie miał już potrzebnej swobody umysłu. Widząc dwa bóstwa przycupnięte na poręczach fotelu stojącego nawprost pana de Charlus, można było przypuszczać, że ów stara się przeniknąć zagadkę sfinksu, gdyby nie chodziło raczej o zagadkę młodego i żywego Edypa, siedzącego właśnie na tym fotelu gdzie usadowił się do gry. Otóż, figura, na której p. de Charlus skupił z takim napięciem wszystkie swoje władze, nie była, prawdę mówiąc, z tych, które studjuje się zazwyczaj *more geometrico*; była to figura, którą tworzyły rysy twarzy młodego margrabiego de Surgis. Twarz ta tak bardzo pochłaniała

pana de Charlus, jakgdyby była jakąś krzyżówką, zagadką, jakimś algebraicznym problemem którego starałby się odgadnąć sekret lub znaleźć formułę. Sybilińskie znaki i figury, wypisane przed nim na tej tablicy Prawa, zdawały się tajemnym pismem, które miało pozwolić staremu czarnoksiężnikowi odczytać w jakim kierunku orjentują się losy młodego człowieka. Nagle baron spostrzegł, że ja na niego patrzę; podniósł głowę jakby zbudzony ze snu i uśmiechnął się do mnie rumieniąc się. W tej chwili, drugi syn pani de Surgis podszedł aby zajrzeć bratu w karty. Kiedy p. de Charlus dowiedział się odemnie, że to są bracia, twarz jego nie mogła utaić podziwu, jaki w nim budziła rodzina płodna w tak wspaniale i tak różne arcydzieła. Entuzjazm barona zwiększyłaby jeszcze wiadomość, że obaj synowie pani de Surgis-le-Duc są dziećmi nietylko jednej matki, ale i jednego ojca. Dzieci Jowisza nie podobne są do siebie, ale to pochodzi stąd, że ów zaślubił najpierw Metys, której przeznaczeniem było dać życie roztroprnym dzieciom, potem Temidę, a potem Eurynonję, i Mnemozynę, i Leto, a dopiero na ostatku Junonę. Natomiast pani de Surgis poczęła z jednego ojca dwóch synów, którzy otrzymali od niej urodę, ale każdy inną.

Doczekałem się w końcu przyjemności ujżenia Swanna, ale nie spostrzegł mnie zrazu, bo sala była bardzo wielka. Przyjemność zmieszana ze smutkiem, którego nie odczuwali może inni goście, ale który u nich zmienił się w rodzaj urzeczenia, jakie wywierają nieoczekiwane i osobliwe kształty bliskiej śmierci — śmierci, którą czyta się już, jak powiada lud, z twarzy. I z niegrzecznym prawie zdumieniem, w które wchodziła niedyskretna ciekawość, okrucieństwo, spokojna zarazem i stroskana zaduma (połączenie *suave mari magno i memento quia pulvis*, powiedziałby Robert), wszystkie spojrzenia wlepiły się w tę twarz, której choroba tak nadgryzła policzki — niby księżyc idący do nowiu — że wyjąwszy pod pewnym kątem (tym zapewne, pod jakim Swann patrzył na siebie), zwiły się one niby wiotka dekoracja, której jedynie złudzenie optyczne może dać pozór bryły. Czy to przez brak tych policzków, których nie stało już aby zmniejszać wymiary nosa, czy że arterioskleroza, która też jest zatruciem, zczzerwieniła go tak jak czyni pijaństwo lub zniekształciła tak jak czyni morfina, wydatny nos Swanna, wprzód szarmonizowany z miłą twarzą, teraz wydawał się olbrzymi, nabrzmiały, rubinowy — raczej nos starego hebrajczyka niż ciekawego Walezjusza. Zresztą, może w tych ostatnich dniach rasa bardziej wydobyła u Swanna charakterystyczny dla niej fizyczny typ, wraz z poczuciem żydowskiej solidarności duchowej, o której Swann jakby zapomniał przez całe życie, a którą obudziły zaszczepione na sobie: śmiertelna choroba, sprawa Dreyfusa, rozpętanie antysemityzmu. Są izraelici subtelni zresztą i wykwintni światowcy w których siedzą w zaciszu kulis, aby wkroczyć w danej godzinie życia niby w sztuce teatralnej: — cham i prorok. Swann doszedł wieku proroka. Zmienił się bardzo; pod wpływem choroby, całe partje jego twarzy znikły niby partje topniejącej bryły lodu. Ale mimowoli uderzyło mnie, o ile bardziej jeszcze zmienił się w moich oczach. Był to człowiek miły i kulturalny, którego zawsze widywałem z przyjemnością. Ale nie mogłem teraz zrozumieć, w jaki sposób mogłem go swego czasu stroić taką tajemnicą, że jego zjawienie się na Polach Elizejskich przyprawiło mnie o bicie serca, do tego stopnia żem się wstydził zbliżyć do jego peleryny na jedwabiu, że do drzwi mieszkania gdzie żył taki człowiek nie byłem w stanie zadzwonić bez uczucia nieskończonego zmieszania i lęku; wszystko to znikło, nie tylko z jego domu ale i z jego osoby, a myśl o rozmowie z nim mogła mi być miła lub nie, ale nie wzruszała mnie w najlżejszej mierze.

I co więcej, jak on się zmienił od tego popołudnia, kiedym go spotkał — w sumie przed kilku godzinami — w gabinecie księcia Błażeja! Czy naprawdę miał z księciem Gilbertem rozmowę, która go wstrząsnęła? To nie było konieczne. Dla człowieka, który jest bardzo chory, najmniejszy wysiłek staje się rychło przemęczeniem. Niech go bodaj trochę już zmęczonego — zmoże upał sali balowej, twarz jego rozkłada się i sinieje, jak się dzieje w niespełna dzień z dojrzałą gruszką, lub z mlekiem bliskim skwaśnienia. Co więcej, włosy Swanna przerzedziły się miejscami i, jak powiadała Oriana, potrzebowały kuśnierza; wyglądały jak wyjęte z niedostatecznie użytej kamfory.

Miałem przebyć palarnię i zbliżyć się do Swanna, kiedy na nieszczęście czyjaś ręka spoczęła na mojem ramieniu.

— Jak się masz, kochanie, jestem w Paryżu na czterdzieści osiem godzin. Zaszedłem do ciebie, powiedziano mi że jesteś tutaj, tak że tobie zawdzięcza ciotka zaszczyt mojej obecności.

Był to Saint-Loup. Wyraziłem mu zachwyt dla tej rezydencji.

— Tak, to dość wygląda na zabytek historyczny. Mnie się to wydaje mordercze. Nie siadajmy blisko wuja Palamedy, inaczej nas zagarnie. Ponieważ pani Molé (obecna faworyta!) właśnie wyszła, wujaszek jest całkiem wykończony. Zdaje się, że to istny teatr; nie opuścił jej na krok, rozstał się z nią dopiero wsadziwszy ją do powozu. Nie mam o to pretensji do wuja; poprostu wydaje mi się zabawne, że rada rodzinna, tak surowa dla mnie, składa się właśnie z krewnych, którzy najbardziej się puszczała, zaczawszy od największego hulaki ze wszystkich, wuja Charlus. Ten facet, który jest moim urzędowym opiekunem, miał w życiu tyle kobiet co sam don Juan, i w swoim wieku jeszcze nie wyprzęga! W pewnej chwili była mowa o tem, aby mnie wziąć pod kuratelę. Myślę że kiedy wszyscy ci starzy dziwkarze zbierali się aby badać kwestję i sprowadzali mnie poto aby mi prawić morały i mówić że sprawiam zgryzotę matce, nie mogli na siebie popatrzeć aby się nie śmiać. Powiem ci skład tej rady; wygląda jakby umyślnie dobrali tych, którzy najwięcej zagłądali pod spódniczki.

Wylączając pana de Charlus, co do którego zdziwienie Roberta nie bardziej zdawało mi się usprawiedliwione (ale z innych przyczyn, które zresztą miały się przeobrazić później w moim umyśle), Saint-Loup niesłusznie uważał za coś nadzwyczajnego, że lekcje rozsądku dają młodemu człowiekowi krewni, którzy sami szaleli lub jeszcze szaleją.

Gdyby odgrywał tu rolę tylko atawizm, podobieństwa rodzinne, nieuchronne byłoby aby prawiący kazanie wujaszek miał mniej więcej te same wady co siostrzeniec otrzymujący połajankę. Niema w tem zresztą ze strony wuja żadnej obłud; ulega poprostu łatwości, z jaką ludzie w każdej nowej okoliczności wierzą, że to jest „co innego”; która-to właściwość pozwala im wierzyć w błędy artystyczne, polityczne etc., nie spostrzegając, że to są te same, które brali za prawdę przed dziesięciu laty z powodu innej szkoły malarstwa którą potępiali, innej sprawy politycznej, rzeczy które budziły w nich niegdyś wstręt, a które teraz przyjęli, nie poznając ich pod nowem przebraniem. Zresztą jeżeli nawet błędy wuja różnią się od błędów siostrzeńca, nie mniej dziedziczność może tu być poniekąd zasadą ich przyczynowości, skutek bowiem nie zawsze jest podobny do przyczyny jak kopia do oryginału, i nawet jeżeli błędy wuja są gorsze, ów może doskonale uważać je za mniej ciężkie.

Kiedy p. de Charlus robił pełne oburzenia wyrzuty Robertowi (który zresztą nie znał prawdziwych upodobań wuja), w owej epoce, a nawet gdyby to była jeszcze epoka, w której baron potępiał własne gusty, mógłby doskonale być szczery, znajdując — z punktu widzenia światowca — że Robert nieskończenie winniejszy jest od niego. Czyż, w chwili gdy wujowi polecono przywołać go do rozumu, Robertowi nie groziło to że znajdzie się poza nawiasem swego świata; czyż wiele brakło, aby go zbalotowano w Jockey'u; czyż nie był pośmiewiskiem z powodu szalonych wydatków na kobietę ostatniego rządu, zażyłości z literatami, aktorami, żydami, osobnikami z których ani jeden nie należał do świata; przekonań, które nie różniły się od przekonań zdrajców; zgryzoty jaką sprawiał wszystkim swoim. Jak możnaby równać to skandaliczne życie z życiem pana de Charlus, który umiał dotąd nietylko zachować ale uświetnić jeszcze swoją sytuacją rodową, będąc w towarzystwie osobą bezwzględnie uprzywilejowaną, poszukiwaną, wielbioną przez najwybrańszy świat; który, żonaty z księżniczką de Bourbon, kobietą niepospolitą, umiał ją uszczęśliwić, żywił dla jej pamięci najwyższy i najskrupulatniejszy kult, mało mający przykładów w świecie, i okazał się przez to równie dobrym mężem jak był dobrym synem!

— Ale czy ty jesteś pewny, że Charlus miał tyle kochanek? — spytałem, nie w diabolicznej intencji zdradzenia Robertowi podchwyczonego sekretu, ale bądźco bądź podrażniony tem, że on z taką pewnością i zarozumiałstwem broni fałszywego sądu. Wzruszył tylko ramionami na to, co uważał za naiwność z mojej strony. „Zresztą ja go nie potępiam (rzekł), uważam że ma zupełną słuszność”. I Robert zaczął szkicować teorię, która byłaby go przejęła zgrozą w Balbec (gdzie już nie hańba, ale śmierć zdawała mu się jedynie dostateczną karą na uwodzicieli). Bo wówczas był jeszcze zakochany i zazdrosny. Posunął się do tego, że mi zaczął zachwalać domy schadzek. „Tylko tam człowiek znajdzie trzewik na swoją nogę, to co my nazywamy w pułku *swój kaliber*.” Nie żywił już do tego

rodzaju miejsc owego wstępu, jaki objawiał w Balbec, kiedym wspomniał o czemś podobnym. Słyszając Roberta teraz, powiedziałem mu, że Bloch zapoznał mnie z zakładami tego rodzaju; ale Saint-Loup odrzekł, że zakład do którego uczęszczał Bloch, to musiała być „straszna bryndza, raj dla ubogich”. „To zależy, ostatecznie: gdzie to było?” Zbyłem go ogólnikami, bo przypomniałem sobie, że to tam oddawała się za ludwika owa Rachel, którą miał tak kochać. „W każdym razie zaprowadzę cię do znacznie lepszych, gdzie chodzą bajeczne kobiety. Kiedym go prosił, żeby mnie zaprowadził jaknajprędzej do znajomych sobie zakładów, które muszą być w istocie czemś o wiele wyższym od zakładu wskazanego przez Blocha, Robert wyraził szczery żal, że nie może tego uczynić obecnie, bo wyjeżdża jutro. „To będzie na następny raz, rzekł. Zobacysz, są nawet młode panny — dodał z tajemniczą miną. Jest tam pewna panna de... zdaje mi się d’Orgeville, powiem ci dokładnie, córka ludzi bardzo, ale to bardzo przyzwoitych, matka jest mniej lub więcej z domu La Croix-l’Êvêque, sama śmietanka, podobno nawet trochę krewni ciotki Oriany. Zresztą wystarczy ujrzeć tę małą, zaraz się czuje że to jest panna z najlepszego domu (czułem przez chwilę rozpościerający się na głosie Roberta cień ducha Guermantów, który przeszedł niby chmura, ale bardzo wysoko i nie zatrzymał się). To mi robi wrażenie jakiejś cudownej przygody. Rodzice są zawsze chorzy i nie mogą się nią zajmować. Ba, mała pociesza się jak może, i liczę na ciebie że znajdziesz rozrywki temu dziecku!

— Och, kiedy wracasz?

— Nie wiem, ale jeżeli ci nie zależy absolutnie na diuszessach (tytuł *diuszessy* jest dla arystokracji jedynym, który oznacza rangę szczególnie świetną, tak jakby lud powiedział *pryncesa*), jest tam w innym rodzaju, pierwsza panna służąca pani Putbus.

W tej chwili pani de Surgis weszła do sali gry szukając synów. Widząc ją, p. de Charlus podszedł z uprzejmością którą margrabina była tem milej zdziwiona, ile że spodziewała się raczej lodowatego chłodu ze strony barona, który przybierał rolę protektora Oriany i jedyny w rodzinie — zbyt często pobłażliwej dla księcia Błażeja z powodu spadku po nim i przez zawiść wobec księżnej — bojkotował bez litości kochanki swego brata. Toteż pani de Surgis doskonale by zrozumiała pobudki zachowania się, jakiego się obawiała ze strony barona, ale nie podejrzewała zgoła pobudek wręcz odmiennego przyjęcia jakie ją spotkało. P. de Charlus wspomniał z zachwytem o jej portrecie, zrobionym niegdyś przez Jacqueta. Zachwyt ten wzbil się wręcz do entuzjazmu, który, o ile po części interesowny (chodziło o to aby nie dać margrabinie odejść, aby nawiązać kontakt — jak mówił Robert o armjach nieprzyjacielskich, których stan liczebny pragniemy unieruchomić w pewnym punkcie), był może również i szczery. Bo jeżeli każdy z przyjemnością podziwiał w synach królewską postawę i oczy pani de Surgis, baron mógł doświadczyć odwrotnej ale równie żywej przyjemności, odnajdując te wdzięki zespolone w ich matce, niby na portrecie, który sam nie rodzi żądz, ale karmi estetycznym podziwem te które budzi. One to właśnie dały retrospektywnie zmysłowy czar nawet portretowi Jacqueta; w tej chwili baron kupiłby chętnie ten portret, aby na nim studjować fizjologiczny rodowód młodych Surgis.

— Widzisz, że nie przesadzałem — rzekł Robert. — Popatrz tylko, jak on nadskakuje tej Surgis. I nawet powiem, że mnie to dziwi. Gdyby Oriana wiedziała, byłaby wściekła. Szczerze mówiąc, dosyć jest tutaj kobiet, aby się wujaszek nie musiał rzucać na tę — dodał Saint-Loup, który, jak wszyscy ludzie nie zakochani, wyobrażał sobie, że się wybiera przedmiot miłości, po tysiącu rozważań, wedle rozmaitych przymiotów i konwencji. Zresztą, myśląc się na punkcie wuja którego uważał za kobieciarza, Robert, pod wpływem swojej urazy, mówił o panu de Charlus zbyt lekko. Nie jest się bezkarnie czyimś siostrzeńcem. Bardzo często za pośrednictwem wuja udziela się, wcześniej lub później, dziedziczny nawyk. Możnaby tak sporządzić całą galerję portretów, pod godłem niemieckiej komedji „wuj i siostrzeniec”, gdzie ujrzałoby się wuja czuwającego bacznie, mimo iż bezwiednie, nad tem, aby siostrzeniec stał się w końcu do niego podobny.

Dodam nawet, że ta galerja byłaby niekompletna, gdyby się w nią nie wprowadziło wujów bez żadnego istotnego pokrewieństwa, ile że są jedynie wujami żony siostrzeńca. Panowie de Charlus są w istocie tak przeświadczeni, że oni jedni są dobrymi mężami, cowiej jedynymi o których kobieta nie jest zazdrosna, że zazwyczaj przez przywiązanie do siostrzenicy wydają ją również za jakiegoś Charlusa. I to wikła motek podobieństw.

A z uczuciem do siostrzenicy łączy się czasami uczucie do jej oblubieńca. Takie małżeństwa nie są rzadkie i należą często do tak zwanych szczęśliwych.

— O czym mówiliśmy? A, o tej słusznej blondynce, pokojówce pani Putbus. Ona lubi też kobiety, ale sądzę że to ci jest wszystko jedno: mogę powiedzieć szczerze, nie widziałem nigdy równie pięknego stworzenia.

— Wyobrażam ją sobie dosyć „Giorgione”?

— Szalenie Giorgione! Och, gdybym miał czas zostać w Paryżu, co za wspaniałe rzeczy byłyby do zrobienia! A potem, przechodzi się do innej. Bo miłość, widzisz, to jest skończona błaga, wyleczyłem się już z tego.

Spostrzegłem niebawem ze zdziwieniem, że Robert wyleczył się nie mniej z literatury, podczas gdy za naszym ostatnim spotkaniem zdawał mi się jedynie rozczarowany do literatów („to prawie wszystko kanalja i Spółka” — powiedział mi, co by się dało wytłumaczyć jego słuszną urazą do niektórych przyjaciół Racheli. Wytłumaczyli jej w istocie, że nigdy nie będzie miała talentu, jeżeli pozwoli Robertowi, „człowiekowi z innej rasy”, wywierać wpływ na nią, i kpili sobie zeń z Rachelą w jego obecności, na obiadach jakie dla nich wyprawiał). Ale w rzeczywistości zamiłowania literackie Roberta nie miały nic głębszego, nie wynikały z jego prawdziwej natury, były jedynie ubocznym produktem miłości do Racheli i zatarły się w nim równocześnie ze wstrętem do donżuanów i z religijną czcią dla cnoty kobiet.

— Jaki ci dwaj młodzi ludzie mają szczególny wyraz twarzy. Niech pani spojrzy na tę ciekawą pasję do gry, margrabino — rzekł p. de Charlus, pokazując pani de Surgis jej synów, tak jakby absolutnie nie wiedział kto oni są. — To muszą być jacyś synowie Wschodu, mają pewne charakterystyczne rysy, może to są Turcy — dodał równocześnie, aby potwierdzić jeszcze swoją udaną niewinność i aby dać dowód instynktownej antypatii, która, gdyby ustąpiła później uprzejmości, dowiodłaby, że ta uprzejmość dotyczy młodych ludzi jedynie jako synów pani de Surgis, ile że zaczęła się dopiero w chwili gdy się baron dowiedział kim są. Może też p. de Charlus, u którego impertynencja była darem wrodzonym i uprawianym z rozkoszą, skorzystał z minuty gdy rzekomo nie znał nazwiska młodych ludzi, aby się zabawić kosztem pani de Surgis i dać folgę swoim zwyczajnym drwinom, jak Scapin korzysta z przebrania swego pana, aby mu wrzepić porcję kijów.

— To moi synowie — rzekła pani de Surgis, z rumieńcem którego by sobie oszczędziła, gdyby nie będąc cnotliwszą, była sprytniejsza. Zrozumiałaby wówczas, że u pana de Charlus wyraz absolutnej obojętności lub szyderstwa w stosunku do jakiegoś młodego człowieka równie mało jest szczerzy, jak zdawkowy podziw okazywany kobiecie nie wyraża prawdziwej natury barona. Kobieta, którą obsypywał pochlebstwami i komplementami bez końca, mogłaby być zazdrosna o spojrzenie, jakie, rozmawiając z nią, słał w stronę mężczyzny, którego jak to udawał później — rzekomo nie zauważył. Bo owo spojrzenie było różne od tych, które p. de Charlus miał dla kobiet; spojrzenie specjalne, idące z głębi, nawet na zabawie nie zdolne się wstrzymać aby nie biec naiwnie ku młodym ludziom, niby spojrzenia krawca zdradzające jego rzemiosło sposobem w jaki natychmiast robią przegląd ubrania.

— Och, to ciekawe, odparł dość impertynencko p. de Charlus, z miną człowieka, którego myśl musiała przebyć długą drogę, zanim doszła do rzeczywistości zupełnie innej niż jego rzekome domysły. Ale ja ich nie znam — dodał, bojąc się iż zaszedł za daleko w wyrazie antypatii i że sparaliżował tem w margrabinie zamiar przedstawienia mu synów.

— Czy pan pozwoli łaskawie przedstawić ich sobie? — spytała nieśmiało pani de Surgis.

— Ależ, mój Boże, jak pani uważa; ja i owszem, ale nie jestem może figurą zbyt zabawną dla tak młodych ludzi — wyśpiewał p. de Charlus z wahającą się i chłodną miną człowieka który się zmusza do grzeczności.

— Arnulfie, Wikturnianie, chodźcie prędko — rzekła pani de Surgis. Wikturnian wstał żywo, Arnulf, wzorując się na bracie, udał się posłusznie za nim.

— Teraz kolej na synów! — rzekł do mnie Robert. — To można umrzeć ze śmiechu. Przymilałby się nawet pieskowi domowemu. To jest tem komiczniejsze, że Palamed nienawidzi żygolaków. I popatrz, jak on ich poważnie słucha. Gdybym to ja chciał mu ich przedstawić, ależ posłałby mnie na zbity łeb! Słuchaj, trzeba mi będzie przywitać się

z Orianą. Na tak krótko jestem w Paryżu, że chciałbym tutaj zobaczyć się ze wszystkimi, którym inaczej musiałbym rzucać bilety.

— Jacy oni są dobrze wychowani, jakie mają ładne wzięcie — mówił równocześnie p. de Charlus.

— Uważa pan? — odpowiedziała pani de Surgis uszczęśliwiona.

Swann, spostrzegłszy mnie z Robertem, zbliżył się do nas. Żydowska wesołość była u Swanna mniej subtelna niż jego żarty światowca.

— Dobry wieczór — rzekł. — Mój Boże, stoimy tak we trzech, świat będzie myślał, że to zebranie syndykatu. Mało braknie, a zaczną się dowiadywać, gdzie jest kasa!

Swann nie spostrzegł, że p. de Beaucerfeuil stoi za nim i słyszy. Mimowoli generał zmarszczył brwi. Usłyszeliśmy głos pana de Charlus tuż koło nas:

— Jakto, pan się nazywa Wikturnian, jak w *Gabinecie starożytności* — mówił baron, pragnąc przedłużyć rozmowę z młodymi ludźmi.

— Balzaka, tak — odparł starszy de Surgis, który nigdy nie czytał ani litery tego powieściopisarza, ale któremu nauczyciel zwrócił przed kilku dniami uwagę na zgodność jego imienia z imieniem młodego d'Esgrignon. Pani de Surgis była zachwycona, widząc że syn tak się popisał, a p. de Charlus oczarowany był tym ogromem wiedzy.

— Zdaje się, że Loubet jest całkowicie z nami, wiem z najlepszego źródła — rzekł Swann do Roberta, ale tym razem ciszej, aby generał nie słyszał. Stosunki republikańskie żony stały się dla Swanna bardziej interesujące, od czasu jak sprawa Dreyfusa stanowiła centrum jego zainteresowań. — Mówię to panu, bo wiem, że pan idzie z nami ręką w rękę.

— Ależ wcale nie tak bardzo, myli się pan całkowicie — odparł Robert. — To jest sprawa źle zaczęta, i bardzo żałuję, że w nią wpakowałem. Nie miałem tam nic do roboty. Gdyby to można było odrobić, trzymałbym się całkiem z boku. Ja jestem żołnierz, i przede wszystkim jestem za armją. — Jeżeli zostajesz chwilę z panem Swann, pójdę odszukać ciotkę, rzekł Robert do mnie. Ale ujrzałem, że poszedł rozmawiać z panną d'Ambresac; przykro mi się zrobiło na myśl, że Robert skłamał mi co do swoich możliwości zaręczyn. Rozpogodziłem się kiedyś się dowiedział, że dopiero przed pół godziną przedstawiła go pannie pani de Marsantes, która pragnęła tego małżeństwa, bo państwo d'Ambresac byli bardzo bogaci.

— Słowem — rzekł baron do pani de Surgis — widzę oto młodego człowieka wykształconego, który czytał, który wie co to jest Balzac. I tem większą przyjemność sprawia mi, że spotykam te zalety tam gdzie się one stały najrzadsze, u kogoś z mojej sfery, u jednego z naszych — dodał, kładąc nacisk na te słowa. Daremnie Guermantowie udają, że uważają wszystkich ludzi za równych: w wielkich okazjach, znalazłszy się wobec ludzi „urodzonych”, a zwłaszcza mniej dobrze „urodzonych”, którym pragnęli i mogli pochlebić, nie wahali się wyciągnąć starych wspomnień rodzinnych. Niegdyś — ciągnął baron arystokracja to znaczyło *najlepsi*, inteligencją, sercem. I oto pierwszy z naszej sfery, który wie, co to Wikturnian d'Esgrignon! Niesłusznie mówię pierwszy. Jest jeszcze Polignac, i jest Montesquiou, dodał p. de Charlus, wiedząc że to podwójne zestawienie do reszty upoi margrabinię. Zresztą, synowie pani mają się w kogo wdać, ich dziadek po kądzieli miał sławną kolekcję osiemnastowieczną. Pokażę panu moją, jeżeli mi pan zrobi tę przyjemność, aby zejść do mnie którego dnia na śniadanie; rzekł do młodego Wikturniana. Pokażę panu ciekawe wydanie *Gabinetu starożytności*, z poprawkami ręką Balzaka. Miło mi będzie skonfrontować dwóch Wikturnianów.

Nie mogłem się zdecydować na rozstanie ze Swannem. Doszedł do tego stopnia znużenia, gdy ciało chorego jest już tylko próbówką, w której śledzi się reakcje chemiczne. Twarz jego znaczyła się sinemi punkcikami, robiącymi wrażenie czegoś już niemal trupiego, i wydzielała ów swoisty zapach, jaki w liceum czyni tak przykrym pobyt w gabinecie fizycznym po „godzinie doświadczeń”. Spytałem, czy nie miał dłuższej rozmowy z księciem Gilbertem i czy nie zechciałby mi jej opowiedzieć.

— Owszem — odparł — ale niech pan idzie na chwilę z panem de Charlus i z panią de Surgis, zaczekam tutaj.

W istocie, p. de Charlus, zaproponowawszy pani de Surgis, aby opuścić ten przegrany pokój i usiąść na chwilę w drugim, nie synów zaprosił aby towarzyszyli matce, ale mnie. W ten sposób, zwabiwszy ich, stwarzał pozór, że nie zależy mu na tych młodych

ludziach. Co więcej, wyświadczał mi łaskę dość tanią, ile że pani de Surgis-le-Duc była lichy notowana.

Na nieszczęście, ledwie siedliśmy we framudze bez drzwi, zjawiła się pani de Saint-Euverte, przedmiot żarcików barona. Chcąc zamaskować niechęć, jaką budziła w panu de Charlus, lub może chcąc jawnie stawić jej czoło, a zwłaszcza okazać że jest blisko z damą, która rozmawia tak poufale z baronem, pani de Saint-Euverte rzuciła niedbale i przyjacielskie przywitanie słynnej piękności, która odpowiedziała jej, zerkając z drwiącym uśmiechem na pana de Carlus. Ale oścież była tak wąska, że kiedy pani de Saint-Euverte chciała za nami dalej zbierać jutrzejszych gości, uwięzła tam i nie mogła się wydobyć; cenna chwila, z której skwapliwie skorzystał p. de Charlus, pragnąc błysnąć impertynenką werwą w oczach matki dwóch efebów. Głupie pytanie, zadane przezemnie bez złej intencji, dostarczyło baronowi okazji do tryumfального kupletu, z którego unieruchomiona za nami biedna Saint-Euverte nie mogła stracić ani słowa.

— Czy pani uwierzy, że ten postrzelony młody człowiek — rzekł, wskazując na mnie, baron do pani de Surgis — spytał mnie (bez najmniejszej troski oto, że tego rodzaju potrzeby należy ukrywać), czy ja idę do pani de Saint-Euverte, co znaczy, jak sądzę, czy mnie brzuch boli. Staralbym się, w każdym razie, ulżyć sobie w miejscu bardziej komfortowym, niż u osoby, która, o ile mnie pamięć nie myli, święciła stulecie swoich urodzin wówczas gdy ja zaczynałem bywać w świecie, to znaczy nie u niej. A jednak kogoż bardziej warto byłoby posłuchać! Ileż wspomnień historycznych, oglądanych i przeżytych za pierwszego cesarstwa i za Restauracji; ileż sekretnych awanturek (do których robi aluzję to nazwisko; *eu* znaczy po grecku: „dobrze”, *verte* znaczy po łacinie: „obrót”). Dobrze też wyobrać naszą czcigodną babinę, do syta! Ale coby mi bronilo interviewowania jej w przedmiocie owych namiętnych epok, to wrażliwość mego zmysłu powonienia. Bliskość tej damy wystarcza mi. Powiadam sobie nagle: „Och, Boże, rura w wychodku pękła”; otóż nie, to poprostu margrabina otworzyła usta, aby kogoś zaprosić na swój wieczór. I pojmuje pani, że gdybym miał nieszczęście iść do niej, kloaka zmieniałaby się w olbrzymią beczkę nieczystości. Nosi nazwisko mistyczne, które przypomina, że jeżeli wszystko po śmierci obraca się w proch, to i owo jeszcze za życia obraca się w łajno. Powiadają mi, że ta niestrudzona puszczalska puszcza się na *garden party*; ja bym to nazwał „zaproszeniem do przechadzki po kanałach”. — Czy pani również ma tam zamiar się zasmrodzić, spytał baron pani de Surgis, wyraźnie zakłopotanej. Bo chcąc udać przed baronem że tam nie idzie, a wiedząc że raczej oddałaby pół życia niżby się wyrzekła *garden-party* margrabiny, w kłopotcie tym obrała drogę pośrednią, to znaczy niepewność. Ta niepewność przybrała formę tak głupio i tak płasko eklektyczną, że p. de Charlus, ryzykując obrazę pani de Surgis, dla której wszakże chciał być miły, zaczął się śmiać aby jej dowieść że to „nie chwyta”.

— Podziwiam zawsze ludzi, którzy robią projekty — rzekła pani de Surgis; ja często wymawiam się w ostatnim momencie. Kwestja letniej sukni może zmienić wszystko. Zrobię wedle natchnienia chwili.

Co do mnie, byłem oburzony ohydą napaścią pana de Charlus. Byłbym rad osłodzić to organizatorce *garden-party*. Na nieszczęście, w „towarzystwie”, jak w świecie politycznym, ofiary są tak nikczemne, że nie można się długo oburzać na ich katów. Pani de Saint-Euverte, zdoławszy się wydobyć z framugi do której zatarasowaliśmy przystęp, przechodząc otarła się mimowoli o barona i przez odruch snobizmu neutralizujący w niej wszelki gniew, może nawet w nadziei nawiązania rozmowy w sposób który nie musiał być pierwszą próbą: „Och! przepraszam pana, panie de Charlus, mam nadzieję, że pana nie potrąciłam”; — wykrzyknęła tak, jakby klękała przed swoim panem. Baron nie raczył odpowiedzieć inaczej niż szerokim ironicznym śmiechem; bąknął jedynie „dobry wieczór”, tak jakby spostrzegł obecność margrabiny dopiero w chwili gdy mu się ukloniła pierwsza, co było jedną zniewagą więcej. Wreszcie z bezmiarem upodlenia, które mnie bolało za nią, pani de Saint-Euverte podeszła bliżej i wzięwszy mnie na bok, szepnęła: „Ależ co ja takiego zrobiłam panu de Charlus? Twierdzą, że nie jestem dość elegancka dla niego”, rzekła śmiejąc się na całe gardło. Nie uśmiechnąłem się. Z jednej strony wydało mi się idjotyczne iż ona udaje że wierzy lub też chce wmówić że nikt nie jest równie „szykowny” jak ona. Z drugiej strony, ludzie śmiejący się tak głośno z tego co mówią a co nie jest zabawne, uwalniają nas, biorąc wszystkie koszty wesołości na siebie, od brania w niej udziału.



— Inni upewniają mnie — ciągnęła pani de Saint-Euverte — że baron jest urażony o to że go nie zapraszam. Ale on mnie też zbyt nie zachęca! Robi wrażenie, że się dąsa na mnie (wyrażenie wydało mi się słabe). Niech się pan postara zbadać to i przyjdzie mi powiedzieć jutro. A jeżeli baron będzie miał wyrzuty sumienia i zechce panu towarzyszyć, niech go pan przyprowadzi. Wszelki grzesznik ma prawo do odpuszczenia. Tę mi nawet sprawiło pewną przyjemność, z powodu pani de Surgis, która byłaby zła o to. Daję panu *carte blanche*. Pan ma doskonale wyczucie takich rzeczy, a ja nie chcę robić wrażenia, że łowię gości. W każdym razie na pana liczę z pewnością.

Pomyślałem, że czekanie na mnie może zmęczyć Swanna. Nie chciałem zresztą wracać za późno z powodu Albertyny; zaczęłam, pożegnawszy panią de Surgis i barona, wróciłem do Swanna do sali gry. Spytałem go, czy w sprawie, o której rozmawiał z księciem w ogrodzie, chodziło w istocie o to co p. de Bréauté (którego nie wymieniłem) nam powtórzył, a co się tyczyło jednoaktówki Bergotte'a. Parsknął śmiechem:

— Nie ma w tem ani słowa prawdy, ani jednego słowa; to całkowicie z palca wyssane i byłoby zupełnie głupie. Doprawdy, to jest niesłychana rzecz, to samoródtwo bajek. Nie pytam, kto to panu powiedział, ale byłoby doprawdy ciekawe, w ramie tak ograniczonej, przejść jedno ogniwo po drugim, aby dojść w jaki sposób to powstało. Zresztą, czy to może kogo interesować, co mi powiedział książę Gilbert? Ludzie są bardzo ciekawi. Ja nie byłem nigdy ciekawy, wyjąwszy kiedy byłem zakochany i zazdrosny. I dużym się dowiedział! Czy pan jest zazdrosny?

Powiedziałem, że nigdy nie doznawałem uczucia zazdrości, nie wiem nawet co to jest.

— Haha! w takim razie, wiesz panu. Kiedy się jest trochę zazdrosnym, to nie jest zbyt niemiłe, z dwójki punktu widzenia. Z jednej strony dlatego, że to pozwala ludziom nie ciekawym z natury interesować się życiem innych osób lub bodaj jednej osoby. A powtóre dlatego, że to dosyć dobrze daje czuć słodycz posiadania, wsiadania z kobietą do powozu, nie zostawiania jej samej. Ale to tylko w samych początkach choroby, lub wówczas kiedy się jest prawie wyleczonym. W innej sytuacji, to jest najokropniejsza z cierpień. Zresztą, muszę się panu przyznać, że nawet owe dwie słodycze, o których wspominałem, mało mi są znane; pierwsza z winy mojej natury, nie zdolnej do przydługich refleksyj; druga z powodu okoliczności, z winy kobiety, — to jest chciałem rzec kobiet, o które byłem zazdrosny. Ale to nic nie znaczy. Nawet kiedy człowiekowi nie zależy na tych rzeczach, nie jest całkiem obojętne, że mu kiedyś na nich zależało; bo to było zawsze z przyczyn, które umykały się innym. Czujemy, że wspomnienie takich uczuć istnieje tylko w nas; trzeba wejść w samego siebie, aby je oglądać. Nie drwij pan sobie nadto z tej idealistycznej gwary; chcę poprostu powiedzieć, że ja bardzo kochałem życie i bardzo kochałem sztukę. I cóż, teraz, kiedy jestem nadto zmęczony na to aby żyć z drugimi, te moje dawne uczucia, tak osobiście *moje*, wydają mi się — ot, manja wszystkich kolekcjonerów! — bardzo cenne. Otwieram dla samego siebie własne serce niby witrynę; oglądam kolejno tyle miłości, których inni nie mogli znać. I o tej kolekcji, do której jestem teraz bardziej jeszcze przywiązany niż do innych, powiadam sobie — trochę jak Mazarin o swoich książkach, ale zresztą bez żadnego lęku — że bardzo głupio będzie opuścić to wszystko. Ale wróćmy do rozmowy z księciem Gilbertem; opowiem ją tylko jednej osobie, właśnie panu.

W słuchaniu Swanna przeszkadzał mi djałóg, który tuż obok nas p. de Charlus, wróciwszy do sali gry, przeciągał bez końca. „I pan także czyta? Co pan wogóle robi?” — pytał hrabiego Arnulfa, który nie znał nawet nazwiska Balzaka. Ale krótki wzrok tego młodzieńca, sprawiając iż widział wszystko bardzo pomniejszone, dawał mu wejrzenie człowieka widzącego bardzo daleko, tak iż — rzadka poezja w posągowym bogu greckim — w źrenicach jego odbijały się jakby odległe i tajemnicze gwiazdy.

— Gdybyśmy się przeszli trochę po ogrodzie, rzekłem do Swanna, podczas gdy hrabia Arnulf spieszczonym głosem, zdającym się wskazywać że jego rozwój (przynajmniej umysłowy) nie jest kompletny, odpowiadał panu de Charlus z uprzejmą i naiwną ścisłością:

— Och, ja, to raczej golf, tenis, piłka nożna, zawody piesze, zwłaszcza polo.

Rzekłbyś Minerwa, która, rozszczępiwszy się, przestała w pewnym mieście być boginią mądrości i wcieliła część samej siebie w czysto sportowe, hippiczne bóstwo *Atene Hippia*.

Arnulf jeździł też do Saint-Moritz na narty, bo Pallas Trilogeneia wspina się na wysokie szczyty i dopędza jeźdźców.

— A! — odpowiedział p. de Charlus z pobłażliwym uśmiechem intelektualisty, który nie zadaje sobie nawet trudu ukrywać że kpi, ale który zresztą czuje się tak bardzo wyższy od innych i tak gardzi inteligencją ludzi najmniej głupich, że zaledwie ich odróżnia od najgłupszych, z chwilą gdy mu przypadli do smaku na inny sposób. Rozmawiając z Arnulfem, p. de Charlus uważał, że mu nadaje przez to samo godność, którą cały świat powinien uznawać i zazdrościć mu jej.

— Nie — odrzekł Swann; nadto jestem zmęczony aby chodzić, usiądźmy raczej gdzieś w kącie, nie trzymam się już na nogach.

Była to prawda, a jednak już to że zaczął rozmawiać wróciło mu trochę żywotności. Bo w najbardziej realnym zmęczeniu jest, zwłaszcza u ludzi nerwowych, cząstka, która zależy od uwagi i która się przechowuje jedynie drogą pamięci. Człowiek czuje się nagle zmęczony, kiedy się obawia że nim będzie; aby się pozbyć zmęczenia, wystarczy zapomnieć o niem. Z pewnością Swann nie należał do tych niewyczerpanych cherlaków, którzy, przybyszy z mordowanymi, bez duszy, ledwie się trzymając na nogach, odżywają pod wpływem rozmowy niby kwiat w wodzie i mogą godziny całe czerpać z własnych słów siły, których nie przelewają na nieszczęście w słuchaczy, coraz to bardziej przybitych, w miarę jak mówca czuje się rozbudzony. Ale Swann należał do tej silnej rasy żydowskiej, w której żywotność i odporność wobec śmierci cechuje nawet jednostki. Każdy z nich, naznaczony jakąś chorobą, jak sama rasa naznaczona jest prześladowaniem, szamoce się bez końca w straszliwych agonjach, mogących się przeciągnąć poza granice prawdopodobieństwa, kiedy widać już tylko brodę proroka ze sterczącym olbrzymim nosem, rozszerzającym się aby wciągać ostatnie tchnienia, przed godziną rytualnych modlitw, kiedy to punktualnie rozpoczyna się defilada dalekich krewnych, posuwających się z mechanicznymi gestami, niby na fryzie asyryjskim.

Poszliśmy usiąść, ale zanieśmy się oddalili od grupy, jaką p. de Charlus tworzył z dwoma młodymi Surgis i ich matką, Swann nie mógł się powstrzymać aby nie wlepić w gors pani de Surgis oczu znawcy, szeroko rozwartych i pożądlivych. Włożył monokl, aby lepiej widzieć, i rozmawiając ze mną, raz po raz słał spojrzenie w stronę tej damy.

— Oto słowo w słowo — rzekł kiedyśmy usiedli — moja rozmowa z księciem Gilbertem; a jeżeli pan sobie przypomina co mówiłem świeżo, zobaczy pan, czemu pana biorę za powiornika. A przytem jest jeszcze inna racja, o której się pan dowie kiedyś. „Mój drogi Swann — powiedział książę Gilbert; darujesz mi, jeżeli się wydawało, że cię unikam od jakiegoś czasu. (Wcale tego nie zauważyłem, będąc chory i sam unikając świata). Po pierwsze, słyszałem i przewidywałem, że w nieszczęśliwej sprawie, dzielącej nasz kraj, ty masz przekonania całkiem sprzeczne z moimi. Otóż, byłoby mi nadzwyczaj przykro, gdybyś je wyrażał w mojej obecności. Moja nerwowość na tym punkcie była taka, że kiedy przed dwoma laty żona moja usłyszała w ustach swego szwagra, wielkiego księcia heskiego, że Dreyfus jest niewinny, nietylko odparła te słowa bardzo żywo, ale nie powtórzyła mi ich, aby mnie nie drażnić. Prawie w tej samej epoce, szwedzki następca tronu przybył do Paryża i usłyszawszy prawdopodobnie że cesarzowa Eugenia jest dreyfusistką, pomylił ją z księżną Marją (dziwne pomieszenie, przyznasz Swann, kobiety na stanowisku mojej żony z hiszpanką o wiele gorzej urodzoną niż się powiada i zamężną za zwykłym Bonapartem) i powiedział jej: »Księżno, jestem podwójnie szczęśliwy, że panią widzę; wiem, że pani ma te same poglądy co ja na sprawę Dreyfusa, co mnie nie dziwi, skoro Wasza Wysokość jest Bawarką«. Co zyskało księciu następcy tę odpowiedź: »Wasza Wysokość, jestem już tylko księżną francuską i myślę tak jak wszyscy moi rodacy«. Otóż, mój drogi Swann, będzie temu półtora roku, rozmowa z generałem de Beaucerfeuil obudziła we mnie podejrzenie, że w toku procesu popełniono nie omyłkę, ale poważne nieprawidłowości”...

Przerwał nam (Swann nie chciał, aby ktoś słyszał jego opowiadanie) głos pana de Charlus, który (nie troszcząc się zresztą o nas) odprowadzał panią de Surgis i przystanął, próbując ją zatrzymać jeszcze, czy to z powodu synów, czy z powodu owej właściwej Guermantom obawy przed skończeniem się chwili obecnej — obawy pogrążającej ich w jakimś trwożliwym bezwładzie. Nieco później Swann powiedział mi w tym przedmiocie coś, co nazwisku Surgis-le-Duc odjęło w moich oczach wszelką poezję, jaką w niem znajdowa-

lem. Margrabina<sup>2</sup> de Surgis-le-Duc miała o wiele większą sytuację w świecie i o wiele piękniejsze parantele, niż jej kuzyn, hrabia de Surgis, który, będąc ubogi, żył na wsi. Ale słówko kończące tytuł, owo „le Duc”, nie miało bynajmniej początków, które mu przypisywałem i które każały mi je zbliżyć w wyobraźni z takim Bourg-l'Abbé, Bois-le-Roi, etc. Całkiem poprostu, któryś hrabia de Surgis ożenił się za Restauracji z córką bardzo bogatego przemysłowca, pana Leduc, albo Le Duc, syna znowuż fabrykanta produktów chemicznych, najbogatszego człowieka swojej epoki, para Francji. Dla syna zrodzonego z tego małżeństwa Karol X utworzył markizat Surgis-le-Duc, ile że markizat de Surgis istniał już w rodzinie. Przyrostek mieszczańskiego nazwiska nie przeszkodził tej gałęzi skoligacić się, dzięki olbrzymiemu majątkowi, z pierwszymi rodzinami Francji. Obecna margrabina de Surgis-le-Duc, sama z wielkiego domu, mogłaby mieć pozycję pierwszorzędną. Demon perwersji pchnął ją do tego, aby, gardząc osiągniętą już sytuacją, uciec od męża i żyć najskandaliczniej. Świata, którym pogardziła mając dwadzieścia lat, wówczas gdy był u jej stóp, zaczęło jej okrutnie brakować w trzydziestym roku, kiedy od dziesięciu lat nikt, z wyjątkiem nielicznych wiernych przyjaciółek, nie kłaniał się jej; wówczas postanowiła pracowicie odzyskać, punkt po punkcie, to co posiadała od urodzenia. Tęgo rodzaju peregrynacje nie są rzadkie.

Co się tyczy wielkich panów, jej krewnych, wzgardzonych niegdyś przez nią i z kolei jej okazujących wzdanie, radość jaką byłoby dla niej ściągnąć ich do siebie, składała margrabina na wspomnienia dzieciństwa. I mówiąc to dla pokrycia swego snobizmu, mniej może kłamała niż sądziła sama. „Błażej, to cała moja młodość!” powiadała w dniu kiedy książę powrócił do niej. I w istocie, to była trochę prawda. Ale źle obliczyła, obierając go na kochanka. Bo wszystkie przyjaciółki księżnej Oriany ujęły się za prawowitą żoną i w ten sposób pani de Surgis miała się po raz drugi osunąć ze skarpy, na którą z takim trudem przyszło się jej wdrapać.

— Więc tak! — mówił do niej p. de Charlus, który starał się przedłużyć rozmowę. Złoży pani mój hołd u stóp pięknego portretu. Jakże się miewa, co się z nim dzieje?

— Ależ — rzekła pani de Surgis — niech sobie pan wyobrazi, że go już nie mam; mężowi się nie podobał.

— Nie podobał! Jedno z arcydzieł naszej epoki, równe księżnej de Châteauroux Nattiera, zresztą kuszące się o utrwalenie nie mniej majestatycznej i zabójczej piękności. Och, ten błękitny kołnierzyk! Można powiedzieć, że nigdy Ver Meer nie namalował materji bardziej po mistrzowsku. Nie mówmy tego zbyt głośno, aby Swann nie napadł na nas, chcąc pomścić swego ulubionego malarza, mistrza z Delft.

Margrabina obróciła się z uśmiechem i podała rękę Swannowi, który uniósł się nieco, aby się jej uklonić. Ale prawie bez udania — jakgdyby podeszły wiek odjął mu bądź wolę moralną, przez obojętność na opinię, bądź władzę fizyczną, przez nasilenie żądz i osłabienie sprężyn zdolnych ją ukryć — z chwilą gdy Swann, ściskając rękę margrabiny, ujrzał zbliska i z wysoka jej gors, zapuścił baczne, poważne, pochłonięte, niemal zatroskane spojrzenie w głębiny biustu, a nozdrza jego, upojone zapachem kobiety, zatrzepotały niby motyl gotowy usiąść na dojrzałym kwiecie. Opanował nagle zawrót jaki go ogarnął, a sama pani de Surgis, mimo że zażenowana, zdławiła głęboki oddech, tak żądza bywa czasami zaraźliwa. „Malarz obraził się — rzekła do pana de Charlus — i odebrał portret. Mówiono mi, że jest teraz u Diany de Saint-Euverte. — Nie uwierzę nigdy — odparł baron — aby arcydzieło miało tak zły gust”.

— Mówi o jej portrecie. I ja pogwarzyłbym z nią niegorzej od Charlusa o tym portrecie — rzekł do mnie Swann, naśladowując rozwlekły akcent uliczników i ścigając oczami oddalającą się parę. — I to by mi sprawiło z pewnością więcej przyjemności niż Charlusowi — dodał.

Spytałem, czy to, co mówią o panu de Charlus, jest prawda, w czym kłamałem dubeltowo, bo o ile nie wiedziałem aby kiedy co mówiono, wzamian za to doskonale wiedziałem od niedawna, że to o czym myślę jest prawdą. Swann wzruszył ramionami, tak jakbym powiedział niedorzeczność:

<sup>2</sup>*margrabina Surgis-le-Duc* — kilkanaście stron przedstawił nam ją Proust jako księżnę de Surgis-le-Duc. [przypis redakcyjny]

— To znaczy — rzekł — że on jest czarujący przyjaciel. Ale czy potrzebuję dodawać, że to jest czysto platoniczne? Jest bardziej sentymentalny od innych, oto wszystko; z drugiej strony, ponieważ nie posuwa się nigdy zbyt daleko z kobietami, dało to pewne pozory prawdy niedorzecznym pogłoskom, o których pan wspomina. Charlus kocha może bardzo swoich przyjaciół, ale niech pan będzie pewny, że to się nigdy nie działo gdziekolwiek indziej niż w głowie i w sercu. No, teraz może będziemy mieli parę chwil spokoju. Zatem, książkę Gilbert ciągnął dalej: „Przyznam ci się, że ta myśl o możebnej nielegalności w procedurze procesu była mi nadzwyczaj przykra, z powodu kultu jaki — wiesz o tem — mam dla armji; ponowiłem rozmowę z generałem i nie miałem już niestety żadnej wątpliwości w tym względzie. Powiem ci szczerze, Swann, że myśl, aby niewinny mógł cierpieć najhaniańszką karę, nie powstała mi nawet w głowie. Ale, poprzez tę myśl o nielegalności, zacząłem studjować to, czego wprzód nie chciałem czytać, i oto wątpliwości — tym razem już nie co do form procedury ale co do samej winy — zaczęły mnie nawiedzać. Nie uważałem za potrzebne wspominać o tem żonie. Bóg wie, że stała się równie dobrą Francuzką jak ja. Mimo wszystko, w dniu gdym ją zaślubił, włożyłem tyle kokieteryj w to aby jej pokazać całą piękność naszej Francji i co było dla mnie najpiękniejsze, jej armję, że było mi zbyt okrutne dzielić się z nią podejrzeniami, które dotykały, co prawda, jedynie kilku oficerów. Ale ja jestem z rodziny wojskowych, nie chciałem wierzyć, aby oficerowie mogli się mylić. Jeszcze raz pomówiłem z Beaucerfeulem; przyznał mi, że dokonano występnych machinacyj, że *bordereau* może nie jest ręki Dreyfusa, ale że jaskrawy dowód jego winy istnieje. To był dokument pułkownika Henry. I w kilka dni później wyszło na jaw, że to jest fałszerstwo! Wówczas, w sekrecie przed księżną, zacząłem czytywać codziennie »*Siecle*«, »*Aurore*«; niebawem nie miałem już żadnej wątpliwości, nie mogłem sypiać. Zwierzyłem się ze swoich cierpień moralnych naszemu przyjacielowi, księdzu Poiré, u którego, ku memu zdumieniu, spotkałem się z tem samym przekonaniem i kazałem mu odprawić mszę na intencję Dreyfusa, jego nieszczęśliwej żony i dzieci. Wśród tego wszystkiego, pewnego rana, udając się do księżnej, ujrzałem, że pokojówka jej kryje coś co trzyma w ręku. Spytałem, śmiejąc się, co to takiego; zaczerwieniła się i nie chciała powiedzieć. Miałem największe zaufanie do żony, ale to wydarzenie wstrząsnęło mnie bardzo, a z pewnością i księżnę, której pokojówka musiała je opowiedzieć, bo moja droga Marja ledwie się do mnie odezwała przy śniadaniu. Spytałem tego dnia księdza Poiré, czy mógłby odprawić nazajutrz moją mszę za Dreyfusa...

— Oho! — wykrzyknął Swann półgłosem, urywając.

Podniosłem głowę i ujrzałem księcia Błażeja, który szedł ku nam.

— Przepraszam, że wam przeszkadzam, moje dzieci. Kochany panie — rzekł zwracając się do mnie — jestem wydelegowany do pana przez Orianę. Gilbertostwo prosili nas, abyśmy zostali u nich na kolacji w jakieś pięć czy sześć osób: tylko księżna heska, pani de Ligné, pani de Tarante, pani de Chevreuse, księżna d’Arenberg. Na nieszczęście, nie możemy zostać, bo idziemy na taką sobie małą redutę.

Słuchałem księcia, ale ilekroć mamy coś do zrobienia w oznaczonym momencie, sami polecamy pewnej osobistości, przyzwyczajonej do tego rodzaju usług, aby pilnowała godziny i uprzedziła nas w porę. Ten niejako wewnętrzny kamerdyner przypomniał mi — jak go o to przed kilku godzinami prosiłem — że Albertyna, w tej chwili bardzo daleka moim myślom, ma przyjść do mnie zaraz po teatrze. To też odmówiłem pozostania na kolacji. Nie znaczy to, abym się nie czuł dobrze u księżnej. Tak więc ludzie mogą mieć kilka rodzajów przyjemności. Prawdziwa jest ta, dla której opuszczają inną. Ale ta znowuż, jeżeli jest jawna, lub nawet jedynie jawna, może zmylić co do pierwszej, uspakaja lub wiedzie na fałszywy trop zazdrosnych, myli sąd świata. A przecież, na to abyśmy poświęcili tę przyjemność dla tamtej, wystarczyłoby trochy szczęścia lub trochy cierpienia. Czasami trzecia kategoria przyjemności poważniejszych, ale bardziej istotnych, nie istnieje dla nas jeszcze; możliwość ich wyraża się w nas jedynie jakimś żalem, zniechęceniem. A jednak tym właśnie przyjemnościom oddamy się później. Aby dać tego przykład, zupełnie mimochodem: wojskowy w czasie pokoju wyrzecz się życia światowego dla miłości, ale z chwilą wypowiedzenia wojny (i nie potrzeba tu nawet wprowadzać pojęcia patriotyzmu, obowiązku) poświęci miłość dla silniejszej niż miłość namiętności bicia się.

Próżno Swann powiadał mi, że rad jest iż może mi opowiedzieć swoją historię; czułem, że nasza rozmowa, z powodu późnej pory i dolegliwej choroby Swanna, jest dlań

jednym z owych wysiłków, których ci, co wiedzą że zabijają się niespaniem lub ekscesami, rozpaczliwie żałują za powrotem do domu; tak jak rozrzutnicy żałują swoich szalonych wydatków, co im nie przeszkodzi jutro wyrzucać znów pieniądze za okno. Począwszy od pewnego stopnia osłabienia — czy spowodowanego wiekiem czy chorobą — wszelka przyjemność zażywana kosztem snu, łamiąca przyzwyczajenia, wszelki wybryk, stają się przykrością. Świetny causeur mówi dalej przez grzeczność, przez podniecenie, ale wie, że godzina, o której mógłby jeszcze usnąć, minęła, i wie także, jakimi wyrzutami będzie się obsypywał pod wpływem bezsenności i zmęczenia, które go czekają. Już nawet chwilowa przyjemność skończyła się; ciało i duch zbyt są wyprute z sił, aby przyjmować mile to, co partnerowi rozmowy wydaje się zabawne. Tacy ludzie podobni są do mieszkania w dniu wyjazdu lub przeprowadzki, kiedy, siedząc na kuferkach z oczami wlepionymi w zegar, odczuwa się każdą wizytę jako utrapienie.

— Nareszcie sami — rzekł Swann; nie wiem już na czym stanąłem. Nieprawdaż, mówiłem panu, że ksiązę Gilbert prosił księdza Poiré, czyby mógł odprawić mszę za Dreyfusa. „Nie — rzekł mi ksiądz (mówię *mi*, rzekł Swann, bo to ksiązę Gilbert mówi do mnie, rozumie pan?) — bo mam inną mszę, którą również polecono mi odprawić za niego. Jakto, rzekłem, więc jest jeszcze drugi katolik przeświadczony o jego niewinności? — Widocznie. — Ale opinia tego drugiego wyznawcy musi być świeższej daty niż moja? — A jednak ten zwolennik Dreyfusa już mi kazał odprawiać msze wówczas gdy ksiązę jeszcze wierzył w jego winę. — A, widzę że to nie ktoś z naszej sfery. — Przeciwnie! — Doprawdy, są między nami dreyfusiści? Zaciekawiasz mnie księżę; chętnie bym z nim pogadał, jeżeli znam tego rzadkiego ptaka. — Zna go ksiązę. — A jego nazwisko? — Księżna Marja de Guermantes”. Podczas gdy ja się bałem urazić nacjonalistyczne poglądy i francuskość mojej drogiej żony, ona bała się drażnić moje przekonania religijne, moje patriotyczne uczucia. Ale na swoją rękę myślała tak jak ja, mimo iż dawniej odemnie. I to co pokojówka ukrywała wchodząc do jej pokoju, co kupowała księżnej każdego rana, to był numer »Aurore«. Mój drogi Swann, z tą chwilą pomyślałem o przyjemności, jaką ci sprawię, zwracając ci, jak bardzo moje poglądy na tym punkcie bliskie są twoich: daruj mi, że tego nie uczynił wcześniej. Jeżeli weźmiesz pod uwagę milczenie, jakie zachowałem wobec księżnej, nie zdziwisz się, że myśleć tak jak ty byłoby mnie jeszcze bardziej oddaliło od ciebie, niż myśleć inaczej. Bo ten przedmiot stał mi się niezmiernie przykry. Im bardziej wierzę, że popełniono omyłki a nawet zbrodnie, tem bardziej krwawi się moja miłość armji. Sądziłem, że poglądy podobne do moich nie są zdolne obudzić w tobie tej samej boleści, aż powiedziano mi pewnego dnia, że ty energicznie odpierasz obelgi miotane na armję i potępiasz to iż dreyfusiści łączą się z jej wrogami. To mnie zdecydowało; przyznaję, że mi było ciężko wyznać ci, co myślę o niektórych oficerach, nielicznych na szczęście, ale ulgą jest dla mnie nie musieć stronić od ciebie, a zwłaszcza chcę abyś był przeświadczony, że jeżeli mogłem trwać w innych uczuciach, to dlatego, że nie wątpił o słuszności wyroku. Z chwilą gdy zacząłem wątpić, mogłem pragnąć już tylko jednej rzeczy, naprawienia błędu”. Przyznaję, że słowa księcia Gilberta głęboko mnie wzruszyły. Gdyby go pan znał tak jak ja, gdybyś wiedział, z jak daleka musiał wędrować aby dojść do tego punktu, miałbyś dlań podziw, i zasługuje na to. Zresztą sąd jego nie dziwi mnie, to natura tak prawa!

Swann zapominał, że jeszcze tego dnia mówił mi przeciwnie, że o poglądach w tej sprawie Dreyfusa rozstrzyga atawizm. Conajwyżej zrobił wyjątek dla inteligencji, ponieważ u Roberta de Saint-Loup zdołała ona pokonać dziedziczność i zrobić zeń stronnika Dreyfusa. Otóż ujrzał przed chwilą, że to zwycięstwo było krótkotrwałe i że Saint-Loup przeszedł do drugiego obozu. Teraz zatem rolę przyznaną wprzód inteligencji dawał Swann prawości charakteru. W istocie, zawsze odkrywamy wstecz, że nasi przeciwnicy mieli jakieś racje aby należeć do swego stronnictwa, ale racją tą nie jest nigdy słuszność; jeżeli zaś inni myślą tak jak my, to dlatego, że inteligencja — o ile ich poziom moralny jest zbyt niski aby się nań powoływać — albo prawość charakteru — o ile nie odznaczają się bystrością umysłu — zmusiły ich do tego.

Swann przyznawał teraz bez różnicy inteligencję tym co byli jego zdania; swemu starremu przyjacielowi, księciu Gilbertowi, i memu koledze Blochowi, którego dotąd raczej unikał a którego teraz zaprosił na śniadanie. Swann zainteresował bardzo Blocha oznaj-

mieniem, że książę Gilbert jest dreyfusistą. „Trzebaby go poprosić, aby podpisał nasz adres za Picquartem; takie nazwisko sprawiłoby byczy efekt.” Ale Swann ze swoim żarliwym przekonaniem izraelity łącząc dyplomatyczny umiar światowca, którego przyzwyczajeniami zanadto nasiąkł, aby się ich móc tak późno wyzbyć, wzdragał się upoważnić Blocha do przesłania księciu — nawet samorzutnie — listy do podpisu. „On tego nie może uczynić, nie trzeba od niego żądać niepodobieństw — powtarzał Swann. — To jest uroczy człowiek, który zrobił tysiące mil, aby przybyć do nas. Może nam być bardzo użyteczny. Gdyby podpisał pańską listę, skompromitowałby się poprostu w oczach swego świata, miałby z powodu nas przykrości, może pożałowałby swoich zwierzeń i poniechałby ich na przyszłość”.

Co więcej, Swann odmówił własnego nazwiska. Uważał je za zbyt hebrajskie, aby nie miało zrobić złego wrażenia. A potem, o ile pochwalał wszystko co tyczyło rewizji procesu, nie chciał być w niczem wmieszany w kampanję antymilitarną. Nosił — czego nigdy nie robił przedtem — odznaczenie, jakie zdobył jako zupełnie młody żołnierz w r. 1870, i dodał do swego testamentu kodycył, z prośbą aby, wbrew jego poprzednim rozporządzeniom, oddano mu honory wojskowe jako kawalerowi Legji honorowej. Co zgromadziło dokoła kościoła w Combray cały szwadron owych kawalerzystów, nad których przyszłością płakała niegdyś Franciszka, kiedy sobie uprzytomniała perspektywę wojny. Krótko mówiąc, Swann odmówił podpisu na adresie Blocha, dzięki czemu, o ile w oczach wielu uchodził za zagorzałego dreyfusistę, kolega mój uznał go „letnim”, zatrutym przez nacjonalizm, bałwochwalcą munduru.

Swann opuścił mnie bez uścisku dłoni, aby uniknąć pożegnań w tej sali, gdzie miał za wielu przyjaciół; ale szepnął: „Powinienby pan odwiedzić swoją przyjaciółkę Gilbertę. Naprawdę wyrosła i zmieniła się, nie poznałby jej pan. Byłaby taka szczęśliwa!” Nie kochałem już Gilberty. Była dla mnie jak umarła, którą się długo oplakiwało; potem przyszło zapomnienie, i gdyby zmartwychwstała, nie mogłaby już wejść w życie zupełnie jej obce. Nie miałem już ochoty widzieć jej, ani nawet ochoty pokazać że mi nie zależy na jej widzeniu, mimo iż codziennie, wówczas gdym kochał, przyrzekałem sobie okazać to, kiedy jej już nie będę kochał.

Toteż, starając się już tylko zachować wobec Gilberty pozór że pragnąłbym z całego serca ją odnaleźć i że mi w tem przeszkodziły okoliczności rzekomo „niezależne od mojej woli” (które jednak zachodzą w rzeczywistości jedynie wtedy kiedy wola im nie przeciwdziała), daleki od zdradzania chłodu wobec zaproszeń Swanna, prosiłem go na odchodnym, aby wytłumaczył szczegółowo córce przeszkody jakie mnie pozbawiły i jeszcze pozbawiają możliwości odwiedzenia jej. Napiszę do niej zresztą zaraz po powrocie do domu — dodałem. Ale niech pan jej powie, że to będzie list z pogrózkami, bo za miesiąc lub dwa będę zupełnie wolny, a wówczas niech drży, bo będę u państwa tkwił równie często jak dawniej”.

Zanim się rozstałem ze Swannem, wspomniałem o jego zdrowiu. — Nie, to nie jest tak źle — odparł. Zresztą, jak panu mówiłem, jestem dość zmęczony i przyjmuje z rezygnacją wszystko co się może zdarzyć. Jedynie wyznaję, że byłoby bardzo irytujące umrzeć przed końcem sprawy Dreyfusa. Wszystkie te łajdaki mają jeszcze niejedną sztuczkę w rękawie. Nie wątpię, iż poniosą w końcu klęskę, ale ostatecznie są bardzo potężni, mają oparcie wszędzie. W chwili gdy rzeczy idą najlepiej, wszystko trzaska. Chciałbym żyć natyle, aby widzieć Dreyfusa zrehabilitowanym, a Picquarta pułkownikiem.

Kiedy Swann odszedł, wróciłem do sali balowej, gdzie znajdowała się owa księżna Marja de Guermantes, z którą — o czym nie wiedziałem wówczas — miałem kiedyś być tak blisko. Nie od razu odgadłem uczucie, jakie ona żywiła dla pana de Charlus<sup>3</sup>. Zauważyłem tylko, że, począwszy od pewnej epoki, baron, nie zdradzając w stosunku do księżnej Marji żadnej niechęci (która nie byłaby u niego niczem osobliwym), wciąż mając dla niej tyleż, może nawet więcej przywiązania, był wyraźnie niezadowolony i zły za każdym razem kiedy mu o niej mówiono. Nie podawał już nigdy jej nazwiska na liście osób, które pragnąłby widzieć na jakimś obiedzie.

<sup>3</sup>owa księżna Marja de Guermantes, z którą (...) miałem kiedyś być tak blisko. Nie od razu odgadłem uczucie, jakie ona żywiła dla pana de Charlus — całej tej partji opowiadania, zarówno jak przyszłej zażyłości bohatera utworu z księżną Marją, Proust nie rozwinął; osoba księżnej ginie z powieści prawie bez śladu. [przypis redakcyjny]

Prawda iż przedtem jeszcze słyszałem z ust jakiegoś złośliwego bywalca, że księżna Marja całkiem się zmieniła, że się kocha w panu de Charlus, ale ta obmowa wydała mi się idjotyczna i oburzyła mnie. Zauważyłem ze zdziwieniem, że kiedym coś opowiadał o sobie i kiedy w tem opowiadaniu była mowa o panu de Charlus, księżna Marja okazywała wówczas ten wyższy stopień uwagi, który sprawia, iż chory, który, słuchając jak mówimy o sobie (tem samym słuchając z roztargnieniem i obojętnie), poznaje nagle nazwę choroby którą jest dotknięty, co go równocześnie interesuje i cieszy. Kiedy naprzykład wspomniałem: „Właśnie pan de Charlus opowiadał mi...”, księżna Marja ujmowała niejako zwolnione cugle swojej uwagi. I kiedy raz powiedziałem przy niej, że p. de Charlus darzy w tej chwili dość żywym uczuciem pewną osobę, ujrzałem ze zdziwieniem w oczach księżnej odmienny i chwilowy błysk, znaczący w źrenicach niby ślad pęknięcia a zrodzony z myśli, jaką bezwiednie słowa nasze poruszyły w osobie do której mówimy — myśli sekretnej, która nie wyrazi się w słowach, ale z poruszonych przez nas głębin wzniesie się na zmienioną przez chwilę powierzchnię wzroku. Ale, jeżeli moje słowa wzruszyły księżną Marję, nie domyślałem się w jaki sposób.

Zresztą, wkrótce potem, księżna zaczęła mówić ze mną o panu de Charlus, i prawie bez ogródek. Jeżeli robiła aluzję do pogłosek, jakie nieliczne osoby rozpuszczały o baronie, to jedynie jako do niedorzecznych i haniebnych potwarzy. Ale z drugiej strony, mówiła: „Uważam, iż kobieta któraby się zajęła człowiekiem tak olbrzymiej wartości jak Palamed, powinny mieć dość inteligencji, dość poświęcenia, aby go uznać i zrozumieć całego, takim jak jest, szanować jego swobodę, jego kaprysy, starać się jedynie usuwać mu trudności i pocieszać go w strapieniach”. Otóż, przez takie odezwania się, mimo iż mgliste, księżna Marja odsłaniała to, co starała się uświetnić — w taki sam sposób, w jaki czynił to czasem sam p. de Charlus. Słyszałem wszak nieraz, jak mówił do osób niepewnych jeszcze czy plotki krążące o nim są potwarzą: „Bywałem w życiu na wozie i pod wozem; znałem ludzi wszelkiego rodzaju, tak złodziejów jak królów, a nawet, muszę powiedzieć, z lekką predylekcją do złodziejów; ściagałem piękność pod wszelką jej postacią, etc...” Tego rodzaju powiedzenia wydawały się panu de Charlus zręczne; otóż zaprzeczając pogłoskom których istnienia ktoś nie znał (lub używając prawdy, przez dobry smak, przez umiar, przez troskę o prawdopodobieństwo, cząstki którą on jeden uważał za minimalną), baron odejmował ostatnie wątpliwości jednym, a budził ich zaczątek w drugich, nie mających ich jeszcze. Bo najniebezpieczniwszem ze wszystkich utajeń, jest utajenie samej winy w duszy winnego. Nieustanna jej świadomość nie pozwala mu się domyślić, jak dalece świat o niej nie wie i jak łatwo uwierzyłby zupełnemu kłamstwu; ani też w zamian nie pozwala zdać sobie sprawy, przy jakim stopniu prawdy, w słowach które jemu wydają się niewinne, zaczyna się dla drugich wyznanie. Żeby zresztą czynił na każdy sposób, starając się taić tę prawdę, bo niema występków, któreby w wielkim świecie nie znajdowały życzliwego poparcia; zdarzało się, że przeinaczano całe urządzenie zamku, poto aby dać pokój jednej siostrze koło drugiej, z chwilą gdy się dowiedziano że się kochają nietylko jak siostry.

Miłość księżnej Marji zdradził mi zwłaszcza pewien oderwany fakt, przy którym nie będę się tu zatrzymywał, bo należy do całkiem innej historii. W owej historii<sup>4</sup> p. de Charlus raczej pozwolił umrzeć królowej, niżby się miał spóźnić do fryzjera, mającego go upiększyć dla kontrolera tramwajowego, wobec którego baron czuł się straszliwie onieśmielony. Jednakże, aby skończyć z miłością księżnej Marji, powiedzmy, jaki drobiazg otworzył mi oczy w tej mierze. Byliśmy owego dnia sami w powozie. W chwili gdyśmy przejeżdżali koło poczty, kazała stanąć. Nie wzięła z sobą lokaja. Wysunęła z mufki list i uczyniła ruch taki, jakby chciała wysiąść aby list wrzucić do skrzynki. Chciałem ją zatrzymać, broniła się lekko, i już zdawaliśmy sobie oboje sprawę, że jej gest był kompromitujący, stwarzający wrażenie jakiegoś ukrywanego sekretu, mój zaś niedyskretny, naruszający ten sekret. Ona opamiętała się pierwsza. Zacerwieniwszy się nagle mocno, podała mi list; nie śmiałem go już nie wziąć, ale wrzucając list do skrzynki, ujrzałem niechęć adres pana de Charlus.

<sup>4</sup>należy do całkiem innej historii. W owej historii p. de Charlus raczej pozwolił umrzeć królowej, niżby się miał spóźnić do fryzjera, mającego go upiększyć dla kontrolera tramwajowego — i tej historii nigdy Proust nie napisał. [przypis tłumacza]

Ale powróćmy do owego pierwszego wieczora u księżnej Marii. Poszedłem się z nią pożegnać, bo księstwo Błażejowie mieli mnie odwiedzić do domu, a bardzo się spieszyli. Ale książę chciał zamienić słówko z bratem, bo pani de Surgis zdążyła gdzieś za drzwiami szepnąć mu że baron był przemiły dla niej i dla jej synów. Ta wielka uprzejmość brata — pierwsza jaką mu okazał w tym zakresie — głęboko wzruszyła Błażeja i obudziła w nim uczucia rodzinne, nigdy zresztą nie zasypiające w nim na długo. W chwili gdyśmy się żegnali z księżną Marją, starał się, nie dziękując wprost bratu, okazać mu swoją czułość, czy że w istocie trudno mu ją było powściągnąć, czy że chciał aby baron zapamiętał, że jego zachowanie się tego wieczora nie przeszło w oczach brata niepostrzeżone — podobnie jak psu, który pięknie służył, daje się cukru, celem stworzenia w nim na przyszłość zbawiennych skojarzeń.

— I cóż, braciszku — rzekł książę zatrzymując pana de Charlus i biorąc go czule pod ramię — tak się przechodzi koło starszego brata, nie witając się z nim nawet? Nigdy cię już nie widzę, Mémé, nie masz pojęcia, jak mi tego brakuje. Przeglądając stare szparagały, znalazłem właśnie listy naszej biednej mamy, zawsze takie serdeczne dla ciebie.

— Dziękuję, Błażeju — odparł p. de Charlus zmienionym głosem, bo nigdy nie mógł bez wzruszenia mówić o matce.

— Powinienbyś się zgodzić, żebym ci urządził skrzydło w Guermentes — dodał książę.

— To ładnie widzieć dwóch braci w takich czułościach — rzekła księżna Marja do bratowej.

— Och, co do tego, nie sądzę aby można było znaleźć wielu takich braci. Zaproszę pana z nim razem — przyrzekła mi księżna Oriana. Nie jest pan z nim źle?... Ale co oni mogą mieć sobie do powiedzenia — dodała niespokojnie, bo nie słyszała dobrze co mówili. Zawsze była nieco zazdrosna o przyjemność, jaką p. de Guermentes znajdował w rozmowie z bratem, o przeszłość od której trzymał żonę trochę zdała. Czowała, że kiedy im tak jest dobrze z sobą i kiedy ona, nie mogąc powstrzymać niecierpliwej ciekawości, podchodzi do nich, obecność jej nie jest im miła. Ale tego wieczora, z ową zwyczajną zazdrością łączyła się inna. Bo jeżeli pani de Surgis opowiedziała panu de Guermentes o uprzejmości brata, iżby mu za to podziękował, równocześnie serdeczne przyjaciółki państwa de Guermentes uważały za obowiązek uprzedzić Oriane, że kochankę jej męża widziano sam na sam z jego bratem. I panią de Guermentes dręczyło to.

— Przypomnij sobie, jacy byliśmy szczęśliwi niegdyś w Guermentes — ciągnął książę Błażej, zwracając się do pana de Charlus. Gdybyś tam przyjechał czasem w lecie, wskrzesiliśmy błogie dni. Przypominasz sobie starego Courveau ze swoim: Dlaczego Pascal jest wzruszający? bo jest wzru... wzru...

— Szony, wyrecytował p. de Charlus, tak jakby jeszcze wydawał lekcję nauczycielowi. A czemu Pascal jest wzruszony: bo jest wzru... bo jest wzruszający. Bardzo dobrze, zdasz egzamin, a księżna pani kupi ci słownik chiński.

— Czy pamiętam, drogi Mémé, a stary wazon chiński, który ci przywiózł Hervey de Saint-Denis, widzę go jeszcze! Groziłeś nam, że się wyniesiesz na stałe do Chin, taki byłeś zachwycony tym krajem; już wówczas lubiłeś dalekie włóczęgi. Och, ty byłeś specjalny typ; można powiedzieć, że w niczem nie miałeś gustów takich jak inni...

Ale zaledwie książę Błażej wyrzekł te słowa, ugryzł się, jak to powiadają, w język, bo znał, jeżeli nie obyczaj, to przynajmniej reputację brata. Ponieważ nie wspominał o tem nigdy, był tem bardziej zażenowany, że powiedział coś, co mogło wyglądać na dwuznaczną aluzję, a jeszcze bardziej tem, że wydał się zażenowany. Po chwili milczenia, aby zatrzeć wrażenie ostatnich słów, dodał:

— Kto wie, kochałeś się może w jakiej Chince, zanim ci przyszło kochać i rozkochać w sobie tyle białych, jeżeli mam o tem sądzić po pewnej damie, której sprawiłeś wielką przyjemność, rozmawiając z nią dziś wieczór. Jest tobą oczarowana.

Książę przyrzekł sobie nie mówić o pani de Surgis, ale w zamęcie, jaki wniosła w jego myśli świeżo popełniona gaffa, rzucił się na najbliższy temat, właśnie ten który nie powinien był się zjawiać w rozmowie, mimo że był jej powodem. Ale p. de Charlus zauważył rumieniec brata. I jak zbrodniarze, którzy, nie chcąc okazać zakłopotania, kiedy się mówi przy nich o niewykrytej zbrodni, silą się podtrzymać niebezpieczną rozmowę, odparł:



— Bardzo mnie to cieszy, ale pragnę wrócić do poprzedniego zdania, które mi się wydaje głęboko prawdziwe. Powiedziałeś, że nigdy nie miałem pojęć takich jak wszyscy; jakie to trafne; mówiłeś, że mam specjalne gusty.

— Ależ nie — zaprotestował p. de Guermantes, który w istocie nie powiedział tych słów i nie pomawiał może brata o to co one mogły znaczyć. Zresztą, czyżby się czuł w prawie dręczyć go dla anomalij, które w każdym razie zostały na tyle wątpliwe lub na tyle ukryte, aby nie szkodzić w niczem wspaniałej sytuacji barona? Co więcej, czując w sytuacji brata ewentualne oparcie dla swoich kochanek, książę powiedział sobie, że to jest warte w zamian paru miłych słów; i gdyby znał w tej chwili jakiś „specjalny” stosunek brata, i tak, w nadziei spodziewanego poparcia — skojarzonej z pietyzmem dla pewnych wspomnień — książę Błażej przeszedłby nad tem do porządku przymykając oczy, a w potrzebie użyłby bratu pomocnej ręki.

— Ależ, Błażeju; dobry wieczór Palamedzie — rzekła księżna, która trawiona irytacją i ciekawością, nie mogła już wytrzymać — jeżeliście postanowili spędzić noc tutaj, lepiej żebyśmy zostali na kolacji. Trzymacie nas obie z Marią na nogach od pół godziny.

Książę opuścił brata po znaczącym uścisku i zesłiśmy we troje po olbrzymich schodach pałacu.

Z obu stron, na najwyższych stopniach, grupowały się pary, czekające aż zajędzie powóz. Wyprostowana, odcinająca się od innych, mająca po bokach męża i mnie, księżna Oriana stała po lewej stronie schodów, już zawinięta w swój płaszcz a la Tiepolo, z szyją ujętą w rubinowy fermuar, pożerana oczami przez kobiety, przez mężczyzn, siłujących się podchwycić sekret jej elegancji i urody. Czekając na powóz na tym samym stopniu ale po przeciwnej stronie schodów, pani de Gallardon, która od dawna straciła nadzieję wizyty swojej kuzynki, odwróciła się plecami, aby nie okazać że ją widzi, a zwłaszcza nie dostarczyć dowodu że się jej księżna nie kłania. Pani de Gallardon była w fatalnym humorze, bo panowie, którzy jej towarzyszyli, uważali za obowiązek zabawiać ją Oriana.

— Nie zależy mi wcale na jej widoku — odparła — widziałem ją zresztą przed chwilą, zaczyna się starzeć, zdaje się że się nie może z tem pogodzić. Błażej sam to powiada. Ba, rozumiem ją, nie jest inteligentna, jest zła jak osa, i ma fatalne wzięcie, czuje więc że kiedy straci urodę, nie zostanie jej nic.

Włożyłem palto, co p. de Guermantes, który się bał zaziębień, zganil z powodu gorąca panującego na schodach. A pokolenie arystokracji, które mniej lub więcej przeszło przez biskupa Dupanloup, mówi (z wyjątkiem Castellane'ów) tak lichą francuszczyzną, że książę wyraził swoją myśl tak: „Lepiej jest nie nakrywać głowy przed wyjściem, przynajmniej jako tezę ogólną”.

Widzę całe to wyjście; widzę — jeżeli nie przez omyłkę pomieszczę go na tych schodach niby portret wyrwany z ramy — księcia de Sagan, dla którego to był ostatni wieczór w „świecie”, jak odkrywa głowę, aby złożyć ukłon księżnej z tak szerokim gestem szapokłaka w białą urękawiczoną rękę, stanowiącej *pendant* do gardenji w klapie iż dziw był, że to nie jest piłśniowy kapelusz z piórem owego *ancien régime*, z którego liczne twarze przodków powtórzyły się wiernie w twarzy tego wielkiego pana. Zatrzymał się zresztą tylko chwilę przy Orianie, ale jego pozy, nawet chwilowe, wystarczały, aby stworzyć cały żywy obraz i jakby historyczną scenę. Ponieważ zresztą umarł niebawem, a za życia zaledwie go widziałem, stał się dla mnie tak bardzo figurą z historii — bodaj z historii „światowej” — że zdarza mi się zdziwić, gdy pomyślę, że jego siostra i siostrzenica należą do moich znajomych.

Podczas gdyśmy schodzili w dół, wstępowała po schodach z wyrazem zmęczenia, z którym jej było do twarzy, kobieta wyglądająca na lat czterdzieści, mimo że ich miała więcej. Była to księżna d'Orvilliers, naturalna córka (jak mówiono) księcia Parmy, której słodki głos barwił się lekkim austriackim akcentem. Posuwała się, wysoka, pochylona, w białej jedwabnej sukni w kwiaty, pozwalając swojej czarującej, pulsującej i zmęczonej piersi dyszeć poprzez rząd djamentów i szafirów. Potrząsając głową niby królewska klacz, której zawadzałaby uprzęż nabijana perłami bezcennej wartości i uciążliwej wagi, wodziła swoje słodkie i urocze spojrzenia, których błękit, w miarę zużycia, nabierał jeszcze więcej słodczy. Idąc, zęgnąła większość odchodzących przyjacielskiem skinieniem głowy.

— O ładnej godzinie przychodzisz, Paulinko! — rzekła księżna Oriana.

— Och, tak, bardzo żałuję. Ale doprawdy, nie było fizycznej możliwości — odparła księżna d'Orvilliers, która przejęła od Oriany ten rodzaj wyrażenia, ale okraszała je naturalną słodyczą i wyrazem szczerości, jaki tkliwemu jej głosowi dawał lekko germański akcent. Robiła wrażenie, że czyni aluzję do komplikacji życia zbyt długich do opowiedzenia, a nie poprostu do innych przyjęć, z których wracała w tej chwili. Ale nie one były przyczyną tego spóźnienia. Ponieważ książę Gilbert przez długie lata zabraniał żonie przyjmować pani d'Orvilliers, ta, kiedy uchylono interdykt, ograniczała się do rzucania biletów, aby się nie wydawało że jest spragniona zaproszeń. Po paru latach tej metody, zaczęła przychodzić sama, ale późno, jakby po teatrze. W ten sposób stwarzała pozór, że jej nie zależy na wieczorze, ani na tem aby ją tam widziano; ale że poprostu oddaje wizytę księciu Gilbertowi i księżnej Marji, jedynie dla nich, przez sympatię, w chwili gdy po odejściu większości obecnych, lepiej będzie mogła „ich mieć dla siebie”.

— Oriana doprawdy spadła na ostatni szczebel — mruzczała pani de Gallardon. — Nie rozumiem, że Błażej pozwala jej mówić z taką d'Orvilliers. To pewna, że mój mąż nie pozwoliłby mi na to.

Co do mnie, poznałem w pani d'Orvilliers kobietę, która w pobliżu pałacu Guermantes rzuciła mi długie tęskne spojrzenia, odwracała się, zatrzymywała się przed szybami sklepowymi. Księżna przedstawiła mnie; pani d'Orvilliers była urocza, ani zbyt uprzejma, ani chłodna. Spojrzała na mnie jak na wszystkich swojemi słodkimi oczami... Ale nie miałem już nigdy, ilekroć ją spotkałem, uzyskać od niej najmniejszego z owych gestów, w których zdawała się oddawać. Są specjalne spojrzenia, robiące wrażenie że ktoś nas poznaje, które młody człowiek otrzymuje od pewnych kobiet — i od pewnych mężczyzn — jedynie do dnia, w którym go w istocie poznali i dowiedzieli się że jest przyjacielem ich przyjaciół.

Oznajmiono, że powóz zajechał. Pani de Guermantes ujęła czerwoną spódnicę jakgdyby poto aby zejść i wsiąść do karety; ale powodowana może wyrzutem lub chęcią sprawienia przyjemności, a zwłaszcza skorzystania z krótkości czasu, jaką fizyczna niemożność zakreślała tak nudnemu aktowi, spojrzała na panią de Gallardon, potem, jakgdyby ją dopiero spostrzegła, przebyła, zanim zeszła na dół, całą szerokość stopnia i dotarłszy do zachwyconej kuzynki, podała jej rękę.

— Jakże dawno... — rzekła księżna. I, aby nie musieć dłużej rozwijać wszystkiego co w zakresie żalów i wyjaśnień zawierała ta formułka, obróciła się z przerażoną miną ku księciu, który zeszedłszy ze mną do karety, w istocie grzmiał, widząc iż żona zatrzymuje się przy pani de Gallardon i wstrzymuje ruch dalszych pojazdów.

— Oriana jest jednak jeszcze bardzo piękna — rzekła pani de Gallardon. — Bawią mnie ludzie, którzy mówią, że my jesteśmy chłodno z sobą; możemy — z przyczyn, w które nie potrzebujemy nikogo wtajemniczać — nie widywać się całe lata, ale i tak mamy zbyt wiele wspólnych wspomnień aby się naprawdę kiedykolwiek rozejść. W gruncie ona wie dobrze, że mnie kocha bardziej niż tylu ludzi których widuje codzień a którzy nie są z jej sfery.

Pani de Gallardon była w istocie niby ci wżgardzeni kochankowie, którzy chcą wszelkimi siłami wmówić, że są bardziej kochani, niż ci których pieści ich luba. I pochwałami swemi, któremi, bez troski o sprzeczność z tem co mówiła przed chwilą, obsypała księżnę de Guermantes, pani de Gallardon dowiodła pośrednio, że Oriana posiada do gruntu zasady, jakimi w swojej karierze winna się rządzić wielka elegantka, która, właśnie w chwili gdy jej najcudniejsza toaleta wzbudza — obok podziwu — zawiść, powinna umieć przebyć całą szerokość schodów, aby tę zawiść rozbroić.

— Uważaj choć, żeby nie zmoczyć trzewików (spadł świeżo mały deszcz), rzekł książę, jeszcze wściekły że czekał.

W czasie powrotu, z powodu szczupłości karety, czerwone trzewiki znalazły się bardzo blisko moich, a pani de Guermantes, bojąc się że mogły ich dotknąć, rzekła do księcia:

— Ten młody człowiek będzie zmuszony powiedzieć mi, jak na jakiejś karykaturze: „Niech mi pani zaraz powie że mnie pani kocha, ale niech mi pani tak nie depce po nogach”.

Moje myśli były zresztą dość daleko od pani de Guermantes. Od czasu jak Saint-Lo-up wspomnił mi o młodej panie wielkiego rodu, uczęszczającej do domu schadzek, i o pokojówce baronowej Putbus, w dwóch tych osobach tworzących jedną bryłę stre-

ściły się pragnienia budzone we mnie codzien przez tyle piękności z dwóch klas: z jednej strony pospolite i wspaniałe majestatyczne panny służące z wielkiego domu, wzdęte pychą i używające słowa „my” mówiąc o księżnych; z drugiej strony owe młode dziewczęta, których nazwisko wystarczało mi czasem wyczytać w sprawozdaniu z balu — nawet gdy ich nie widział w powozie lub pieszo — abym się w nich zakochał i abym, przeskakawszy sumiennie w skorowidzu zamki gdzie spędzają lato, marzył (często dając się zmylić podobieństwem nazwiska) kolejno o tem aby mieszkać w równiach Zachodu, na dunach Północy, w piniowych lasach Południa. Ale daremnie stapałem cały najrozkoszniejszy materiał cielesny, aby, w myśl kreślonego mi przez Roberta ideału, stworzyć lekkomyślną pannę oraz pokojówkę pani Putbus; dwóm tym przystępnym pięknościom brakowało tego, czego nie mogłem znać, dopóki bym ich nie ujrzał naocznie: indywidualności. Naprawdę miałem się męczyć, starając się — w ciągu miesięcy, w których wolałbym pokojówkę — wyobrazić sobie pannę służącą pani Putbus. Ale, po okresie, kiedy mnie wciąż nękała niespokojna żądza tylu ulotnych istot, których często nie znałem nawet imienia, które były w każdym razie tak trudne do odnalezienia, bardziej jeszcze do poznania, niepodobne może do zdobycia, cóż za spokój wybrać z tej rozsianej, pierzchliwej, bezimiennej Piękności dwa przednie okazy, opatrzone strzałką kierunkową, co do których byłem bodaj pewny, że mogę je sobie sprokurować dowoli. Odsuwałem godzinę tej podwójnej rozkoszy, niby godzinę pracy; ale pewność, że ją będę miał kiedy zechcę, uwalniała mnie niemal od jej zrealizowania, jak owe proszki nasenne, które wystarczy mieć pod ręką aby ich nie potrzebować i zasnąć. Pragnąłem w całym świecie jedynie dwóch kobiet, których twarzy coprawda nie mogłem sobie wyobrazić, ale których nazwiska podał mi Saint-Lo-up, ręcząc za ich uczynność. Tak iż jeżeli swymi niedawnymi słowami zadał ciężką pracę mojej wyobraźni, zapewnił mi w zamian cenne odprężenie, trwały spokój woli.

— I cóż — rzekła księżna Oriana — poza balami, czy nie mogę panu być w niczem użyteczna? Czy jest salon, do którego miałby pan ochotę abym pana wprowadziła?

Odpowiedziałem, że się boję, aby jedyny salon, który budzi we mnie tę ochotę, nie był dla niej za mało elegancki. „Cóż to takiego?” spytała groźnym i chrapliwym głosem, prawie nie otwierając ust. — Baronowa Putbus”.

Tym razem księżna udała prawdziwy gniew.

— Nie, doprawdy, zdaje się że pan kpi sobie ze mnie! Nie wiem nawet, jakim cudem znam nazwisko tej klempy. Ależ to są szumowiny! To tak, jakby mnie pan prosił, żebym pana przedstawiła mojej krawcowej. A i to nie, moja krawcowa jest urocza. Pan jest trochę pomyłony, mój biedny chłopcze. W każdym razie, błagam, niech pan będzie grzeczny dla osób którym pana przedstawiłam, niech im pan rzuci bilety i pójdzie do nich z wizytą, i niech im pan nie opowiada o baronowej Putbus, której nie znają.

Spytałem, czy pani d’Orvilliers nie jest potrosze osobą lekkich obyczajów. — Och, wcale nie, myli ją pan z kimś; raczej świętula. Prawda, Błażeju? — Tak, w każdym razie nie sądzę, aby kiedy o niej coś mówiono, rzekł książę.

— Nie chce pan iść z nami na redukę? spytał. Pożyczę panu weneckiego płaszcz. Znam kogoś, komu by to zrobiło djabelną przyjemność; najpierw Orianie — tego nie potrzeba mówić — ale księżnej Parmy. Cały czas śpiewa hymny na pańską cześć, mówi tylko o panu. Szczęściem dla pana — szczęściem, bo jest trochę przejrzała — jest absolutnie cnotliwa. Bez tego, wzięłaby pana z pewnością za *cicisbeo*, jak się mówiło za czasu mojej młodości; rodzaj *cavaliere servante*.

Nie zależało mi na reducie, a zależało mi na schadzce z Albertyną. Toteż wymówiłem się. Karetą się zatrzymała, lokaj krzyknął na odźwiernego, konie parsknęły, aż wreszcie otwarto bramę na oścież i powóz wjechał w dziedziniec.

— Do zobaczyska — krzyknął książę.

— Żalowałam czasami, że mieszkam tak blisko Marji — rzekła do mnie księżna — bo o ile ją bardzo lubię, o tyle troszkę mniej lubię ją widywać. Ale nigdy nie żalowałam tej bliskości tak jak dzisiaj, skoro przez to tak prędko musimy się rozstać.

— No, Oriano, bez przemów.

Księżna chciała, abym wstąpił na chwilę do nich. Uśmieła się serdecznie, zarówno jak i książę, kiedym powiedział, że nie mogę, bo pewna młoda panienska ma być u mnie z wizytą. „Ma pan zabawną godzinę na przyjmowanie wizyt, rzekła. — No, moje dziecko, spieszymy się, rzekł pan de Guermantes do żony. Jest trzy kwadrans na dwunastą,

a jeszcze mamy się przebrać”... Ale natknął się na dwie damy z laskami, które surowo strzegły bramy: nie lękały się zstąpić nocną porą ze swoich wyżyn aby zapobiec skandalowi. „Błazeju, chciałyśmy cię uprzedzić, bojąc się aby cię nie ujrzano na tej reducie; biedny Amanian właśnie skończył, będzie godzina temu”. Książę przestraszył się przez chwilę. Widział sławną redutę walącą się dłań w gruz, z chwilą gdy go te przeklęte „góralki” uprzedziły o śmierci pana d’Osmond. Ale opanował się szybko i rzucił dwóm kuzynkom zdanie, w które, wraz z postanowieniem nie wyrzeczenia się przyjemności, włożył swoją niezdolność ścisłego przyswojenia sobie użytku słów: „Umarł! ale nie, przesadzają, przesadzają!” I nie zajmując się więcej kuzynkami, które, zbrojne w alpensztoki, miały się wspinać po nocy do swojej siedziby, rzucił się gorączkowo na lokaja:

— Czy mój kask przyszedł? — Tak, proszę księcia. — Jest dziurka do oddechania? Nie mam ochoty się udusić, u djaska! — Tak, proszę księcia pana. — A, kroćset bomb, to jakiś przekłety wieczór. Oriano, zapomniałem się spytać Babala, czy trzewiki z nosami są dla ciebie. — Ależ, mój drogi, skoro kostjumer z Opéra-Comique jest tutaj, powie nam wszystko. Ale ja nie sądzę, aby się to nadało przy twoich ostrogach. — Chodźmy do kostjumera, rzekł książę. Do widzenia, drogi panie, zaproponowałbym panu, żeby pan wstąpił z nami na chwilę podczas gdy będziemy przymierzali, toby pana zabawiło. Ale zagadalibyśmy się, już się robi dwunasta, a chciałbym się nie spóźnić, żeby zabawa była całkiem udana.

Mnie także było pilno pożegnać coprędzej państwa de Guermantes. *Fedra* kończyła się koło wpół do dwunastej. Licząc czas potrzebny na drogę, Albertyna musiała już być. Udałem się wprost do Franciszki: „Czy panna Albertyna jest? — Nie było nikogo”.

Mój Boże, czy to znaczyło, że nikt nie przyjdzie? Byłem w rozpacz, wizyta Albertyny była mi teraz bardziej upragniona, bo mniej pewna.

Franciszka była też w złym humorze, ale z całkiem innej przyczyny. Zasadziła właśnie córkę do stołu do soczystej wieczerzy. Ale słysząc że nadchodzi, widząc że zbraknie jej czasu na usunięcie półmisków i rozłożenie igieł i nici tak jakby chodziło o robotę a nie o kolację, rzekła:

— Zjadła właśnie łyżkę zupy, zmusiłam ją żeby coś przetrząła — rzekła aby zredukować w ten sposób do zera kolację córki i tak jakby obfitość tej kolacji była występkiem. Nawet przy śniadaniu lub przy obiedzie, kiedy popełnił ten błąd aby wejść do kuchni. Franciszka udawała zawsze że już skończyli i tłumaczyła się wręcz, mówiąc: „Chciałam zjeść *kawalek*, albo *kruszynę*. Ale uspokoilem się, widząc mnogość półmisków, których Franciszka, zaskoczona mojem nagłym wejściem — jak złoczyńca, którym nie była przecież — nie miała czasu sprzątnąć. Potem dodała: „No, idź spać, dosyć pracowałaś dzisiaj (bo chciała osiągnąć wrażenie nietylko że jej córka nic nas nie kosztuje, że żyje powietrzem, ale jeszcze że się zabija dla nas pracą). Tylko zawadzasz w kuchni i przeszkadzasz paniczowi, który spodziewa się gości. No, zabieraj się”, dodała tak, jakby musiała używać swojej powagi, aby wyprawić spać córkę, która, z chwilą gdy kolacja spaliła na panewce, była tu tylko „dla pucu” i gdybym został jeszcze pięć minut dłużej, zabrałaby się sama z siebie. I obracając się ku mnie, w tej swojej pięknej francuzczyźnie ludowej a jednak trochę indywidualnej, Franciszka rzekła: „Pan nie widzi, że aż się jej twarz zwija z ochoty do spania”. Byłem uszczęśliwiony, że nie muszę rozmawiać z córką Franciszki.

Wspomniałem, że była po mężu ze wsi obok wsi jej matki, a jednak odmiennej charakterem ziemi, uprawą roli, gwarą, zwłaszcza pewnymi właściwościami mieszkańców. Toteż „rzeźniczka” i siostrzenica Franciszki niełatwo się porozumiewały, ale miały tę wspólność, że kiedy szły razem na sprawunki, zasiadywały się godzinami „u siostry”, albo „u kuzynki”, niezdolne same z siebie skończyć jakąś rozmowę. W trakcie tej gawędy, cel, który był powodem ich wyjścia z domu, rozwiewał się do tego stopnia, że kiedy się im rzekło za powrotem: „No i co, czy pan de Norpois będzie w domu o kwadrans na siódmą? nie były się nawet w czoło, mówiąc: „Och, zapomniałam”, ale powiadały: „A! nie rozumiałam, że panu o to chodzi; myślałam, że mu się tylko trzeba kłaniać.” Jeżeli traciły głowę w ten sposób dla rzeczy powiedzianej przed godziną, w zamian za to niepodobna im było wybić z głowy tego, co raz usłyszały z ust siostry lub *kuzynki*. I tak, jeżeli rzeźniczka usłyszała gdzieś że Anglicy prowadzili z nami wojnę w roku 1870 równocześnie z Prusakami, daremnie mogłem tłumaczyć że to fałsz, co trzy tygodnie rzeźniczka powtarzała mi w trakcie rozmowy: „To skroś tej wojny, jaką Anglicy z nami prowadzili

w siedemdziesiątym, razem z Pruskiemi. — Ale mówiłem pani sto razy, że to nieprawda”. Odpowiadała (co było oznaką, że nic nie zdołało zachwiać jej przekonania): „W każdym razie, to nie jest powód, żeby do nich mieć pretensje. Od siedemdziesiątego roku dużo wody upłynęło.” Innym razem, propagując wojnę z Anglią, którą ja potępiałem, mówiła: „Juścić, że lepiej żeby wojny nie było, ale skoro musi być, lepiej niech będzie zaraz. Tłumaczyła mi dziś siostra, że od czasu tej wojny, jaką Angliki miały z nami w siedemdziesiątym, traktaty handlowe niszczą nas. Skoro się ich pobije, nie wpuści się już do Francji żadnego Anglika aż zapłaci trzysta franków wstępu, jak my płacimy teraz, jadący do Anglii.”

Taki był charakter mieszkańców tej wioski, która liczyła nie więcej niż pięciuset obywateli i którą okalały kasztany, wierzby, pola kartofli i buraków. Przy wielkiej uczciwości, głuchy upór w tem aby nie dać sobie przerywać, aby podejmować dwadzieścia razy tam gdzie stanęły kiedy im przerwano, co wkońcu dawało ich gawędom niewzruszoną konsystencję fugi Bacha.

Córka Franciszki uważała się przeciwnie za kobietę dzisiejszą, która porzuciła przestarzałe formy. Mówiła gwarą paryską i nie przepuściła nigdy utartego konceptu. Kiedy Franciszka powiedziała jej, że wracam od księżnej, rzekła: „Znam, wiem, księżna z nieprawdziwego zdarzenia”. Nie były to żarciki w zbyt dobrym smaku. Ale bardziej mnie uraziło, kiedy, pocieszając mnie wobec spóźnienia Albertyny, powiedziała: „Myślę, że może pan jej czekać do pojutra rana. Och, te dzisiejsze podfruwajki!”

Tak więc, język jej różnił się od języka jej matki, ale co ciekawsze, język matki nie pokrywał się znowuż z językiem babki, urodzonej w Bailleau-le-Pin, tak blisko stron Franciszki. Mimo to, gwary tamtejsze różniły się lekko, jak krajobrazy. W wiosce matki Franciszki grunt zniżał się do parowu, często spotykało się wierzby. I przeciwnie bardzo daleko stamtąd była we Francji miejscowość, gdzie mówiono prawie zupełnie tą samą gwarą co w Méséglise. Odkryłem to w okolicznościach, połączonych dla mnie z irytacją. W istocie, zastałem raz Franciszkę zagadaną z pokojówką z naszego domu, która była z tamtych stron i mówiła tą gwarą. Rozumiały się wcale dobrze, ja nie rozumiałem ich wcale, one wiedziały o tem, mimo to nie przestawały, usprawiedliwione, jak sądziły, radością że są krajanki, mimo iż zrodzone tak daleko od siebie. I dalej mówiły przy mnie tym obcym językiem, jak wówczas kiedy się nie chce być zrozumianym. Te malownicze studia lingwistycznej geografii i kuchennego koleżeństwa ciągnęły się w kuchni co tydzień, nie sprawiając mi wcale przyjemności.

Za każdym razem, kiedy się brama wjazdowa otwierała, odźwierny naciskał guzik elektryczny oświetlający schody. Wszyscy lokatorzy wrócili już do domu. Toteż opuściłem kuchnię i siadłem w przedpokoju. Portjera, nie dość szczelna, nie zupełnie pokrywała oszklone drzwi naszego mieszkania, przepuszczając ciemną prostopadłą smugę utworzoną przez półmrok schodów. Gdyby nagle ta smuga stała się złoto-blond, znaczyłoby to, że Albertyna weszła do bramy i że za dwie minuty będzie przy mnie; nikt inny nie mógł już przyjść o tej porze. I tak siedziałem, nie mogąc oderwać oczu od smugi, która uparcie wciąż była ciemna; wychylałem się cały, aby być pewny, że dobrze widzę; ale daremnie wytężyłem wzrok, pionowa czarna strzała, mimo mego namiętnego pragnienia, nie dawała mi owej upajającej radości, jakąbym miał, gdyby ją nagle i wróżebne czary zmieniły w promienną sztabę złota. Czy nie za wiele wzruszeń jak dla tej Albertyny, o której nie myślałem ani trzech minut na raucie u Guermantów! Ale, budząc uczucie oczekiwania, niegdyś doznawane z powodu innych dziewcząt — zwłaszcza Gilberty, kiedy się spóźniała — możliwość utraty prostej rozkoszy fizycznej sprawiała mi okrutne cierpienie moralne.

Trzeba mi było wrócić do pokoju. Franciszka udała się za mną. Uważała (skorom już wrócił z zabawy), że róża w butonierce jest zbyt duża, i przysłała mi ją odpiąć. Gest jej, przypominając mi że Albertyna mogłaby już nie przyjść i zmuszając mnie zarazem do wyznania że chciałem być dla niej strojnieszyszy, przyprawił mnie o irytację, którą zdwoił fakt, iż wyrrywając się gwałtownie, zgmiotłem kwiat i że Franciszka powiedziała: „Lepiej było dać mi ją odpiąć, niż tak zepsuć”. Zresztą najdrobniejsze słowa Franciszki drażniły mnie. Czekać, tak bardzo męczymy się nieobecnością upragnionej osoby, że niepodobna nam znieść innej obecności.

Skoro Franciszka wyszła z pokoju, pomyślałem, że jeżeli miałem dojść teraz do kwaterki wobec Albertyny, źle się stało, że się jej pokazywał tyle razy nieogolony, z kil-

kodniowym zarostem, w owe wieczory kiedym jej pozwalał przyjść aby wznowić nasze pieszczoty. Czulem, że niezbyt dba o mnie, skoro mnie zostawia samego. Aby upiększyć nieco pokój — na wypadek gdyby Albertyna przyszła jeszcze i ponieważ to była jedna z najładniejszych rzeczy jakie posiadałem — położyłem, pierwszy raz od wielu lat, na stoliku obok łóżka, ową wysadzoną turkusami teczkę, którą Gilberta kazała dla mnie zrobić na broszurę Bergotte'a i którą długo kładłem przy sobie na noc obok kuli agatowej. Zresztą, tyleż może co wciąż nieobecna Albertyna, bytność jej w tej chwili w jakimś „gdzieindziej” — dla niej widocznie milszem, a mnie nieznanem — dawała mi bolesne uczucie, które — mimo tego com przed godziną mówił Swannowi o moim braku zażdości — mogłoby, gdybym widywał moją przyjaciółkę w mniej rzadkich odstępach, zmienić się w gorączkową potrzebę wiedzenia gdzie i z kim spędza czas. Nie śmiałem posłać do Albertyny, było za późno; ale w nadziei że wybrawszy się może z przyjaciółkami na chwilę do kawiarni, wpadłaby na myśl aby do mnie zatelefonować, przestawiłem wyłącznik i przełączając telefon na swój pokój, przeciąłem komunikację między biurem telefonicznym a lożą odzwierne, z którą było ono zazwyczaj o tej godzinie połączone. Mieć aparat w kurytarzyku, na który wychodził pokój Franciszki, byłoby prostsze, mniej uciążliwe, ale bezcelowe. Postępy cywilizacji pozwalają każdemu ujawnić niepodejrzewane zalety lub nowe przywary, które ich czynią droższym lub nieznośniejszym dla przyjaciół. W ten sposób, odkrycie Edisona pozwoliło Franciszce nabyć jedną wadę więcej, mianowicie tę, że choćby zachodziła nie wiem jak ważna i pilna potrzeba, wzbraniała się użyć telefonu. Uciekała poprostu, kiedy się ją chciało nauczyć z nim obchodzić, jak inne służące uciekają przed szczepieniem ospy. Toteż telefon znajdował się w moim pokoju, aby zaś nie przeszkadzał rodzicom, dzwonek zastąpiony był głuchem tarczeniem.

Z obawy że go nie usłyszę, nie ruszałem się. Nieruchomość moja była taka, że pierwszy raz od wielu miesięcy zauważyłem tykanie zegara. Franciszka przyszła sprzątnąć. Rozmawiała ze mną, ale ja nie znosiłem tej rozmowy, pod której jednostajnie banalną ciągłością uczucia moje zmieniały się co chwila, przechodząc od obawy do lęku, od lęku do zupełnego zwątpienia. Twarz moja, różna od zdawkowo pogodnych słów, jakimi uważałem za właściwe odpowiadać Franciszce, była — czulem to — tak zboląła, że zacząłem skarżyć na reumatyzm, aby wytłumaczyć rozdźwięk między udaną obojętnością a tym bolesnym wyrazem. Zarazem bałem się, aby rzucane zresztą półgłosem słowa Franciszki (nie na temat Albertyny, bo Franciszka sądziła że już dawno minęła godzina jej możliwego przyjścia) nie przeszkodziły mi dosłyszeć zbawczego i niepowrotnego sygnału. W końcu, Franciszka poszła się położyć; odprawiłem ją z szorstką dobroduszością, aby, odchodząc, hałasem nie pokryła dźwięku telefonu. I zacząłem na nowo słuchać, cierpieć. Kiedy czekamy, podwójna droga od ucha chwytającego dźwięki do mózgu który je rozbiera i analizuje, i od mózgu do serca, któremu mózg przekazuje swoje wyniki, jest tak szybka, że nie możemy nawet pochwycić jej trwania i że się nam wydaje iż słuchaliśmy wprost sercem.

Dręczyło mnie nieustanne pragnienie, wciąż niespokojniejsze i wciąż nie spełnione — pragnienie sygnału telefonicznego. Kiedy doszło szczytowego punktu bolesnego wznoszenia się w spiralach mojej samotnej udręki, naraz, z głębi ludnego i nocnego Paryża zblizzonego nagle do mnie, tuż koło szafy z książkami, usłyszałem — mechaniczne i wzniosłe, niby w *Tristanie* powiewająca szarfa lub fujarka pasterza — tarczenie telefonu. Poskoczyłem, to była Albertyna.

— Czy nie przeszkadzam ci, telefonując o takiej porze?

— Ależ nie... rzekłem hamując radość, bo jeżeli wspomniała spóźnioną godzinę, to z pewnością dla usprawiedliwienia się że przyjdzie za chwilę tak późno, a nie że nie przyjdzie. — Czy przyjdiesz? — spytałem obojętnym tonem.

— Ale... nie, jeśli nie potrzebujesz mnie koniecznie.

Część mojego ja, z którą druga część chciała się połączyć, mieściła się w Albertynie. Trzeba mi było, aby przyszła; ale nie powiedziałem tego odrazu; ponieważ byliśmy połączeni, powiadałem sobie, że mogę ją zawsze skłonić w ostatniej sekundzie bądź aby przyszła do mnie, bądź aby mi pozwoliła pobiec do siebie. „Tak, jestem blisko domu — rzekła — a straszliwie daleko od ciebie; nie dobrze odczytałam twój bilecik. Znalazłam go w tej chwili i złąklam się, że ty czekasz na mnie”.

Czułem że kłamie; teraz, wściekły, raczej przez potrzebę deranżowania jej niż jej widzenia, chciałem ją zmusić żeby przyszła. Ale chciałem najpierw odtrącić to, co postarałbym się uzyskać za chwilę. Ale gdzie ona jest? Ze słowami jej mieszały się inne dźwięki; trąbka cyklisty, jakiś śpiew kobiety, odległa fanfara, rozbrzmiewały równie wyraźnie jak ten drogi głos, jakby dla dowiedzenia mi, że to istotnie Albertyna w swoim obecnym środowisku jest koło mnie w tej chwili, niby grudka ziemi, z którą przeniosło się wszystkie wrosnięte w nią trawy. Odgłosy, które słyszałem, rozlegały się również w jej uchu i rozrywały jej uwagę: szczegóły prawdy, obce danemu przedmiotowi, bezużyteczne same w sobie, tem potrzebniejsze aby nam objawić oczywistość cudu; skąpe i urocze rysy określające jakąś ulicę paryską, zarazem przeszywające i okrutne rysy jakiegoś nieznanego wieczora, które, po wyjściu z *Fedry*, nie pozwoliły Albertynie przyjść do mnie.

— Na wstępie, uprzedzam cię (rzekłem), że nie mówię po to żebyś przyszła, bo o tej porze byłoby mi to bardzo nie na rękę, upadam z senności. A przy tem... mniejsza, są różne komplikacje. Ale chcę stwierdzić, że nie było możliwości niezrozumienia mojego listu. Odpowiedziałaś, że dobrze. Zatem, jeżeliś nie zrozumiała, co chciałaś przez to powiedzieć?

— Napisałam że dobrze, tylko nie bardzo już pamiętałam co „dobrze”. Ale widzę że ty się gniewasz, przykro mi... Żałuję, że poszła na *Fedrę*. Gdybym wiedziała, że z tego wynikną takie historie... dodała jak wszyscy ludzie którzy zawiniwszy w jednej rzeczy, udają iż myślą że im się wyrzuca inną.

— *Fedra* nie ma nic do roboty w moim gniewaniu się, skoro ja sam cię prosiłem, żebyś na nią poszła.

— Zatem masz do mnie żal; to bardzo przykre że już jest tak późno, inaczej przyszedłabym do ciebie, ale przyjdę jutro lub pojutrze aby się wytłumaczyć.

— Och, nie, Albertyno, proszę cię, skoroś mi zmarnowała wieczór, zostaw mnie przynajmniej w spokoju przez najbliższe dni. Nie będę wolny wcześniej aż za dwa lub trzy tygodnie. Słuchaj, jeżeli ci jest przykro zostawiać mnie pod tem wrażeniem — i w gruncie może masz słuszość — w takim razie wołę już, skoro noc jest stracona, skorom czekał do tej pory a ty jeszcze jesteś na mieście, abyś przyszła zaraz; napiję się kawy aby się rozbudzić.

— Czy nie dałoby się odłożyć tego do jutra? Doprawdy, trudno mi...

Słyszając te słowa, wyrzeczone tak jakby nie miała już przyjść, uczułem że z pragnieniem ujrzenia aksamitnej twarzy — już w Balbec kierującej wszystkie moje dni ku chwili, w której, na tle fiołkowego wrześnieowego morza znajdę się obok tego różowego kwiatu — sili się boleśnie złączyć jakiś bardzo odmienny czynnik. Już w Combray poznałem ową straszliwą potrzebę drugiej istoty; poznałem ją w stosunku do matki, tak że wręcz pragnąłem umrzeć w razie gdy mi mama powiedziała przez Franciszkę, że nie będzie mogła przyjść do mnie. Ów wysilek dawnego uczucia w tem aby się połączyć i stopić z drugim, świeższym, mającem za rozkoszny przedmiot jedynie barwną powierzchnię, różową karnację kwiatu plaży, ów wysilek kończy się często tem, iż stwarza (w sensie chemicznym) jedynie nowe ciało, zdolne trwać zaledwie kilka chwil. Tego wieczora przynajmniej, i na długo jeszcze, owe dwa elementy pozostały rozdzielone. Ale już przy ostatnich słowach przez telefon zacząłem rozumieć, że życie Albertyny leży (nie materialnie, oczywiście) w takiej odległości odemnie, iż trzeba by mi wciąż męczących wypraw, aby je osiągnąć; co więcej, że życie to zorganizowane jest niby fortyfikacje polowe, i to, dla większej pewności, z rodzaju tych, które później zaczęto nazywać maskowanemi.

Albertyna należała zresztą, na wyższym szczeblu towarzyskim, do tego gatunku istot, którym odzwiertna przyrzeka doręczyć twój list, skoro wrócą — aż do dnia, w którym się spostrzeżesz, że to właśnie ona, spotkana na ulicy osoba, do której odważyłeś się napisać, jest odzwiertną. Tak iż mieszka ona w istocie — ale w łóżce odzwiertnego — w domu który ci wskazała (który zresztą jest pokątnym domem schadzek, gdzie odzwiertna jest rajfurką) i podaje ci jako swój adres dom, gdzie znają ją jedynie wspólnicy, którzy nie wydadzą ci jej sekretu, skąd doręczą jej twoje listy, ale gdzie ona nie mieszka, gdzie conajwyżej złożyła jakieś rzeczy. Egzystencje rozmieszczone na pięciu czy sześciu linjach odwrotu, tak iż kiedy się chce widzieć tę kobietę, lub wiedzieć, zawsze trafia się zanadto na prawo lub na lewo, albo zawczasie lub zapóźno, i można przez miesiące, przez lata, nie wiedzieć nic. Co do Albertyny, czułem że się nie dowiem nigdy nic, że nigdy nie zdołam

się wyznać w poplątanej obfitości prawdziwych szczegółów i kłamliwych faktów. I że to będzie zawsze tak, chyba że ją zamknę w więzieniu (ale i stamtąd się ucieka), aż do końca. Tęgo wieczora, przekonanie owo przeszło mnie jedynie niepokojem, ale w niepokoju tym czułem jakgdyby drżenie przyszłych długich cierpień.

— Ale nie — odparłem; mówiłem ci już, że nie będę wolny wcześniej niż za trzy tygodnie, ani jutro, ani pojutrze...

— Dobrze, w takim razie... dobrze... wyciągam nogi i lecę... to trochę kłopotliwe, bo jestem u przyjaciółki, która...

Czułem, że Albertyna nie przypuszczała że ja przyjmę propozycję przyścia, zatem ta propozycja nie była szczerą; chciałem ją przycisnąć do muru.

— Co mnie obchodzi twoja przyjaciółka; przychodź albo nie przychodź, to twoja rzecz; to nie ja cię proszę żebyś przyszła, to ty mi to zaproponowałaś.

— Nie gniewaj się, wskakuję w fiakra i jestem za dziesięć minut.

Tak więc z owego Paryża, z którego nocnych głębokości już się wdarł do mojego pokoju, znacząc promień działania odległej istoty, głos który miał się wyłonić i zjawić po tem pierwszym zwiastowaniu, to była owa Albertyna, znana mi niegdyś pod niebem Balbec, kiedy garsonów z Grand-Hotelu, nakrywających do stołu, oślepił blask zachodu, kiedy szyby były całkiem rozsunięte, a z plaży, gdzie przechadzali się zapóźnieni przechodnie, płynęły swobodnie niedostrzegalne podmuchy wieczorne do ogromnej jadalni, kiedy goście jeszcze nie siedli do stołu i kiedy w lustrze za bufetem przesuwano się czerwone odbicie kadłuba ostatniego statku do Rivebelle i długo trwał szary refleks dymu.

Nie zastanawiałem się już, co mogło być przyczyną zapóźnienia się Albertyny, kiedy zaś Franciszka weszła do pokoju, mówiąc: „panna Albertyna przyszła”, jeżeli odpowiedziałem nie odwracając nawet głowy: „Jako, panna Albertyna przychodzi tak późno!” — była to jedynie komedia z mojej strony. Ale podnosząc wówczas oczy na Franciszkę, jakgdyby ciekaw jej odpowiedzi mającej wzmocnić pozorną szczerą moją pytania, spostrzegłem z podziwem i wściekłością, że Franciszka, zdolna rywalizować z samą Bermą w wymowie nieożywionych szat i rysów twarzy, zdołała wyuczyć swój stanik, swoje włosy (z których najbielsze wydobyła na wierzch, wystawiając je niby metrykę), szyję przygiętą zmęczeniem i posłuszeństwem. Ubolewały nad nią, że ją wyrwano ze snu i z ciepłego łóżka, w późną noc, w jej wieku, zmuszoną odziewać się na łap cap, ryzykując przeziębienie. Toteż, bojąc się że to wygląda tak jakbym się tłumaczył z późnego przyścia Albertyny, dodałem, dając upust głębokiej radości: „W każdym razie, bardzo się cieszę że przyszła, doskonale.”

Radość ta nie długo pozostała niezmacona, kiedym usłyszał odpowiedź Franciszki. Ta, nie wyrażając żadnej skargi, niby to powstrzymując nawet z całych sił nieodparty kaszel i obciążając szal jakby jej było zimno, zaczęła mi na wstępie opowiadać wszystko co powiedziała Albertynie, nie zapomniawszy spytać jej o ciotkę.

— Właśnie mówiłam, że panicz musiał się bać że ona już nie przyjdzie, bo to nie jest pora na wizyty, wnetki już będzie rano. Ale ona musiała być gdzieś, gdzie się dobrze bawiła, bo nawet nie powiedziała że jej przykro że dała paniczowi czekać; odrzekła tylko z miną taką że niby gwizdże na wszystko: „Lepiej późno niż nigdy”.

I Franciszka dodała te słowa, które mi przeszły serce:

— Mówiąc tak, sama się wydała. Byłaby może chciała się przytulić, ale...

Nie miałem czemu się tak bardzo dziwić. Wspomniałem, że Franciszka, kiedy się jej dawało jakieś zlecenie, rzadko zdawała sobie sprawę, jeżeli nie z tego co sama powiedziała (nad czym rozwodziła się chętnie), to z odpowiedzi, na którąśmy czekali. Ale, jeżeli wyjątkowo powtórzyła nam słowa (choćby najkrótsze) naszych przyjaciół, starała się naogół (bodaj akcentem, tonem, który, wedle zapewnień Franciszki, towarzyszył tym słowom) dać im coś uwłaczającego. W ostateczności, godziła się doznać w magazynie, gdzieśmy ją posłali, jakiejś „ubliży”, najprawdopodobniej zresztą urojonej, byleby, zwracając się do niej, naszej reprezentantki, przemawiającej w naszym imieniu, „ubliża” ta dosięgła rykoszetem nas samych. Pozostawało jedynie odpowiedzieć jej, że źle zrozumiała, że cierpi na manję prześladowczą i że wszyscy kupcy nie spiskują przeciwko niej. Zresztą uczucia ich mało mnie obchodziły. Inna rzecz uczucia Albertyny. I powtarzając te ironiczne słowa: „Lepiej późno niż nigdy!”, Franciszka nasunęła mi natychmiast obraz przyjaciół, w których towarzystwie Albertyna spędziła wieczór, czując się zatem z nimi lepiej niż



ze mną. „Kopyradło w płaskim kapelusidle przy jej wylupiastych oczach to śmiesznie wygląda, zwłaszcza z tym jej płaszczkiem, który powinna dać do cerowniaczki, bo cały jest pogryziony. Śmiechu warte”, dodała, jakby drwiąc sobie z Albertyny, Franciszka, która rzadko dzieliła moje wrażenia, ale doznawała potrzeby objawiania mi swoich. Nie chciałem nawet okazać, że rozumiem iż ten śmiech oznacza wzgardę i szyderstwo; ale, aby oddać cios za cios, odparłem, mimo iż nie znałem wzmiankowanego kapelusza: „To, co Franciszka nazywa płaskie kapelusidło, to jest coś poprostu czarującego... — A ja myślę, że to czysty łach”, rzekła Franciszka, wyrażając tym razem szczerze swą prawdziwą wzgardę. Wówczas (łagodnie i dobitnie, iżby moja kłamiwa odpowiedź dawała wrażenie nie gniewu lecz prawdy), ale nie zwlekając, aby nie dać czekać Albertynie, zaaplikowałem Franciszce te okrutne słowa: „Franciszka jest przecańna kobieta — rzekłem z obleśną słodyczą — jest kochana, ma tysiąc przymiotów, ale została Franciszka w tym samym punkcie co kiedy przybyła do Paryża, zarówno w znawstwie spraw toaletowych, co w tem aby należycie wymawiać i nie przekręcać wyrazów”.

I ten docinek był szczególnie głupi, bo słowa francuskie z których należytego wymawiania jesteśmy tak dumni, nie są niczem innym jak „przekręcaniem”, dokonaniem przez usta gallijskie, fałszywie wymawiające łacinę i saksońskie, ile że nasz język jest tylko wadliwą formą wymawiania paru innych języków. Geniusz języka w stanie żywym, przyszłość i przeszłość francuzczyzny, oto co mnie powinno było interesować w błędach językowych Franciszki. „Cerowniaczka” zamiast „cerowaczki” czyż to nie było równie ciekawe jak owe zwierzęta przetrwałe z odległych epok, jak wieloryb lub żyrafa, wskazujące nam etapy, jakie przebyło życie zwierzęce.

— I, dodałem, skoro od tylu lat nie umiała Franciszka niczego się nauczyć, już się Franciszka nie nauczy nigdy. Może się Franciszka pocieszyć, to jej nie przeszkodzi być bardzo ząną osobą, przyrządzać cudownie sztukamię w auszpiku, i tysiąc innych rzeczy. Kapelusz, który się Franciszce wydaje pospolity, skopiowany jest z kapelusza księżnej de Guermantes, który kosztował pięćset franków. Zresztą zamierzam niebawem ofiarować pannie Albertynie jeszcze piękniejszy.

Wiedziałem, że najbardziej może podrażnić Franciszkę myśl, że wydaję pieniądze dla osób, których ona nie lubi. Odpowiedziała kilka słów, które nagle zadyszka uczyniła mało zrozumiałemi. Kiedym się dowiedział później, że ona była chora na serce, jakież wyrzuty odczułem, że nigdy sobie nie odmówiłem okrutnej i jałowej przyjemności takiego replikowania jej. Franciszka nie cierpiała zresztą Albertyny, bo Albertyna, będąc biedną, nie mogła w niczem przydać mi blasku z którego Franciszka była dumna. Uśmiechała się życzliwie, ilekroć byłem proszony do pani de Villeparisis. Na odwrót oburzona była, że Albertyna się nie rewanżuje. Doszło do tego, że musiałem wymyślać dane mi rzekomo przez Albertynę podarki, w których istnienie zresztą Franciszka nie wierzyła nigdy ani odrobinę. Ten brak wzajemności raził ją zwłaszcza w zakresie spożywczym. To że Albertyna przyjmuje obiady mamy, kiedy nas nigdy nie proszą do pani Bontemps (przeważnie zresztą nieobecnej ile że jej mąż przyjmował „placówki”, jak niegdyś, kiedy miał dosyć ministerstwa), wydawało się jej ze strony mojej przyjaciółki niedelikatnością, którą Franciszka piętnowała pośrednio, powtarzając to popularne w Combray porzekadło: „Zjedzmy mój chleb. — Dawaj. — A teraz twój. — Jużem nie głodny”.

Udałem że mam coś do pisania. „Do kogo pieszysz? — rzekła Albertyna wchodząc. — Do mojej ładnej przyjaciółeczki, do Gilberty Swann. Nie znasz jej? — Nie”.

Nie spytałem Albertyny o nic w sprawie wieczoru; czułem, że robiłbym jej wymówki i nie mielibyśmy już czasu (zważywszy późną godzinę) pogodzić się na tyle, aby przejść do pocałunków i pieszczot. Od tego chciałem też natychmiast zacząć. Zresztą, mimo iż nieco spokojniejszy, nie czułem się szczęśliwy. Strata wszelkiej busoli, wszelkiego kierunku, charakteryzująca czekanie, trwa jeszcze po przybyciu oczekiwanej istoty: zajmując w nas miejsce spokoju, dzięki któremu tak cieszyliśmy się na jej przybycie, nie pozwala nam kosztować przyjemności. Albertyna była przy mnie, ale rozprężone nerwy, dalej pełne niepokoju, czekały na nią jeszcze.

— Pragnę dobrego pocałunku, Albertyno. — Ile tylko chcesz, rzekła z całą dobrocią. Nigdy nie wydała mi się równie ładna. — Jeszcze jeden? — Ależ wiesz, że to mi sprawia

wielką, wielką przyjemność. — A mnie tysiąc razy większą, odparła. Och, jaka ładna teczka! — Weź ją, daję ci ją na pamiątkę. — Milusi jesteś...

Wyleczylibyśmy się na zawsze z romantyzmu, gdybyśmy, myśląc o osobie którą kochamy, spróbowali stać się człowiekiem którym będziemy wówczas kiedy jej już nie będziemy kochali. Teczka, agatowa kulka Gilberty, wszystko to czerpało najoczywiściej niegdyś swoją wagę jedynie z czysto wewnętrznego stanu, skoro teraz była to dla mnie ot, jakaś tam teczka, jakaś tam kulka.

Spytałem Albertyny, czy chce się czegoś napić. „Zdaje mi się, że widzę pomarańcze i wodę, rzekła. To będzie pyszne”. W ten sposób mogłem kosztować, wraz z jej pocałunkami, owego chłodu, który, na raucie księżnej Marji, zdawał mi się pożądanym od nich. I pomarańcza wyciśnięta do wody wydawała mi, w miarę jak piłem, tajemne życie swego dojrzewania, swój szczęśliwy wpływ na pewne stany ciała ludzkiego (mimo iż należącego do tak odmiennego królestwa), swoją niemoc w tem aby je odżywić, ale w zamian swoją wilgoć która mogła mu być zbawienna, sto tajemnic zdradzonych przez ten owoc mojej wrażliwości, bynajmniej zaś mojej inteligencji.

Kiedy Albertyna poszła, przypomniałem sobie, że przyrzekł Swannowi napisać do Gilberty; pomyślałem, że uprzejmie będzie zrobić to zaraz. Bez wzruszenia i jakby kreśląc ostatni wiersz na nudnym wypracowaniu, wypisałem na kopercie imię Gilberty Swann, którem pokrywałem niegdyś kajety, aby sobie stworzyć złudzenie że z nią koresponduje. Bo jeżeli niegdyś ja sam pisałem to imię, teraz trud ten przypadł, siłą przyzwyczajenia, jednemu z owych licznych sekretarzy, których przyzwyczajenie sobie przybiera. Ten mógł kreślić imię Gilberty tem swobodniej, ile że, pomieszczony świeżo u mnie przez przyzwyczajenie, świeżo wstąpiwszy w moje służby, nie znał Gilberty i wiedział tylko — stąd iż słyszał jak o niej mówiłem, przyczem dla niego słowa te nie miały żadnej realności — że to jest panna, w której byłem swego czasu zakochany.

Nie mogłem oskarżać tego sekretarza o oschłość. Istota, którą byłem teraz w stosunku do Gilberty, była „świadkiem”, zdolnym najlepiej zrozumieć czem była niegdyś ona sama: teczka, kulka agatowa, stały się prosto dla mnie wobec Albertyny tem, czem były niegdyś dla Gilberty, czem były dla wszelkiej istoty, nie oglądającej ich w blasku wewnętrznego płomienia. Ale teraz żyło we mnie nowe wzruszenie, zmieniające z kolei prawdziwą wartość rzeczy i słów. I kiedy Albertyna mówiła, aby mi jeszcze podziękować: „Ja tak lubię turkusy”, odpowiedziałem: „Nie daj im umrzeć” — powierzając niejako tym kamieniom przyszłość naszej przyjaźni, która przecież tak samo nie była zdolna tchnąć uczucia w Albertynę, jak nie była zdolna przechować uczuć, wiążących mnie niegdyś do Gilberty.

W owej epoce zdarzyło się zjawisko, zasługujące na wzmiankę jedynie dlatego, że się powtarza we wszystkich ważnych momentach historii. W chwili gdym pisał do Gilberty, p. de Guermantes, ledwie wróciwszy z reducy, jeszcze w swoim kasku, pomyślał, że nazajutrz będzie musiał wdziąć oficjalnie żałobę, i postanowił przyspieszyć o tydzień kurację u wód. Kiedy wrócił w trzy tygodnie później (uprzedzam wypadki, ponieważ w tej chwili ledwie skończyłem pisać do Gilberty), przyjaciele księcia, którzy widzieli niegdyś, jak, obojętny z początku, stał się z czasem zajadłym antydreyfusistą, oniemieli ze zdumienia, słysząc jak on — tak jakby kuracja podziałała mu nietylko na pęcherz — odpowiada: „No i cóż, odbędzie się rewizja procesu i Dreyfus będzie uwolniony; nie można skazywać człowieka, na którym nic nie ciąży. Czy widzieliście kiedy takiego ramola jak Forcheville? Oficer przygotowujący Francuzów do rzeźni, to znaczy do wojny. Dziwna epoka”.

Otóż w międzyczasie, księżę Błajej poznał u wód trzy urocze damy (włoską księżną i jej dwie bratowe). Słyszcząc z ich ust kilka słów o książkach jakie czytały, o sztuce dawanej w kasynie, księżę odgadł natychmiast, że ma do czynienia z kobietami wyższej inteligencji, wobec których, jak mówił, nie był na wysokości. Tem szczęśliwszy się czuł, kiedy go włoska księżna zaprosiła na bridża. Ale ledwie znalazł się u niej, kiedy, wśród rozmowy, w zapale swego niezmaconego antydreyfusizmu powiedział: „I cóż, już się nie słyszy o rewizji procesu tego słynnego Dreyfusa”, ku wielkiemu zdumieniu usłyszał, jak księżna i jej bratowe odrzekły: „Ależ nigdy nie było się jej tak blisko. Nie można trzymać w kaźni kogoś, kto nic nie popełnił. — A? A?” wybąkał zrazu księżę, jakgdyby słysząc dziwny epitet, używany w jakimś domu dla ośmieszenia kogoś, kogo on miał do tej pory za inteligentnego człowieka. Ale tak jak, po kilku dniach, przez tchórzostwo i przez

ducha naśladownictwa, nie wiedząc czemu, krzyczy się: „Słuchaj, Koko”, na wielkiego artystę, którego wszyscy w tym domu tak nazywają, tak ksiązę, jeszcze zdziwiony nowym zwyczajem, odpowiedział jednak: „W istocie, jeżeli nie ma nic przeciw niemu”... Trzy urocze damy uważały, że ksiązę nie robi postępów dość szybko i poszturkiwały go trochę: „Ależ w gruncie żaden inteligentny człowiek nie mógł wierzyć, aby w tem coś było”. Za każdym razem, kiedy się zjawiał jakiś „miażdżący” fakt przeciw Dreyfusowi i kiedy ksiązę, myśląc że to nawróci trzy urocze damy, oznajmiał go im, śmiały się do rozpuku, poczem bez trudu, z wielką subtelnością djalektyki, wykazywały, że argument jest bez wartości i zupełnie śmieszny. Książę wrócił do Paryża jako zagorzały dreyfusista. I z pewnością nie twierdzimy, aby trzy urocze damy nie były, w danym wypadku, posłankami prawdy. Ale godne uwagi jest, że co dziesięć lat, kiedy się zostawiło kogoś głęboko o czemm przeświadczonym, zdarza się, że jakaś inteligentna para, lub nawet jedna urocza dama, zaprzyjaźnia się z nim i w kilka miesięcy doprowadza go do przeciwnych poglądów. I istnieje wiele krajów, zachowujących się w tej mierze tak jak ów szczerzy człowiek; wiele krajów, które ziały nienawiścią do jakiegoś narodu, a które, w pół roku później, zmieniły uczucia i zmieniły swoje sojusze.

Nie widziałem od jakiegoś czasu Albertyny, ale w dalszym ciągu, w braku pani de Guermantes, która nie przemawiała już do mojej wyobraźni, widywałem inne wróżki i ich mieszkania równie od nich nieodłączne, jak perłowa lub emaliowa skorupa, albo karbowana wieżyczka muszli nieodłączne są od mięczaka, który ją sporządził i który się w nią chroni. Nie umiałbym sklasyfikować tych dam, tak trudność problemu była nieznacząca, niemożliwa nietylko do rozwiązania, ale do postawienia. Aby ujrzeć damę trzeba było wstąpić w jej czarodziejski pałac. Otóż jedna przyjmowała w lecie zawsze po śniadaniu; jadąc do niej trzeba było podnieść budę, tak straszliwie prażyło słońce, którego pamięć — mimo iż sobie z tego nie zdawałem sprawy — miała się zespolić z ogólnem wrażeniem. Myślałem że jadę tylko na Cours-la-Reine; ale w rzeczywistości, zanim przybyłem na zebranie, z którego człowiek praktyczny możeby się wyśmiać, doznałem — niby w czasie podróży przez Włochy — olśnienia, rozkoszy, nierozdzielnej już w mojej pamięci z owym pałacem. Co więcej, z przyczyny upalnej pory i godziny, dama zamknęła hermetycznie okienice w obszernych prostokątnych salonach parterowych, gdzie przyjmowała. Ledwie mogłem zrazu poznać gospodynię i gości, nawet księżnę Oriane, która swoim chrapliwym głosem prosiła mnie abym usiadł obok niej w fotelu Beauvais, przedstawiającym porwanie Europy. Potem rozpoznawałem na ścianach gobeliny z XVIII wieku, przedstawiające okręty o masztach strojnych w malwy pod którymi znajdowałem się niby w pałacu nie Sekwany lecz Neptuna, nad brzegiem rzeki Oceanu, gdzie księżna Oriana stawiała się bóstwem wodnem. Nie skończyłbym, gdybym chciał wyliczać wszystkie inne salony. Ten przykład wystarczy na dowód, że moje światowe sądy barwiły się poetyckimi wrażeniami, których nigdy nie brałem w rachubę w chwili ostatecznego podsumowania, tak iż, kiedym obliczał zalety jakiegoś salonu, rachunek mój nigdy nie był ścisły.

Niewątpliwie, te źródła błędu nie były zgoła jedyne; ale nie mam już czasu, przed wyjazdem do Balbec (gdzie, na swoje nieszczęście, wybiorę się na drugi — i ostatni — pobyt), rozpocząć obrazów „świata”, dla których miejsce znajdzie się znacznie później. Powiedzmy tylko, że do tej pierwszej fałszywej racji (życie dość rozprószone, pozwalające wnosić o mojej światowości) mego listu do Gilberty oraz powrotu do Swannów, który ów list zdawał się zwiastować, Odeta mogłaby dodać — równie nieściśle — drugą. Dotąd, aby sobie wyobrazić różne postacie, jakie świat przybiera dla danej osoby, przypuszczałem poprostu, że jakaś dama, która wprzód nie znała nikogo, zaczyna bywać wszędzie, lub że inna dama, która miała świetną pozycję, traci ją i zostaje osamotniona; w czem jesteśmy skłonni widzieć jedynie owe — czysto osobiste — zwyczaje i niżki, jakie, od czasu do czasu, powodują w danem towarzystwie, na skutek spekulacyj giełdowych, głośną ruinę lub nieoczekiwane bogactwo. Otóż to nie jest tylko to. W pewnej mierze, zjawiska światowe — o wiele blabsze od ruchów artystycznych, przesilen politycznych, od ewolucji kierującej smak ogółu ku „teatrowi idei”, potem ku malarstwu impresjonistów, potem ku muzyce niemieckiej i skomplikowanej, potem ku muzyce rosyjskiej i prostej, lub ku poglądom społecznym, ku ideom sprawiedliwości, reakcji religijnej, przypływowi patryjotyzmu — są jednak ich dalekiem, mglistem, niepewnem, mętnem, zmiennem odbiciem. Tak iż nawet salonów nie da się odmalować w statycznej nieruchomości, wy-

starczającej dotąd dla analizy charakterów, które również nieodzownie trzeba wciągnąć w ruch quasi-historyczny. Pociąg do nowości skłania światowców pragnących się mniej lub więcej szczerze poinformować o ewolucji intelektualnej, do odwiedzania środowisk gdzie ją mogą śledzić; każe im upodobać sobie zazwyczaj jakąś panią domu, dotąd prawie nieznaną, przedstawiającą, można rzec w samym pączku, nadzieje intelektualne, tak zwiędłe i nieświeże u kobiet, oddawna dzierżących światowe berło i nie przemawiających już do wyobraźni ponieważ zna się ich silne i słabe strony. W ten sposób, każda epoka personifikuje się w nowych kobietach, w nowej grupie kobiet; ściśle związane z tem, co w danej chwili pobudza najnowsze zaciekawienia, zdają się one, w swojej tualecie, zjawiać dopiero w tej chwili, jako nieznaną gatunek, zrodzony z ostatniego potopu — nieodparte piękności każdego nowego Konsulatu, każdego nowego Dyrektoriatu. Ale bardzo często, pani nowego domu jest poprostu — jak pewni mężowie Stanu, którzy pierwszy raz są ministrami, ale którzy od czterdziestu lat pukali daremnie do wszystkich drzwi — z liczby kobiet, nie znanych towarzystwu, ale mimo to przyjmujących, od bardzo dawna i w braku czego lepszego, paru „dobrych przyjaciół”. Zapewne, nie zawsze jest tak, i kiedy, wraz z zadziwiającym rozkwitem rosyjskiego baletu, objawiającym nagle Baksta, Niżyńskiego, Benoista, geniusz Strawieńskiego, księżna Jurbeletiew, młoda chrzestna mateczka wszystkich tych nowych wielkich ludzi, zjawiała się mając na głowie olbrzymią drżącą egretkę, nieznaną paryżankom i budzącą we wszystkich chęć naśladowania, można było przypuszczać, że tę cudowną istotę przywieźli w swoich niezliczonych bagażach, jako najcenniejszy skarb, rosyjscy tancerze; ale kiedy obok niej, w parterowej łoży przy scenie, ujrzemy na wszystkich przedstawieniach baletu, niby prawdziwą wróżkę, nieznaną do tego dnia arystokracji, panią Verdurin, światowcom gotowym z łatwością uwierzyć że pani Verdurin świeżo wylądowała wraz z trupą Diagilewa, będziemy mogli odpowiedzieć, że ta dama istniała już w odmiennych czasach i przechodziła liczne wcielenia. Obecne wcielenie różni się od poprzednich tylko tem, że jest pierwszym, które sprowadziło wreszcie tak długo i nadaremnie wyczekiwany przez „pryncypałkę” sukces, odtąd już zapewniony i posuwający się coraz to szybszym krokiem.

Co się tyczy pani Swann, nowość, jaką reprezentowała, nie miała coprawda tego zbiorowego charakteru. Salon jej skrytykował się dokoła jednego człowieka, dokoła umierającego, który, w chwili gdy jego talent się wyczerpywał, przeszedł niemal od razu z mroku do wielkiej sławy. Entuzjazm dla twórczości Bergotte'a był olbrzymi. Całe dni spędzał wystawiany na pokaz u pani Swann, która szeptała do jakiegoś wpływowego człowieka: „Pomówię z nim, napisze o panu artykuł”. Był zresztą zdolny napisać artykuł, a nawet jakąś jednoaktówkę dla pani Swann. Mimo iż bliższy śmierci, Bergotte miał się nieco mniej źle niż w epoce, gdy zachodził po wiadomości w czasie choroby mojej babki. Bo wielkie bóle fizyczne nałożyły mu djotę. Choroba jest najbardziej słuchanym z lekarzy: dobroci, wiedzy, przyrzekamy jedynie; posłuszni jesteśmy cierpieniu.

To pewna, że „paczka” Verdurinów miała obecnie nieporównanie większą żywotność, niż lekko nacjonalistyczny, bardziej jeszcze literacki, a przedewszystkiem *bergotyczny* salon pani Swann. „Paczka” była w istocie czynnym ogniskiem długiego politycznego wstrząsu, który obecnie osiągnął najwyższe nasilenie: dreyfusizmu. Ale ludzie światowi byli przeważnie tak bardzo antyrewizjonistami, że salon dreyfusistowski zdawał się czemś równie niemożliwym jak w innej epoce niemożliwy byłby salon komunardów. Księżna de Caprarola, która poznała panią Verdurin z okazji jakiejś organizowanej przez siebie wielkiej wystawy, złożyła jej długą wizytę, w nadziei skuszenia jakich interesujących elementów „małego klanu” i wcielenia ich do własnego salonu. Podczas tej wizyty, księżna (odgrywająca, na małą stopę, coś w rodzaju księżnej Oriany) wystąpiła przeciw utartym poglądom, oświadczyła że ludzie z jej sfery są idjoci, co się pani Verdurin wydało bardzo śmiało. Ale ta odwaga nie miała się posunąć aż do tego, aby, pod ogniem spojrzeń dam-nacjonalistek, ukłonić się pani Verdurin na wyścigach w Balbec.

Co się tyczy pani Swann, antydreyfusisci uznawali w niej przeciwnie to że jest „dobrze myślącą”, w czem, będąc żoną Żyda, miała podwójną zasługę. Niemniej, osoby które nigdy u niej nie były, wyobrażały sobie, że ona przyjmuje jedynie paru pokątnych izraelitów oraz uczniów Bergotte'a. W ten sposób pomieszcza się osoby, nieraz mające o ileż wyższe kwalifikacje od pani Swann, na najniższym szczeblu drabiny społecznej, czy to dla ich początków, czy że nie lubią obiadów proszonych i rautów gdzie nie widuje się ich nigdy,

tłumacząc to sobie fałszywie tem że nie były zaproszone; czy dlatego że nie mówią nigdy o swoich światowych stosunkach, ale wyłącznie o literaturze i o sztuce; czy dlatego, że ludzie kryją się z bywaniem u nich, lub że, aby nie robić niegrzeczności innym, one kryją się z tem że kogoś przyjmują; słowem dla tysiąca przyczyn, które z tej lub innej osoby czynią do reszty, w oczach niektórych, „kobietę której się nie przyjmuje”. Tak było z Odetą. Pani d’Epinoy, wybrawszy się do Odety aby ją naciągnąć na rzecz *Patrie française*, szła tam tak jakby miała zejść do swojej krawcowej. Przekonana iż zastanie tam jedynie twarze nawet nie pogardzane ale nieznanne, stanęła jak wryta, kiedy się otworzyły drzwi nie do salonu takiego jaki sobie wyobrażała, ale do czarodziejskiej sali, gdzie — niby w jakiejś feerji — w olśniewających statystkach porozkładanych po kozetkach, siedzących w fotelach, nazywających panią domu po imieniu, poznała altessy i diuszessy, które ona sama, księżna d’Epinoy, zaledwie z trudem mogła ściągnąć do siebie, i którym w tej chwili, pod życzliwym okiem Odety, margrabia de Lau, hrabia Louis de Turenne, książę Borghese, książę d’Estrées, znoszący oranżadę i ptifury, służyli za cześników i podczaszych. Ponieważ księżna d’Epinoy, nie zdając sobie z tego sprawy, utożsamiała wszelką istotę z jej wartością światową, zmuszona była odcieleścić panią Swann i przecieleścić ją w *kobietę elegancką*. Nieświadomość istotnego życia kobiet, nie reklamujących się w dziennikach, rozpościera na pewnych sytuacjach (przyczyniając się przez to do urozmaicenia salonów) zasłonę tajemnicy. Co się tyczy Odety, w początkach, paru mężczyzn z najwyższych sfer ciekawych Bergotte’a, bywało u niej na obiedzie w małym kółku. Miała ten świeżo nabyty takt aby się nimi nie popisywać; poprostu „mieli tam swoje nakrycie” — może przez wspomnienie „małego klanu”, którego tradycje zachowała Odeta od czasu swojej „schizmy”. Odeta zabierała ich na interesujące premiery z Bergottem, którego to zresztą dobijało. Panowie ci wspomnieli o Odecie paru kobietom ze swojego świata, zdolnym zainteresować się taką nowością. Przekonane były, że Odeta, przyjaciółka Bergotte’a, mniej lub więcej współpracowała w jego dziełach i uważali ją za tysiąc razy inteligentniejszą od najwybitniejszych kobiet z *faubourg*, z tej samej przyczyny, dla której pokładały wszystkie swoje nadzieje polityczne w pewnych republikanach dobrej marki, jak pp. Doumer i Deschanel, podczas gdy klęskę Francji widziały w personelu monarchistów, których zapraszały na obiady, takich jak Charette, Doudeauville etc.

Zmianie sytuacji Odety towarzyszyła z jej strony dyskrekcja, która czyniła tę zmianę pewniejszą i szybszą, ale nie pozwalała się wcale domyślać tego faktu osobom skłonnyim oceniać wzrost i upadek jakiegoś salonu na podstawie wzmianek w „Gaulois”. Tak iż na premierze sztuki Bergotte’a odegranej w najwytworniejszej sali na jakiś cel dobroczynny, istną sensacją stał się — w loży nawprost sceny, będącej lożą autora — widok pani Swann obok pani de Marsantes, oraz tej, która, wskutek stopniowego wycofywania się księżnej Oriany (sytej honorów i mniej zdolnej do wysiłku), była w trakcie stawania się lwicą, królową epoki — hrabiny Molé. „Podczas gdy myśmy się nawet nie domyślali, że się zaczyna wspinać — powiadano sobie o Odecie, w chwili gdy ujrano hrabinę Molé wchodzącą do jej loży — ona przebywała ostatni szczebel!”

Tak iż pani Swann mogła myśleć, że ja przez snobizm zbliżam się do jej córki.

Mimo obecności świetnych przyjaciółek. Odeta słuchała sztuki z nadzwyczajną uwagą, tak jakby jedynie po to przyszła, jak niegdyś spacerowała po Lasku dla higieny i dla ruchu. Mężczyźni, którzy niegdyś mniej jej nadskakiwali, zachodzili na balkon, niepokojąc wszystkich, cisnąc się do ręki Odety, aby się zbliżyć do imponującego kręgu, który ją otaczał. Ona, z uśmiechem jeszcze raczej uprzejmym niż ironicznym, odpowiadała cierpliwie na ich pytania, udając więcej spokoju niżby można było przypuszczać; i spokój jej był może szczerzy, ile że ta parada była jedynie publicznem uświęceniem codziennej i dyskretnie skrywanej żąłości. Za temi trzema damami, skupiając wszystkie spojrzenia, znajdował się Bergotte, w otoczeniu księcia d’Agrigente, hrabiego Louis de Turenne i margrabiego de Bréauté. I łatwo pojąć, że dla ludzi którzy bywali wszędzie i którzy awansu mogli spodziewać się już tylko w wyszukaniach oryginalności, to stwierdzenie własnych walorów, jakiego w swoim mniemaniu dokonywali, przyjmując zaproszenia pani domu, mającej reputację wysokiego intelektualizmu, osoby u której spodziewali się spotkać wszystkich autorów dramatycznych i głośnych powieściopisarzy, była bardziej podniecająca i żywa, niż owe wieczory u księżnej Marji, które, bez żadnego programu i bez nowej atrakcji, następowały po sobie od tylu lat, mniej lub więcej podobne do te-

go, któryśmy opisali tak obszernie. W tym wielkim świecie, w świecie Guermantów, od którego ciekawość odwracała się potrosze, nowe mody intelektualne nie wcielały się w rozrywki będące ich obrazem, jak w owe bluetki Bergotte'a pisane dla pani Swann, lub owe prawdziwe posiedzenia *de salut public* (gdyby „świat” mógł się interesować sprawą Dreyfusa), na których u pani Verdurin zbierali się Picquart, Clémenceau, Zola, Reinach i Labori.

Gilberta również wzmacniała sytuację matki, bo pewien wuj Swanna zostawił pannie Swann blisko osiemdziesiąt milionów, co sprawiło że faubourg Saint-Germain zaczynało ją brać w rachubę. Odwrotną stroną medalu było, że Swann, zresztą umierający, był za Dreyfusem, ale i to nie zaszkodziło jego żonie, a nawet jej pomagało. Nie szkodziło, bo mówiono: „On jest ramol, idjota, nikt się nim nie interesuje; liczy się jedynie jego żona, a ta jest urocza”. Ale nawet dreyfusizm Swanna wychodził na dobre Odecie. Zdana na samą siebie, zaczęłyby może kobietom *szykownym* robić awanse, któreby ją zgubiły. Obecnie, kiedy Odeta wlekła męża na jakiś obiad i raut w faubourg Saint-Germain, Swann, siedząc chmurnie w kącie i widząc jak Odeta chce się przedstawić jakiejś damie-nacjonalistce, bez ceremonii mówił głośno: „Ależ Odeto, tyś chyba oszalała! Proszę cię, siedź spokojnie. To byłoby służalstwo z twojej strony przedstawiać się antysemitkom. Zabraniam ci.” Ludzie światowi, o których wszyscy się ubiegają, nie przywykli ani do takiej dumy, ani do tak złego wychowania. Pierwszy raz widzieli kogoś, kto się uważał za „coś więcej” od nich. Powtarzano sobie te wybuchy Swanna i bilety wizytowe sypały się jak deszcz do Odety. Kiedy Odeta zjawiła się z wizytą u pani d'Arpajon, wzbudziła żywy i sympatyczny odruch ciekawości. „Nie gniewacie się, że wam ją przedstawiłam? — mówiła pani d'Arpajon. Milutka jest. To Marja de Marsantes zapoznała mnie z nią. — Ależ nie, przeciwnie, zdaje się że ona jest niesłychanie inteligentna, urocza jest. Przeciwnie, chciałabym ją jeszcze kiedy spotkać, powiedz mi, gdzie mieszka”.

Pani d'Arpajon mówiła pani Swann, że się doskonale bawiła u niej przedwczoraj i z radością puściła dla niej kantem panią de Saint-Euverte. I to była prawda, bo „woleć panią Swann” stanowiło dowód, że się jest inteligentnym, coś tak jak iść na koncert zamiast na herbatkę. Ale kiedy pani de Saint-Euverte przyszła do pani d'Arpajon równocześnie z Odetą, ponieważ pani de Saint-Euverte była wielka snobka, a pani d'Arpajon, mimo iż traktując ją dość z góry liczyła się z jej recepcjami, pani d'Arpajon nie przedstawiała Odety, aby pani de Saint-Euverte nie dowiedziała się kto to taki.

Pani de Saint-Euverte wyobrażała sobie, że to musi być jakaś Wysokość, która bardzo mało się udziela, skoro ona jej nie spotkała; przeciągała tedy wizytę, odpowiadała pośrednio na to co Odeta mówiła, ale pani d'Arpajon była jak z kamienia. I kiedy pani de Saint-Euverte, zwyciężona, odeszła, pani domu mówiła do Odety:

— Nie przedstawiłam pani, bo ludzie nie bardzo lubią chodzić do niej, a ona forsownie zaprasza; nie byłaby się pani mogła wykręcić. — Och, nic nie szkodzi, powiadała Odeta z żalem. Ale zachowała pojęcie, że świat nie lubi chodzić do pani de Saint-Euverte, co było w pewnej mierze prawdą, i wniosowała stąd, że ma sytuację o wiele wyższą od pani de Saint-Euverte, mimo że ta miała sytuację bardzo wielką, a Odeta jeszcze żadnej.

Nie zdawała sobie z tego sprawy i mimo iż wszystkie przyjaciółki pani de Guermantes żyły blisko z panią d'Arpajon, kiedy pani d'Arpajon zaprosiła panią Swann, Odeta czuła się w obowiązku usprawiedliwiać: „Idę do pani d'Arpajon, ale wydam się wam bardzo staroświecka, gdy powiem że mnie to raz i z powodu księżnej Oriany” (której nie znała zresztą).

Ludzie dystyngowani sądzili, że fakt iż pani Swann mało zna ludzi z wielkiego świata, wynika stąd, że musi być kobietą niezwykłą, prawdopodobnie wielką muzyczką, i że bywać u niej, to byłby rodzaj tytułu extra-światowego, jak np. dla księcia być doktorem filozofii. Kobiety zupełnie głupie przyciągała do Odety przeciwna racja; dowiadując się, że chodzi na *concert Colonne* i że jest zdeklarowaną wagnerjanką, wносиły stąd, że to musi być „puszczalska” i bardzo były podniecone myślą poznania jej. Ale nie czując się dość pewne siebie, bały się, że się skompromitują publicznie przyznając się do zażyłości z Odetą, i kiedy na koncercie dobroczynnym spostrzegły panią Swann, odwracały głowę, uważając za niepodobiestwo kłaniać się pod okiem pani de Rochechouart kobiecie, która zdolna była jechać do Bayreuth — to znaczy puszczać się na całego.

Każda osoba będąca z wizytą u innej stawała się inna. Pośród cudownych metamorfoz, jakie się spełniały — niby w świecie wróżek — w salonie pani Swann, p. de Bréauté, nagle podniesiony w cenie nieobecnością osób otaczających go zazwyczaj, z miną zadowoloną że się tam znajduje — tak jakby, zamiast iść na bal, włożył binokle aby siedzieć w domu i czytać „Revue des Deux-Mondes” — sam Bréauté przez tajemniczy obrzęd jakiego zdawał się dopełniać odwiedzając Odetę, wydawał się nowym człowiekiem. Wielebym dał, aby widzieć, jakim zmianom ulegały w tem nowym środowisku księżna de Montmorency-Luxembourg. Ale była to jedna z osób, którym nigdy nie możnaby przedstawić Odety. Pani de Montmorency, o wiele więcej mająca sympatji do Oriany niż Oriana do niej, powiadała ku memu wielkiemu zdziwieniu o Orianie: „Ona zna inteligentnych ludzi, wszyscy ją lubią, sądzą że gdyby miała trochę więcej wytrwałości, mogłaby sobie stworzyć salon. Ale jej na tem nie zależało, ma rację, czuje się dobrze jak jest, rozrywana przez wszystkich”. Otóż, jeżeli pani de Guermantes nie miała „salonu”, co to jest w takim razie „salon”?

Zdumienie, w jakie mnie wprawiły te słowa, było równe temu, jakie ja wzbudziłem w pani de Guermantes, mówiąc że lubię bywać u pani de Montmorency. Oriana uważała ją za starą kretynkę. „Ostatecznie — mówiła — ja muszę tam bywać, to moja ciotka, ale pan! Ona nie umie nawet ściągnąć przyjemnych ludzi”. Pani de Guermantes nie zdawała sobie sprawy, że przyjemni ludzie nie interesują mnie; że, kiedy ona mi mówi: *salon pani Arpajon* ja widzę żółtego motyla, a przy *salonie pani Swann* (pani Swann była u siebie w domu w zimie od 6 do 7) czarnego motyla o skrzydłach przysypanych śniegiem. Jeszcze ten ostatni salon-nie-salon księżna uważała — mimo że był niemożliwy dla niej — za usprawiedliwiony dla mnie z powodu „ludzi z talentem”. Ale pani de Luxembourg! Gdybym już był „stworzył” coś, coby zwróciło na mnie uwagę, Oriana orzekłaby, że trochę snobizmu może się kojarzyć z talentem. I pogłębiłem jeszcze zawód księżnej Oriany: przyznałem się jej, że chodzę do pani de Montmorency nie poto (jak sądziła) aby „zbierać wzorki” i „robić studja”. Pani de Guermantes popełniała zresztą ten sam błąd co światowi powieściopisarze, którzy bezlitośnie analizują z zewnątrz postęпки snoba lub człowieka uchodzącego za snoba, ale nie wchodzą nigdy w jego wnętrze, w epoce gdy w wyobraźni kwitnie cała wiosna towarzyska. Ja sam, kiedy sobie chciałem zdać sprawę z przyjemności, jakiej doznaję u pani de Montmorency, byłem nieco rozczarowany. Mieszkała w faubourg Saint-Germain, w starym domostwie o mnóstwie oficyn rozdzielonych małymi ogródkami. Pod sklepieniem, posążek (podobno Falconneta) wyobrażał źródło, skąd zresztą sączyła się ciągła wilgoć. Trochę dalej, odzwierciana, z oczami zawsze czerwonymi wskutek zmartwienia, neurastenji, migreny czy kataru — nie odpowiadała gościowi nigdy, ale robiła nieokreślony gest, wskazujący że księżna jest w domu, przy czem upuszczała z powiek kilka kropeł do wazonika niezapominajek. Przyjemność, jaką znajdowałem w oglądaniu statuetki, bo mi przypominała gipsowego ogrodniczka w ogrodzie w Combray, była niczem w porównaniu z przyjemnością, jaką mi sprawiały wielkie schody, ciemne i dźwięczne, pełne ech, jak schody niektórych dawnych zakładów kąpielowych, z wazonami pełnymi cyneraryj błękit na błękitcie — stojącymi w sieni; a zwłaszcza dźwięk dzwonka łudzaco podobny do dzwonka w pokoju Eulalji. Ten dźwięk dopełniał miary mego entuzjazmu, ale wydawał mi się zbyt skromny abym go mógł wytłumaczyć pani de Montmorency, tak iż ta dama widziała mnie zawsze w zachwycie, którego nigdy nie zgadła przyczyny.

#### Wahania serca

Mój drugi przyjazd do Balbec był bardzo odmienny od pierwszego. Dyrektor przybył osobiście aby mnie oczekiwać w Pont-a-Coulevre, powtarzając jak bardzo ceni swoją utytułowaną klientelę, co we mnie wzbudziło obawę, że on mnie uszlachcił, aż do chwili gdy zrozumiał, że w mrokach jego gramatycznej pamięci „utytułowany” znaczy po prostu „stały”<sup>5</sup> Zresztą, w miarę jak dyrektor uczył się nowych języków, gorzej mówił dawniejszemi. Oznajmił, że mnie pomieścił na samym szczycie hotelu. „Mam nadzieję, rzekł, że pan nie dopatrzy się w tem manka grzeczności; przykro mi było dać panu pokój niegodny pana, ale uczyniłem to przez wzgląd na hałasy; w ten sposób nie będzie pan

<sup>5</sup>w mrokach jego gramatycznej pamięci „utytułowany” znaczy po prostu „stały” — *titré* zamiast *attitrée*. [przypis redakcyjny]

miał nikogo nad sobą, aby panu robił rumory. Niech pan będzie spokojny, każe zamknąć okna żeby nie trzaskały. Na tym punkcie jestem nieznośny (słowo to wyrażało nie jego myśl, którą było stwierdzenie, że na tym punkcie będzie zawsze *nieubłagany*, ale może myśl podwładnej mu służby).

Pokoje były zresztą te same co za pierwszym pobytom. Nie były niżej, ale ja wzniósłem się wyżej w szacunku dyrektora. Mogę kazać palić na kominku, jeżeli zapragnę (bo na rozkaz lekarzy, wyjechałem zaraz po Wielkiej Nocy), ale boi się, żeby nie było „rozpadlin” w suficie. „Zwłaszcza niech pan czeka z zapaleniem polana, aż poprzednie będzie skonsumowane. Bo najważniejsze jest, żeby nie zapuścić ognia w kominku, tem bardziej że, aby go trochę przystroić, kazałem na nim ustawić chiński wazon, który mógłby ulec destrukcji”.

Dyrektor powiadomił mnie ze smutkiem o śmierci dziekana z Cherbourg: „To był stary fryga” — rzekł (prawdopodobnie zamiast *wyga*); poczem dyrektor dał mi do zrozumienia, że koniec jego przyspieszyło życie *rozwlekle*, co znaczyło rozwiązało. „Już od jakiegoś czasu uważałem, że on po obiedzie spoczywa w objęciach Orfeusza (chciał powiedzieć: Morfeusza). W ostatnich czasach był tak zmieniony, że gdyby się nie wiedziało że to on, zaledwie można go było zdezyntryfikować (zapewne zamiast zidentyfikować)”.

Szczęśliwa kompensata: prezydent Sądu z Caen otrzymał „kokardę” komandora Legji honorowej. Nie ulega wątpliwości, że to zdolny człowiek, ale dano mu go z pewnością z powodu jego wielkiej legalności (lojalności?) Wspominano zresztą o tej dekoracji we wczorajszym „Echo de Paris”, w notatce z której dyrektor przeczytał dopiero pierwszy odstępek (zamiast ustępek). Polityka pana Caillaux wzięła tam tęgą pucówkę. „Uważam zresztą, że oni mają rację. Zanadto nas chowają pod korcem niemieckim”. Ponieważ ten rodzaj tematów, traktowany przez hotelarza, nie zajmował mnie, przestałem słuchać. Myślałem o obrazach, które mnie znów ściągnęły do Balbec. Były bardzo różne od dawniejszych; wizja, jakiej szukałem obecnie, była równie promienna jak pierwsza była chmurna; i też miała mnie zawieść. Obrazy wybrane siłą wspomnień są tak samo dowolne, ciasne i nieuchwytnie jak te, które stworzyła wyobraźnia a zniweczyła rzeczywistość. Niema racji aby zewnątrz nas realne miejsce zawierało obrazy raczej pamięci niż marzenia. A potem, nowa rzeczywistość da nam może zapomnieć, nawet znienawidzić pragnienia, z których powodu podjęliśmy podróż.

Pragnienia, które kazały mi jechać do Balbec, wiązały się poczęści z tem, że państwo Verdurin (nigdy jeszcze nie skorzystałem z ich zaproszenia i z pewnością radzi ujrzeliby mnie u siebie, gdybym wpadł do nich na wieś przeprosić żem dotąd nie mógł złożyć im wizyty w Paryżu), wiedząc iż wielu wiernych spędza wakacje na tem wybrzeżu i wynajawszy z tego powodu na cały sezon jeden z zamków pana de Cambremer (La Raspeliere), zaprosili tam panią Putbus. Wieczorem, kiedym się o tem dowiedział (w Paryżu), wysłałem, jak istny warjat, naszego młodego lokajczyka, aby się wypytał, czy ta dama zabiera z sobą pannę służącą. Była jedenasta wieczór. Odźwierny długo nie otwierał i jakimś cudem nie wysłał w djably mego ambasadora, nie kazał wezwać policji, poprzestał na tem, że go przyjął bardzo źle, dostarczając mu zresztą upragnionej wiadomości. Oznajmił, że pierwsza panna służąca ma towarzyszyć pani najpierw do wód w Niemczech, potem do Biarritz, a wkońcu do pani Verdurin. Z tą chwilą uspokoiłem się, rad że mam coś „na wszelki wypadek”. Mogłem sobie oszczędzić pogoni na ulicach, gdzie, wobec spotkanych piękności, brak mi było owego listu rekomendacyjnego, jakim byłby wobec owej „Giorgione” fakt mojej bytności tegoż samego wieczora u państwa Verdurin, w towarzystwie jej pani. Zresztą, miałyby może o mnie jeszcze lepsze pojęcie, dowiadując się, że znam nietylko mieszczańskich lokatorów Raspeliere, ale jej właścicieli, a zwłaszcza Saint-Lo-up, który, nie mogąc mnie polecić na odległość pannie służącej (bo ta nie znała nazwiska Roberta), polecił mnie gorącym listem państwu de Cambremer. Myślał, że poza wszelką ich użytecznością dla mnie, pani de Cambremer młodsza, z domu Legrandin, interesowałaby mnie jako partnerka rozmowy. „To kobieta inteligentna, upewnił mnie. Nie powie ci rzeczy ostatecznych (rzeczy »ostateczne« zajęły miejsce rzeczy »boskich«; Robert odmieniał co kilka lat niektóre ze swoich ulubionych wyrażen, zachowując główne); ale to jest *ktoś*, ma osobowość, intuicję, umie znaleźć właściwe słowo. Od czasu do czasu jest denerwująca, papple głupstwa, aby »zadawać szyku« (rzecz tem komiczniejsza że niema



w świecie czegoś mniej szykownego niż Cambremerowie); nie zawsze jest *na wysokości*; ale w sumie to jeszcze jedna ze znośniejszych znajomości”.

Otrzymał rekomendację Roberta, państwo de Cambremer, bądź przez snobizm, wskazujący im tę drogę pośredniej uprzejmości dla Roberta, bądź przez wdzięczność że był pocziwy dla ich bratanka w Doncieres, a najprawdopodobniej przez dobroć i przez tradycje gościnności, natychmiast wystosowali długie listy, prosząc abym zamieszkał u nich, gdybym zaś wołał być swobodniejszy, ofiarowując się znaleźć mi mieszkanie. Kiedy Saint-Loup doniósł im, że mam zamieszkać w Grand-Hotel de Balbec, odpowiedzieli, że oczekują mojej wizyty zaraz po przybyciu, gdybym się zaś ociągał, nie omieszkają mnie odszukać sami, aby mnie zaprosić na swoje *garden-party*.

Bezwątpienia, nic nie wiązało w sposób organiczny pokojówki pani Putbus z okolicą Balbec, nie byłaby ona tam dla mnie jak owa wieśniaczka, którą, idąc samotny drogą do Méséglise, wzywałem tak często nadaremnie, całą siłą swego pragnienia.

Ale oddawna już nie starałem się wyciągać z kobiety jakby pierwiastka jej Nieznanego, które często nie wytrzymywało próby zwykłej prezentacji. Przynajmniej w Balbec, gdzie nie był oddawna — w braku potrzebnego a nie istniejącego związku między okolicą a tą kobietą — miałbym tę korzyść, że przyzwyczajenie nie zniweczyłoby tam we mnie poczucia realności, jak to było w Paryżu, gdzie bądź we własnym domu, bądź w znanym mi pokoju, rozkosz zażywana z kobietą nie mogła mi pośród rzeczy codziennych dać ani na chwilę złudzenia, że mi otwiera wstęp do nowego życia. (Bo jeżeli przyzwyczajenie jest *drugą naturą*, nie pozwala nam ono poznać *pierwszej*, której nie posiada ani okrucieństw ani czarów). Otóż miałbym może to złudzenie w nowej miejscowości, gdzie odradza się wrażliwość wobec promienia słońca i gdzie mojej ekstazy dopełniłaby pokojówka której pragnąłem; ale okaże się, iż, zbiegiem okoliczności, owa kobieta nietylko nie przyjechała do Balbec, ale że przybycie jej byłoby mi w najwyższym stopniu niepożądane; tak iż tego głównego celu swojej podróży nie osiągnąłem, ani nawet nie próbowałem osiągnąć. Zapewne, pani Putbus nie miała tak rychło w ciągu sezonu przyjechać do Verdurinów; ale takie upragnione przyjemności mogą być dalekie, byleby ich nadejście było pewne, i byleby w ich oczekiwaniu można było do tego czasu abdykować z zalotności, oddać się leniwie niezdolności kochania. Zresztą, nie wybrałem się do Balbec w intencji również praktycznej jak za pierwszym razem; zawsze jest mniej egoizmu w czystej wyobraźni niż we wspomnieniu; a wiedziałem, że się znajdę w miejscu, gdzie się roi od pięknych nieznanomych których plaża nastęcza nie mniej od sali balowej. Zgóry myślałem o spacerach przed hotelem, na didze, z tym samym odcieniem przyjemności, jakiegoby mi dostarczyła pani de Guermantes, gdyby, zamiast mi wyrabiać zaproszenia na świetne obiady, częściej podsuwała moje nazwisko w domach, gdzie się tańczyło. Zawierać kobiecie znajomości w Balbec byłoby mi teraz również łatwo, jak było mi trudno niegdyś, bo miałem teraz tyleż stosunków i punktów oparcia ile ich byłem pozbawiony za pierwszym razem.

Wyrwał mnie z mojego marzenia głos dyrektora, którego rozważań politycznych nie słuchałem. Zmieniając temat, wyraził mi radość prezydenta Sądu na wieść o moim przybyciu; i że sam prezydent przyjdzie mnie odwiedzić jeszcze tego wieczora. Myśl o tej wizycie przestraszyła mnie tak bardzo (bo zaczynałem się czuć zmęczony), że prosiłem dyrektora aby temu zapobiegł (co mi przyrzekł) i aby, dla większej pewności, tego pierwszego wieczora postawił na moim piętrze na warcie swój personel. Nie wydawało się, aby go kochał zbyt. „Cały dzień muszę uganiać za nimi, bo im brakuje inercji. Gdyby mnie tu nie było, nie ruszyliby się z miejsca. Postawię lift-boya na pieczy u pańskich wrót”. Spytałem, czy ów boy został wreszcie „starszym strzelcem”. „Jeszcze nie jest dość przedawniony w hotelu — odparł dyrektor. Są inni starsi od niego. Byłby krzyk. W każdej rzeczy trzeba grandacji. Uznaję, że on ma dobrą reprezentację w swojej windzie. Ale jest jeszcze trochę za młody na takie pozycje. Z innymi, którzy są starsi, toby był kontrakt. Trochę mu brak powagi, co jest prymitywną zaletą. (Chciał powiedzieć zasadniczą, najważniejszą). Trzeba, żeby miał trochę oleju w nogach (chciał powiedzieć w głowie). Zresztą, niech się tylko zda na mnie. Ja się znam na tem. Zanim zdobyłem ostrogi jako dyrektor Grand-Hotelu, skrzyżowałem pierwszy raz szpadę u pana Paillard”. To porównanie wzruszyło mnie; podziękowałem dyrektorowi, że przybył sam aż do Pont à Coulevre. „Och, nie ma za co. To mi zajęło czas minimalny” (zamiast minimalny). Zresztą, już się przybyli.

Wstrząs w całej mojej istocie. Pierwszej nocy, odczuwając chwilową niedomogę serca i starając się opanować swój stan, schyliłem się pomału i ostrożnie aby zdjąć trzewiki. Ale ledwiem dotknął pierwszego guzika, pierś moja wzdęła się, wypełniona jakąś nieznaną i boską obecnością; łkania wstrząsały mną, łzy popłynęły mi z oczu. Istotę, która przybywała mi na pomoc, która mnie ratowała od oschłości duszy, była ta, która, na wiele lat wprzód, w identycznej chwili samotności i rozpacz, w chwili gdy nie miał już nic z siebie, weszła i wróciła mnie samemu sobie, bo ona była mną i więcej niż mną (*zawierające*, które jest czemś więcej niż *zawarte*). Ujrzałem nagle w pamięci, ujrzałem pochyloną nad moim zmęczeniem, tkliwą, stroskaną i zawiedzioną twarz babki, takiej jaką była owego pierwszego wieczora po naszym przybyciu; twarz babki nie tej, której, ku memu zdziwieniu i zgryzocie, żalowałem tak mało i która miała tylko jej imię, ale babki prawdziwej, której żywą realność odnajdywałem w mimowolnym i pełnym przypomnieniu, pierwszy raz od czasu Pól Elizejskich, gdzie dostała ataku. Ta realność nie istnieje dla nas, dopóki nie została odtworzona naszą myślą (inaczej ludzie, którzy brali udział w olbrzymiej bitwie, byłiby wszyscy wielkimi poetami epicznymi); tak więc, w szalonej żądzy rzucenia się jej w ramiona, dopiero w tej chwili, więcej niż w rok po jej pogrzebie, naskutek tego anachronizmu, który tak często nie pozwala kalendarzowi faktów schodzić się z kalendarzem uczuć — dowiedziałem się, że ona umarła. Często mówiłem o niej od tego czasu, a także myślałem o niej, ale pod temi słowami i myślami niewdzięcznego, samolubnego i okrutnego młodego człowieka, nie było nigdy nic, coby było podobne do babki, ponieważ w swojej lekkomyślności i w swojej żądzy zabaw, oswojony z jej chorobą, zachowałem jedynie w stanie potencjalnym wspomnienie tego czem ona była. Nasza całkowita dusza — w jakimś momencie byśmy ją zważali — posiada wartość niemal urojoną, mimo obfitego bilansu jej bogactw, bo to jedno to drugie z nich nie są płynne, czy chodzi zresztą o bogactwa rzeczywiste czy o bogactwa wyobraźni; dla mnie na przykład, tak samo bogactwa dawnego nazwiska Guermantes, jak o ileż poważniejsze bogactwa prawdziwego wspomnienia babki. Bo z zaćmieniami pamięci kojarzą się odplywy serca. Zapewne istnienie ciała, podobnego dla nas do naczynia, któreby zawierało naszą duchowość, nasuwa przypuszczenie, że wszystkie wewnętrzne dobra, minione radości, wszystkie bóle są ustawicznie w naszym posiadaniu. Może równie nieścisle jest wierzyć, że one się nam wymykają lub wracają. W każdym razie, jeżeli zostają w nas, to po największej części w nieznannej dziedzinie, gdzie się nam nie zdadzą na nic i gdzie nawet najpotrzebniejsze zepchnięte są przez wspomnienia innej kategorii, wykluczając w świadomości wszelką z niemi równoczesność. Ale jeżeli odnajdziemy ramę wrażeń, w której są przechowane, one znowuż mają moc wypędzenia wszystkiego, co się nie godzi z niemi, pomieszczenia w nas wyłącznie owego ja, które je przeżyło. Otóż, ponieważ to *ja*, którym się nagle stałem znowu, nie istniało od owego odległego wieczoru, kiedy mnie babka rozebrała po przybyciu do Balbec, tedy zupełnie naturalnie, nie po obecnym dniu którego to *ja* nie znało, ale — tak jakby istniały rozmaite i równoległe serje czasu — bez przerwy w ciągłości zaraz po owym dawnym pierwszym wieczorze stopiłem się z minutą, w której babka pochyliła się ku mnie. *Ja*, którym byłem wówczas i które znikło na tak długo, było znów tak blisko mnie, że mi się jeszcze zdawało iż słyszę poprzedzające bezpośrednio ów akt słowa, które przecież były już tylko snem; jak człowiek źle rozbudzony myśli, że słyszy tuż obok siebie odgłosy swego snu, który ucieka. Byłem już tylko tą istotą, która pragnęła się schronić w ramiona babki, wymazać ślady jej trosk obsypując ją pocałunkami; istotą, którą wyobrazić sobie wówczas kiedym był tą lub ową z osób przesuwających się we mnie od jakiegoś czasu, sprawiłoby mi tyleż trudności, ile teraz trzebaby mi wysiłków, jałowych zresztą, aby odczuć pragnienia i radości jednego z owych *ja*, którymi, na jakiś czas przynajmniej, już nie byłem. Przypomniałem sobie, jak — na godzinę przed chwilą gdy babka schyliła się tak w szlafroku ku moim trzewikom błędząc w ulicy dusznej od gorąca, przed cukiernią, myślałem, że nigdy, w mojej namiętnej potrzebie uściskania jej, nie zdołam doczekać godziny, którą mi trzeba jeszcze było spędzić bez niej. A teraz, kiedy ta sama potrzeba odradzała się, wiedziałem że mogłem czekać godziny po godzinach, że nigdy nie będzie jej już przy mnie, i dopiero odkrywałem ją, ponieważ, czując ją pierwszy raz, żywą, prawdziwą, rozsadzającą moje serce tak iż zdawało się że pęknie, odnajdując ją wreszcie, dowiedziałem się oto, że ją stracił na zawsze. Stracił na zawsze; nie mogłem zrozumieć tej sprzeczności i ćwiczyłem się w znoszeniu jej bólu: z jednej strony istnienie,

czułość, żyjące we mnie takie jak je znałem, to znaczy stworzone dla mnie; miłość, w której wszystko tak bardzo znajdowało we mnie swoje dopełnienie, swój cel, swoją busolę, że geniusz wielkich ludzi, wszystkie genjusze istniejące od początku świata nie byłyby warte w oczach babki jednej z moich wad; a z drugiej strony, skoro tylko przeżyłem na nowo, niby rzecz obecną, to szczęście, czuć je przeszyte pewnością — tryskającą jak potwarzający się fizyczny ból — pewnością nicości, która zatarła mój obraz w tym sercu, zniszczyła to istnienie, zniszczyła wstecz nasze wzajemne przeznaczenie, zrobiła z babki, w chwili gdy ją odnajdywałem niby w lustrze, poprostu obcą kobietę, której przypadek kazał spędzić kilka lat obok mnie, tak jakby mogła je spędzić obok każdego innego, ale dla której, przedtem i potem, byłem niczem i miałem być niczem.

Zamiast przyjemności zażywanych od jakiegoś czasu, jedyną którą byłoby mi możliwe odczuć w tej chwili, byłoby, poprawiając przeszłość, zmniejszyć cierpienia, jakich babka doznawała niegdyś. Otóż, przypominałem ją sobie nie tylko w tym szlafroku, stroju dostosowanym tak, że stawał się niemal ich symbolem, do utrudzeń, niezdrowych z pewnością, ale i słodkich, jakie ponosiła dla mnie; stopniowo oto przypominałem sobie wszystkie okazje, których nie przepuściłem, okazując jej swoje cierpienia, przesadzając je nieraz, sprawiając jej przykrości, które później — tak sobie wyobrażałem — zacierałem pocałunkami, jakgdyby czułość moja równie była zdolna uczynić ją szczęśliwą jak moje szczęście! I gorzej jeszcze: ja, który obecnie widziałem całe szczęście jedynie w tem, aby je móc odnaleźć rozlane w swoim wspomnieniu na płaszczyznach tej twarzy wyrzeźbionej czułością, wkładałem niegdyś obłądny szal w to aby się starać z niej wyrwać nawet najdrobniejsze przyjemności, na przykład w dniu gdy Saint-Loup fotografował babkę, kiedy, zaledwie zdolny ukryć jak mnie śmiechy jej dziecinna kokieterja — pozowanie w kapeluszu z wielkim rondem w twarzowym półświecie — pozwoliłem sobie mruknąć parę zniecierpliwionych i dotkliwych słów. I te słowa — czułem to po skurczu twarzy — osiągnęły swój cel, zraniły ją; i teraz mnie rozdzierały te słowa, teraz kiedy na zawsze stało się niepodobieństwem pocieszyć ją tysiącem pocałunków!

Ale nigdy nie zdołałbym już wymazać tego skurczu jej twarzy, ani tego cierpienia z jej serca, lub raczej z mojego; skoro bowiem umarli istnieją już tylko w nas, siebie samych uderzamy bez wytchnienia, kiedy się silimy przypominać sobie ciosy, któreśmy im zadali. Tych cierpień, bodaj najokrutniejszych, czepiałem się ze wszystkich sił, bo czułem, że one są skutkiem wspomnienia babki, dowodem że to wspomnienie żyje we mnie istotnie. Czułem że już ją sobie naprawdę przypominam jedynie przez bolesć, i byłbym pragnął, aby te gwoździe, które przybijały we mnie jej pamięć, utkwily jeszcze mocniej. Nie starałem się złagodzić ani upiększyć cierpienia, udawać że babka jest tylko nieobecna i chwilowo niewidzialna, zwracając do jej fotografii (tej, którą zrobił Saint-Loup i którą miałem z sobą) słowa i modlitwy, jak do istoty rozłączonej z nami, która jednak, zachowawszy swą osobowość, zna nas i jest z nami związana nierozzerwalną harmonją. Nigdy tego nie uczyniłem, bo zależało mi nie tylko na tem aby cierpieć, ale aby szanować odrębność swego cierpienia, takiego jak je odczułem nagle i niechcący; i chciałem nadal je czuć, posłuszny jego własnemu prawom, ilekroć wracała ta tak dziwna sprzeczność krzyżujących się we mnie trwania i nicości. Wiedziałem zapewne nie to, czy z bolesnego a obecnie niezrozumiałego wrażenia wydobydę kiedyś trochę prawdy, ale wiedziałem że jeżeli tę trochę prawdy zdołam kiedy wydobyć, to jedynie z niego, z tego tak osobliwego, samorzutnego wrażenia, którego ani nie wykreśliła moja inteligencja, ani nie złagodziła małoduszność, ale którego podwójną i tajemniczą bruzdę wyżłobiła we mnie jak piorun, nadprzyrodzoną i nieludzką linią, sama śmierć, nagle objawienie śmierci. (Co się tyczy zapomnienia babki, w jakim żyłem dotąd, nie mogłem nawet myśleć o uczepieniu się go poto aby zeń wydobyć prawdę, skoro było ono jedynie negacją, omdleniem myśli nie zdolnem odtworzyć realnego momentu życia i zmuszonem zastąpić go konwencjonalnymi i obojętnymi obrazami.) Może jednak instynkt samozachowawczy, przemyślność inteligencji w tem aby nas chronić od bólu, zaczynały już, budując na dymiących jeszcze zgłiszczach, kłaść pierwsze podstawy swego użytecznego i złowrogiego dzieła; dzięki czemu zbytnio może kosztowałem słodczy przypomniania sobie jakichś myśli drogiej mi istoty, przypomniania ich sobie tak jakby je mogła jeszcze wyrażać, jakgdyby ona istniała, jakgdybym ja wciąż jeszcze istniał dla niej. Ale, z chwilą gdy zdołał zasnąć, w tej prawdopodobniejszej godzinie, gdy oczy moje zamknęły się dla zewnętrznych zjawisk, świat snu (na którego

progu inteligencja i wola, chwilowo porażone, nie mogły mnie już wydzierać okrucieństwu moich prawdziwych wrażeń) odbił, załamał, w ograniczonej i obecnie przeźroczyście głębi tajemniczo oświetlonych trzewi, bolesną syntezę trwania i nicości. Świat snu, gdzie nasza podświadomość, zależna od zaburzeń organów, przyspiesza rytm serca lub oddechu, ponieważ ta sama doza przestrachu, smutku, wyrzutu, wstrzyknięta tak w nasze żyły, staje się stokroć silniejsza; z chwilą gdy, aby przebiec arterje podziemnego miasta, płyniemy na czarnej fali własnej krwi jak po wewnętrznej Lecie o sześciokrotnych skrętach, zjawiają się nam wielkie uroczyste postacie, nawiedzają nas i opuszczają, zostawiając nas we łzach.

Napróżno szukałem twarzy babki z chwilą gdy wylądowałem pod ciemnym sklepieniem; wiedziałem przecie że ona jeszcze istnieje, ale życiem zwątlonem, bładem jak życie wspomnienia; ciemność rosła, i wiatr także; ojciec, który miał mnie zaprowadzić do niej, nie przybywał. Naraz zbrakło mi oddechu, uczułem serce jakby stwardniałe, tknęło mnie, żem od wielu tygodni zapomniał napisać do babki. Co ona musi myśleć o mnie? „Mój Boże, powiadałem sobie, jaka ona musi być nieszczęśliwa w pokoiku wynajętym dla niej, tak małym jak izdebka służącej, gdzie jest sama z pielęgniarką, nie mogąc się ruszyć, bo jest wciąż trochę sparaliżowana i nie chciała ani razu wstać. Musi myśleć, że zapominam o niej od czasu gdy umarła; jak ona musi się czuć sama i opuszczona! Och, muszę pobiec ją zobaczyć, nie mogę czekać ani minuty, nie mogę czekać aż ojciec przyjdzie; ale gdzie to jest, jak ja mogłem zapomnieć adresu; byle mnie jeszcze poznała! W jaki sposób mogłem zapomnieć o niej całe miesiące? Ciemno jest, nie znajdę, wiatr przeszkadza mi iść; ale oto ojciec spaceruje przedemną, krzyczę doń: „Gdzie jest babka, powiedz mi adres. Czy się ma dobrze? Czy to pewne, że jej na niczem nie zbywa? — Ależ nie, odrzekł ojciec, możesz być spokojny. Pielęgniarka to osoba pewna. Posyłamy od czasu do czasu małą sumkę, aby jej kupiono to trochę czego jej trzeba. Pyta czasem co się z tobą dzieje. Powiadano jej nawet, że masz pisać książkę. Zdaje się, że ją to ucieszyło. Otarła łzę”. Wówczas przypomniałem sobie (tak mi się zdawało), że w krótki czas po swojej śmierci, babka powiedziała mi szlochając z pokorną miną, jak stara służąca wypędzona, jak obca: „Pozwolisz mi jednak widywać się od czasu do czasu, nie zostaw mnie zbyt wiele lat bez swoich odwiedzin. Pomyśl, żeś ty był moim wnukiem i że babcie nie zapominają”. Widząc znów tę jej twarz tak pokorną, tak nieszczęśliwą, tak słodką, chciałem biec natychmiast i powiedzieć to, com był powinien odrzec wówczas: „Ależ babciu, będziesz mnie widziała ile zechcesz, mam tylko ciebie na świecie, nie opuszczę cię już nigdy.” Ileż łez musiało ją kosztować moje milczenie, od tylu miesięcy przez które nie byłem tam gdzie ona leży; co ona musiała sobie mówić? I szlochając również, rzekłem do ojca: „Prędko, prędko, jej adres, zaprowadź mnie.” Ale ojciec odparł: „Słuchaj... ja nie wiem, czy ty będziesz mógł ją widzieć. A przytem, wiesz, ona jest bardzo słaba, bardzo słaba, to nie jest już ona, boję się że toby ci było raczej przykre. I nie przypominam sobie dokładnego numeru alei. — Ale powiedz mi, ty który wiesz; to nieprawda, że umarli już nie żyją? To z pewnością nieprawda, mimo wszystko co mówią, skoro babka jeszcze istnieje”. Ojciec uśmiechnął się smutno: „Och, bardzo mało, wiesz, bardzo mało. Sądzę, iż lepiej będzie, żebyś tam nie szedł. Nie brakuje jej nic. Wszystko zarządzono. — Ale jest często sama? — Tak, ale to lepiej dla niej. Lepiej żeby nie myślała, toby jej mogło zrobić tylko przykrość. Często przykro jest myśleć. Zresztą wiesz, ona jest bardzo wyczerpana. Zostawię ci ściśle wskazówki, abyś mógł do niej iść, ale nie widzę co byś ty tam mógł zrobić i nie sądzę aby cię pielęgniarka puściła. — Wiesz przecie, że ja będę zawsze żył przy niej, jelenie, jelenie, Francis Jammes, widelec”. Ale już przebyłem z powrotem rzekę o mrocznych skrętach, wypłynąłem na powierzchnię gdzie się otwiera świat żywych, toteż jeżeli powtarzałem jeszcze „Francis Jammes, jelenie, jelenie”, dalszy ciąg tych słów nie przedstawiał dla mnie jasnego sensu i logiki, którem znajdował w nich tak naturalnie jeszcze przed chwilą, a których nie mogłem już sobie przypomnieć. Nie rozumiałem już nawet czemu słowo „Ajax”, które wyrzekł przed chwilą ojciec, znaczyło zaraz potem, bez najmniejszej wątpliwości: „Uważaj, żebyś się nie zaziębił”. Zapomniałem zamknąć okienice i z pewnością jasny dzień mnie obudził. Ale nie mogłem znieść tego żem miał przed oczami te fale, na które babka mogła niegdyś patrzeć całe godziny; nowy obraz ich obojętnej piękności dopełniał się natychmiast myślą że ona ich nie widzi; byłbym chciał

zatkąć uszy na ich szum, bo teraz promienna pełnia plaży drążyła pustkę w moim sercu; wszystko mówiło mi: „Nie widzieliśmy jej”, jak owe aleje i trawniki publicznego ogrodu, gdzie ją raz niegdyś zgubiłem, kiedy byłem całkiem mały; pod kopułą bladego i boskiego nieba dławilem się niby pod olbrzymim sinym kloszem, zamykającym horyzont, gdzie babki nie było. Aby już nic nie widzieć, obróciłem się do ściany, ale niestety, nawprost siebie miałem owo przepierzenie, które służyło nam niegdyś za rannego posła, tę ściankę oddającą posłusznie jak skrzypce wszystkie odcienie uczucia, wiernie opowiadającą babce moją obawę obudzenia jej i — jeżeli się już obudziła — obawę że mnie nie słyszała i że się nie śmie poruszyć; i natychmiast potem, niby odzew drugiego instrumentu, oznajmiającą mi jej przybycie i wróżącą spokój. Nie śmiałem się zbliżyć do tej ściany, bardziej niż do fortepianu, na którymby babka grała i który drgałby jeszcze od jej dotknięcia. Wiedziałem, że mógłbym pukać teraz, nawet silniej, że nic nie mogłoby jej już obudzić, że nie usłyszałbym żadnej odpowiedzi, że babka jużby nie przyszła. I nie prosiłem o nic więcej Boga, jeżeli istnieje niebo, jak o to, aby móc zapukać trzy razy w tę ścianę trzema lekkimi uderzeniami, które babka poznałaby wśród tysiąca i na które odpowiedziałyby również trzema, mówiącami: „Nie niepokój się, mała myszko, rozumiem że się niecierpliwisz, ale ja przyjdę”, i żebym mógł tam z nią zostać całą wieczność, która nie byłaby zbyt długa dla nas dwojga.

Dyrektor przyszedł spytać, czy nie zechcę zejść. Na wszelki wypadek, czuwał nad moją „lokata” w jadalnej sali. Nie widząc mnie, zląkł się, czym nie miał ataku dawnych duszności. Miał nadzieję, że to jest tylko mała „angina gardła” i upewnił mnie, iż słyszał, że ustępuje od tego co on nazywał „kaliptus”.

Oddał mi list od Albertyny. Nie miała przyjechać tego roku do Balbec, ale zmieniawszy projekty, jest od trzech dni nie w samym Balbec, lecz w sąsiedniej miejscowości, o dziesięć minut tramwajem. Bojąc się, że jestem zmęczony podróżą, nie zjawiała się pierwszego wieczora, ale pyta kiedy ją będę mógł przyjąć. Wypytałem się, czy zachodziła sama; nie poto aby ją zobaczyć, ale aby się urządzić tak żeby jej nie widzieć. „Ależ bezwzględnie, odpowiedział dyrektor. Pani chciała móc pana widzieć jaknajprędzej, chyba że pan ma jakieś racje absolutnie negacyjne. Widzi pan (zakończył dyrektor), że wszyscy tutaj pragną pana, definitywnie”. Ale ja nie chciałem widzieć nikogo.

A jednak, poprzedniego dnia, tuż po przybyciu, czułem że mną owłada leniwy czar życia kąpielowego. Ten sam „lift”, milczący tym razem z szacunku nie ze wzgardy, czerwony z radości, wprawił w ruch windę. Wznosząc się wzdłuż pionowego słupa, przebyłem znów to, co było niegdyś dla mnie tajemnicą nieznanego hotelu, gdzie, kiedy się przybywa jako turysta bez protekcji i znaczenia, każdy gość wracający do swego pokoju, każda panienska schodząca na obiad, każda pokojówka mijająca te dziwacznie kręte korytarze, i młoda Amerykanka schodząca na obiad z damą do towarzystwa, obrzucają cię spojrzaniem, w którym nie wyczytasz nic z tego czegośbyś pragnął. Tym razem, przeciwnie, odczuwałem leniwą przyjemność jechania windą w hotelu znanym, gdzie się czułem u siebie, gdzie dokonałem jeden raz więcej owej wciąż na nowo koniecznej operacji, dłuższej i trudniejszej niż wywrócenie powieki, a polegającej na tem, aby dać przedmiotom duszę nam bliską, w miejsce ich własnej duszy, która nas przerażała. Czyż miałbym teraz — powiadałem sobie, nie podejrzewając nagłej odmiany duszy, która mnie czekała — tulać się wciąż po nowych hotelach, gdzie bym jadł obiad pierwszy raz, gdzie przyzwyczajenie nie zabiłoby jeszcze na każdym piętrze, przed każdymi drzwiami, straszliwego smoka czuwającego nad zaczarowaniem istnieniem; gdzie musiałbym się zbliżać do owych nieznanych kobiet, skupiających się w palace-hotelach, kasynach, na plażach, i żyjących społeczeństwem rozległych kolonji polipów.

Znajdowałem przyjemność nawet w tem, że nudnemu prezydentowi sądu tak pilno było mnie oglądać; wiedziałem od pierwszego dnia łańcuchy modrych gór morza, jego lodowce i kaskady, jego wspaniałość i niedbały majestat — już przy myciu rąk, od samego wdechania — pierwszy raz od tak dawna — specjalnego zapachu zbyt perfumowanych mydeł Grand-Hotelu: zapach ten, należący równocześnie do chwili obecnej i do poprzedniego pobytu, bujał między niemi niby rzeczywisty czar swoistego życia, w którym wraca się do domu jedynie poto aby zmienić krawat. Prześcieradła na łóżku, za cienie, za lekkie, za szerokie, niepodobne do podwinięcia i do utrzymania, wzdymające się dokoła kołder w ruchomych zwojach, zasmuciłyby mnie niegdyś. Kołysały jedynie, na niewygod-

nej i wzdętej krągłości swoich żagli, wspaniałe i pełne nadziei słońce pierwszego ranka. Ale ów ranek nie miał czasu się zjawić. Okrutna i boska obecność zmartwychwstała tej nocy.

Prosiłem dyrektora, żeby odszedł i zabronił komukolwiek wchodzić. Powiedziałem mu, że zostanę w łóżku, odrzucając równocześnie jego propozycję posłania do apteki po znakomity środek. Uszczęśliwiony był z mojej odmowy, bo bał się, aby goście nie odczuli przykro zapachu „kaliptusa”. Zjednało mi to jego komplement:

„Bardzo ma pan racjonalny punkt wytyczny” (zamiast punkt widzenia), oraz to zalecenie: „niech pan uważa, żeby się pan nie powalał o drzwi, bo poleciłem zamki rozpuścić oliwą, a gdyby funkcjonariusz pozwolił sobie zapukać do pana, dostanie smarowanie (zapewne wcieranie). I niech się pilnują, bo ja nie lubię powtórności (zapewne powtarzania dwa razy tego samego). Ale czy pan nie życzy sobie, żebym panu kazał podać trochę starego wina którego mam na dole antolek? Nie przyniosę go panu na srebrnej tacy jak głowy Jonatana i uprzedzam pana, że to nie jest Château-Laffite, ale coś mniej więcej alogicznego (chciał powiedzieć analogicznego). A możeby panu usmażyć małą solę, coś lekkiego?”

Odmówiłem wszystkiego, ale uderzyło mnie, że dyrektor — człowiek który tyle się musiał napodawać tej ryby! — wymawia jej nazwę (*la sole*) jak *saule*, wierzba.

Mimo obietnic dyrektora, przyniesiono mi nieco później zagięty bilet wizytowy margrabiny de Cambremer. Przybywszy aby mnie odwiedzić, stara dama kazała spytać czy jestem w domu, a kiedy się dowiedziała żem przyjechał dopiero wczoraj i że jestem cierpiący, nie należała. Zatrzymawszy się z pewnością przed apteką lub przed sklepikiem, dokąd lokaj, zeskakując z kozła, wchodził, płacił jakiś rachunek lub czynił zakupy, margrabina odjechała do Féterne w swojej starej landarze zaprzężonej w parę koni. Dość często zresztą słyszano jej turkot i podziwiano ten ceremonjał na uliczkach Balbec oraz w paru innych nadbrzeżnych miejscowościach między Balbec a Féterne. Nie aby postoje przed sklepami były celem owych wypraw. Celem był jakiś podwieczorek, garden-party w sąsiednim dworze lub mieszczańskim domu — bardzo niegodnych margrabiny. Ale ta, mimo że nieskończenie przerastając urodzeniem i majątkiem miejscową drobną szlachtę, tak bardzo, w swojej doskonałej dobroci i prostocie, obawiała się sprawić komuś zawód, że spieszyła na najmizerniejsze zebranie w okolicy. Z pewnością, zamiast robić tyle drogi, poto aby słuchać w dusznym saloniku śpiewaczki przeważnie bez talentu, którą, jako wielka dama i renomowana artystka, musiała przesadnie komplementować, margrabina wolałaby przejechać się poprostu na spacer lub siedzieć w Féterne w swoim cudownym ogrodzie, u którego stóp zamierała wśród kwiatów senna fala zatoki. Ale wiedziała, że pan domu — ziemianin czy obywatel z Maineville-la-Teinturière lub z Chattoncourt-l'Orgueilleux zapowiedział gościom jej obecność. Otóż, gdyby pani de Cambremer wyjechała tego dnia na spacer nie pokazując się na tej fecie, groziło to że któryś z gości przybyły z jednej z nadmorskich plaż mógł usłyszeć i zobaczyć powóz margrabiny, co by jej odjęło wymówkę, że musiała tego dnia zostać w domu. Wprawdzie gospodarze domu widywali często panią de Cambremer na koncertach u ludzi, nie będących (ich zdaniem) właściwym dla niej towarzystwem; ale nieznaczna wynikała stąd w ich oczach obniżka sytuacji nazbyt łaskawej margrabiny, znikająca natychmiast, kiedy chodziło o nich samych. Gorączkowo zadawali sobie pytanie, czy dama ta zjawi się na ich „podwieczorku”. Co za ulga w odczuwanym od kilku dni niepokoju, jeżeli, po pierwszym kawałku odśpiewanym przez pannę domu lub przez jakiegoś letnika-amatora, któryś gość oznajmił (niechybny znak, że margrabina przybędzie!), że widział konie sławnego powozu, stojące przed zegarmistrzem lub przed drogerją. Wówczas, pani de Cambremer (która w istocie nie omieszkała się zjawić w towarzystwie synowej oraz gości bawiących u niej w tej chwili, poprosiwszy wprzód dla nich o zaproszenie, udzielone z jakąż radością!) odzyskiwała cały swój blask w oczach gospodarstwa, dla których nagroda jej spodziewanego przybycia była może ostateczną a tajemną przyczyną decyzji, jaką powzięli przed miesiącem, aby podjąć kłopoty i koszty tego zebrania. Widząc margrabinę na swoim podwieczorku, przypominali sobie już nie łaskawość, z jaką bywała również u mniej godnych sąsiadów, ale dawność jej rodu, wspaniałość zamku, pychę jej synowej, z domu Legrandin, która swoją arogancją uwydatniała mdlą nieco dobroduszną teściową. Już mieli uczucie, że w „kronice światowej” „Gaulois” czytają notatkę, którą, zamknawszy wszystkie drzwi

na klucz, sami wysmażą w rodzinie, o „zakątku Bretanii kipiącym zabawą, o *ultra select* podwieczorku, po którym zachwyceni goście, zanim opuścili gościnne progi, uprosili miłych gospodarstwa o rychłe *bis*”. Codziennie oczekiwali gazety, niespokojni że jeszcze w niej nie widzą swego podwieczorku i że posiadali może panią de Cambremer jedynie dla swoich gości, a nie dla rzeszy czytelników. Wreszcie nadchodził błogosławiony dzień: „Obecny sezon w Balbec jest wyjątkowo świetny. Jest moda na prośzone popołudniowe koncerty etc.” Bogu dzięki, nazwisko pani de Cambremer wolne było od błędów ortograficznych i „wymienione wśród innych” ale na pierwszym miejscu. Poczem wyrzekali na niedyskrecję dzienników, zdolną spowodować pretensje osób, których nie można było zaprosić, oraz pytali się obłudnie przy pani de Cambremer, kto mógł mieć tę perfidję, aby posłać to „echo”, o którym margrabina, życzliwym tonem wielkiej damy, mówiła: „Rozumiem, że to państwa drażni, ale co do mnie, mogę być jedynie szczęśliwa, że się dowiedziano o mojej obecności u drogich państwa”.

Na bilecie, który mi wręczono, pani de Cambremer skreśliła wiadomość że wyprawia „podwieczorek” pojutrze. I z pewnością jeszcze dwa dni temu, mimo iż byłem dość zmęczony życiem światowem, byłoby dla mnie prawdziwą przyjemnością kosztować go dla odmiany w tych ogrodach, gdzie, dzięki położeniu Féterne, rosły na wolności figi, palmy, krzaki róż, aż do samego morza, nieraz śródziemnomorsko spokojnego i błękitnego, po którym mały jacht właścicieli wędrował przed rozpoczęciem się fety, aby z drugiej strony zatoki zbierać po plażach znaczniejszych gości. Kiedy wszyscy już przybyli, jacht, chroniąc ich aksamitnymi zasłonami od słońca, służył za salę jadalną, wieczorem zaś odwoził z powrotem tych których przywiózł. Był to zbytek uroczy, ale tak kosztowny, że po części dlatego aby mu sprostac, pani de Cambremer starała się na rozmaity sposób pomnożyć dochody, między innymi wynajmując — pierwszy raz — jedną ze swoich posiadłości, bardzo odmienną od Féterne: la Raspelière.

Tak, dwa dni wcześniej, taki poranek gromadzący nieznaną mi prowincjonalną szlachtę, w nowej ramie, jakimż byłby dla mnie urozmaiceniem po „wielkim świecie” paryskim. Ale teraz, przyjemności nie miały już dla mnie żadnego sensu. Napisałem tedy do pani de Cambremer z przeproszeniem, podobnie jak godzinę wprzód kazałem odprawić Albertynę: zgrzyzota zniweczyła we mnie tak kompletnie możność pragnienia czegoś, jak silna gorączka odbiera apetyt...

Matka miała przybyć nazajutrz. Zdawało mi się, że mniej jestem niegodny żyć obok niej, że rozumiałbym ją lepiej teraz, kiedy wszelkie obce i małe życie ustąpiło miejsca przypływowi rozdzierających wspomnień, które opasywały i uszlachetniały moją i jej duszę swoją cierniową koroną. Tak sądziłem; ale w rzeczywistości, od prawdziwych zgrzyzot, jak zgrzyzota mamy, które odbierają człowiekowi dosłownie życie na długi czas, czasami na zawsze, z chwilą gdy się straciło ukochaną istotę, daleko jest do owych zmartwień mimo wszystko przejściowych, jak miało być moje, zmartwień które odchodzą szybko jak przyszły późno, których doznaje się aż w długi czas po wypadku, bo trzeba je było zrozumieć aby je odczuć; zmartwień, których tylu ludzi doznaje, a od których to co mnie dręczyło obecnie, różniło się jedynie ową tonacją mimowolnego wspomnienia.

Co się tyczy zgrzyzoty równie głębokiej jak matczyna, miałem ją poznać kiedyś — okaże się to w dalszym ciągu opowiadania — ale nie teraz, ani nie tak jak sobie wyobrażałem. Mimo to, jak aktor, który powinien znać swoją rolę i być od dawna na swoim miejscu, ale który przybył dopiero w ostatniej sekundzie i przeczytał ledwie raz swój tekst, umie, kiedy przyszedł moment jego „kwestji”, udawać natyle zręcznie aby nikt nie spostrzegł jego spóźnienia, moje całkiem świeże zmartwienie pozwoliło mi — kiedy matka przybyła — mówić do niej tak, jakgdybym zawsze je odczuwał. Myślała poprostu, że obudził je widok miejsc, oglądanych niegdyś z babką (a to przecież nie było to). Pierwszy raz wówczas — i dlatego że czułem ból, który był niczem w porównaniu z jej boleścią, ale który mi otwierał oczy — uświadomiłem sobie z przerażeniem, co ona mogła cierpieć. Pierwszy raz zrozumiałem, że to martwe spojrzenie bez łez (co sprawiało, że Franciszka niezbyt współczuła z mamą) właściwe jej od śmierci babki, zatrzymało się na tej niepojętej sprzeczności wspomnienia i nicości. Pozatem, kiedy ją ujrzałem, zawsze w krepach, ale strojnieszą w tem nowem miejscu, bardziej uderzyło mnie zaszłe w niej przeobrażenie. Nie dość powiedzieć, że straciła wszelką wesołość; stopiona, stężała w jakiś błagalny obraz, robiła wrażenie jakby się bała żywszym ruchem lub głosem urazić

bolesną obecność, nie opuszczając jej ani na chwilę. Ale zwłaszcza z chwilą gdy ją ujrzałem wchodzącą w krepach, spostrzegłem — co uszło mojej uwagi w Paryżu — że to już nie matkę miałem przed sobą, ale babkę. Jak w królewskich i książęcych rodzinach, ze śmiercią naczelnika rodu syn przybiera jego tytuł i z księcia Orleanu, księcia Tarentu lub księcia des Laumes staje się królem Francji, diukiem de la Trémoille, diukiem de Guermandes, tak często, w drodze innego rodzaju intronizacji, pochodzącej z głębszego źródła, umarły chwytą żywego, który staje się podobnym doń następcą, dalszym ciągiem jego przerwanego życia. Może wielkie zmartwienie, towarzyszące, u córki takiej jak mama, śmierci matki, wcześniej tylko kruszy powłokę poczwardki, przyspiesza metamorfozę, która bez tego przesilenia, mijającego etapy i przeskakującego nagle całe okresy, spełniłaby się jedynie wolniej. Może w żalu po osobie której już niema, kryje się jakaś sugestia, dająca naszym rysom podobieństwo, które istniało już w stanie utajonym, a zwłaszcza zachodzi zawieszenie naszej aktywności bardziej indywidualnej (u matki jej rozsądek, jej żartobliwa wesołość, odziedziczone po ojcu), którym, dopóki żyła ukochana istota, nie obawialiśmy się, bodaj jej kosztem, dawać upustu, a które przeciwwały cechy, jakie mieliśmy wyłącznie z niej. Skoro raz ta istota umarła, mielibyśmy skrupuł być innym; podziwiamy już tylko to czem ona była, czem my sami byliśmy już — ale z obcą domieszką — a czem odtąd mamy być wyłącznie. I właśnie w tym sensie (nie zaś w owym tak mętnym i fałszywym sensie, w jakim się to rozumie powszechnie) można rzec, że śmierć nie jest bezużyteczna, że umarły nadal oddziałują na nas. Działa nawet bardziej niż żywy, skoro bowiem prawdziwa realność wydziela się tylko przez ducha, jest przedmiotem procesu duchowego, znamy naprawdę jedynie to, co musimy odtworzyć myślą, czego nie dostrzegamy w codziennym życiu...

Wreszcie, w tym kulcie żalu po naszych Zmarłych, popadamy w bałwochwalstwo tego co oni kochali. Nietylko matka nie mogła się rozstać z torebką babki, droższą jej niż gdyby była z szafirów i diamentów, z jej mufką, ze wszystkimi temi strojami które podkreślały jeszcze podobieństwo między nimi dwiema, ale także z tomikami pani de Sévigné, które babka miała zawsze z sobą; z egzemplarzem, którego matka nie zamieniłaby nawet na sam rękopis listów. Zartowała niegdyś z babki, która ani razu nie napisała do niej bez zacytowania czegoś z pani de Sévigné lub z pani de Beausergent. Otóż w każdym z trzech listów, jakie dostałem od mamy przed jej przybyciem do Balbec, mama cytowała panią de Sévigné, tak jakby te trzy listy nie ona pisała do mnie, ale babka do niej.

Mama chciała wyjść trochę, aby zobaczyć plażę, o której babka, pisząc do niej, opowiadała jej codzień. Ujrzałem ją z okna: trzymając w ręku parasolkę — „*en tout cas*” — swojej matki, szła, cała w czerni, nieśmiałym i nabożnym krokiem po piasku, który deptały przed nią ukochane stopy, tak jakby szła szukać zmarłej, którą fale miały przynieść. Aby jej nie dać jeść obiadu samej, musiałem z nią zejść. Prezydent sądu i wdowa po dziekanie prosili abym ich przedstawił matce. I wszystko co miało związek z babką było jej tak drogie, że uczuła się niezmiernie wzruszona, zachowała wdzięczne wspomnienie słów, które jej rzekł prezydent, a zabolalo ją i oburzyło, że wdowa po dziekanie nie znalazła ani słowa wspomnienia dla zmarłej. W rzeczywistości prezydent równie mało troszczył się o babkę co dziekanowa. Współczujące słowa jego a milczenie jej — mimo że matka widziała w nich taką różnicę — były jedynie różną formą wyrażenia owej obojętności, jaką mamy wobec zmarłych. Ale sądzę, że matce były słodkie zwłaszcza słowa, w które mimo woli przelałem nieco swojego bólu. (Mimo całej jej czułości dla mnie, musiał ten ból być mamie miły, jak wszystko co zapewniało babce trwanie w sercach.)

Przez następne dni matka stale schodziła usiąść na plaży, aby robić ściśle to co robiła jej matka; czytała jej dwie ulubione książki, *Pamiętniki* pani de Beausergent i *Listy* pani de Sévigné. Nie mogła znieść — tak jak nikt z nas — aby nazywano panią de Sévigné „dowcipną markizą”, tak samo jak Lafontaine’a „pocziwcem”. A kiedy czytała w tych listach słowa: „moja córko”, miała uczucie, że to matka mówi do niej.

Nieszczęściem, w jednej z owych pielgrzymek w których chciała być sama, spotkała na plaży pewną damę z Combray, w towarzystwie córek. Zdaje mi się, że nazywała się pani Poussin. Ale myśmy ją nazywali zawsze: „Ładnie zaśpiewasz”, bo tem ustawicznie powtarzaniem zdaniem ostrzegała córki przed nieszczęściami, jakie sobie gotują na przyszłość; naprzykład mówiąc do jednej, która tarła sobie oczy: „Kiedy dostaniesz porządnego zapalenia, dopiero ładnie zaśpiewasz”. Zdaleka słała mamie długie zbolale ukłony, świad-



czące nie o współczuciu lecz o stylu wychowania. Moglibyśmy nie stracić babki i mieć same powody do szczęścia. Damie tej, która pędziła dość ustronne życie w Combray w olbrzymim ogrodzie, nic nie było dość słodkie; miała zwyczaj spieszcząć słowa a nawet nazwiska. Wydawało się jej za twarde nazywać „łyżką” srebrny instrument którym lała swoje syropy: mówiła „łyżeczka”; bałaby się urazić słodkiego piewczę Telemaka, zwągo poprostu Fénelon — jak ja czyniłem z pełną świadomością rzeczy, mając przyjaciela, najdroższego, najinteligentniejszego, dobrego i dzielnego, niezapomnianego wszystkim co go znali, Bertranda de Fénelon<sup>6</sup> — i zawsze wymawiała „Fénelon”. Mniej słodki zięć tej pani Poussin (nazwiska jego zapomniałem), będąc rejentem w Combray, uciekł z kasą i przyprawił między innymi mego wuja o stratę dość znacznej sumy. Ale większość mieszkańców Combray tak lubiła innych członków tej rodziny, że nie spowodowało to żadnego ochłodzenia stosunków; ubolewano jedynie nad panią Poussin. Nie przyjmowała gości, ale ilekroć się przechodziło koło jej ogrodu, przystawało się mimowoli, podziwiając jego cudowny mrok, nie mogąc rozpoznać nic więcej. Nie zawadzała nam w Balbec, gdzie spotkałem ją tylko raz, w chwili gdy mówiła do córki gryzącej paznokcie: „Kiedy ci zaczniesz porządnie obierać, ładnie zaśpiewasz”.

Podczas gdy mama czytała na plaży, ja siedziałem sam w pokoju. Przypominałem sobie ostatnie czasy życia babki i wszystko związane z niemi: drzwi wchodowe, które trzymano otwarte, kiedyśmy szli na jej ostatni spacer. W przeciwieństwie do tego wszystkiego, reszta świata wydawała mi się zaledwie realna, a cierpienie moje zatruwało wszystko. W końcu, matka zmusiła mnie abym wyszedł. Ale na każdym kroku jakiś zapomniany widok kasyna, ulicy, którą, czekając na nią pierwszego wieczora, zaszedłem aż do pomnika Duguay-Trouina, bronił mi posuwać się dalej, niby wiatr z którym niepodobna walczyć; spuszczałem oczy, aby nie widzieć. I odzyskawszy trochę sił, wracałem do hotelu, gdzie wiedziałem iż, choćbym czekał najdłużej, nie znajdę babki, którą odnalazłem tam niegdyś pierwszego wieczora.

Ponieważ wychodziłem pierwszy raz, wielu służących, których jeszcze nie widziałem, przyglądało mi się ciekawie. W samym progu hotelu, młody strzelec<sup>7</sup> zdjął czapkę aby mi się uklonić i włożył ją szybko. Sądziłem że Aimé, wedle swego wyrażenia, „dał mu hasło” aby był dla mnie uprzejmy. Ale w tej chwili ujrzałem, że tak samo uchylił czapki dla kogoś innego, kto właśnie wchodził. Istotą rzeczy był fakt, że ów młody człowiek wogóle umiał w życiu jedynie zdejmować i wkładać czapkę, i robił to bardzo dobrze. Zrozumiawszy że jest niezdolny do czego innego i celuje właśnie w tej czynności, spełniał ją możliwie największą ilość razy dziennie, co mu zyskiwało dyskretną lecz powszechną sympatię klientów, a także sympatię portjera, który miał za zadanie przyjmować „strzelców”: poza tym rzadkim okazem, nie mógł znaleźć ani jednego, któryby nie wyleciał ze służby w ciągu tygodnia, ku wielkiemu zdumieniu Aimégo, mówiącego: „Przecież w tym fachu żąda się od nich tylko tyle żeby być grzecznym, to nie powinno być takie trudne”. Dyrektorowi zależało także, aby mieli to co on (zmieszawszy *prezencję* i *reprezentację*) nazywał piękną „prezencją”.

Wygląd trawnika za hotelem zmienił się wskutek urządzenia paru grządek z kwiatami, oraz usunięcia nietylko egzotycznego krzewu, ale strzelca, który pierwszego roku dekorował na zewnątrz wejście giętką lodygą swojej talji i niezwykłym kolorem włosów. Wyjechał z pewną polską hrabiną, która wzięła go za sekretarza; w czem naśladował dwóch starszych braci i siostrę daktylografkę, wyrwanych z hotelu przez osobistości różnych krajów i różnych płci, wrażliwe na ich młode wdzięki. Pozostał jedynie najmłodszy brat, którego nikt nie chciał, bo zezował. Był bardzo szczęśliwy, kiedy polska hrabina

<sup>6</sup>*Bertrand de Fénelon* — przyjaciel Prousta, który padł na froncie w początkach wielkiej wojny. Wiele z jego sympatycznych rysów weszło w fizjognomię Roberta de Saint-Loup. Szczegół ten, jak wiele innych, świadczy, jak dalece sam Proust zajmuje chwilami miejsce bohatera opowiadania. [przypis redakcyjny]

<sup>7</sup>*strzelec* — często powtarzające się u Prousta wyrażenie „strzelec” (*chasseur*) okazało się u nas dla wielu zagadkowe. Dowodzi to, że obyczajowość jednej epoki staje się rychło obca następnym pokoleniom. Strzelec był to za czasów Prousta (także i u nas w Polsce) służący w pańskich domach, przeznaczony zwłaszcza do posyłek, a przekształcony zapewne z prawdziwego strzelca, z którego zachował kurtkę z zielonemi wyłogami i czapkę z piórkiem. Wzorem pańskich domów, strzelec przeszedł i do hoteli, w tym samym charakterze służącego do szczególnych zleceń. Przed kilku laty jeszcze grano w Warszawie farsę francuską *Strzelec od Maxyma*. Strzelec nie odpowiada późniejszemu boyowi, ponieważ strzelcem mógł być zarówno młody chłopiec (zwłaszcza w hotelach) jak i dorosły mężczyzna. [przypis tłumacza]

i protektorowie dwóch innych braci zawitali na jakiś czas do hotelu w Balbec. Bo mimo iż zazdrościł braciom, kochał ich i mógł w ten sposób przez kilka tygodni uprawiać uczucia rodzinne. Czyż księżniczka Fontevault nie miała zwyczaju — opuszczając swoje mniszki — dzielić gościny, jaką Ludwik XIV ofiarowywał drugiej Mortemart, jej siostrze a swojej kochance, pani de Montespan? Co się tyczy tego chłopca, był w Balbec pierwszy rok, nie znał mnie jeszcze, ale usłyszawszy że starsi jego koledzy, zwracając się do mnie, mówią mi po nazwisku, naśladował ich od pierwszej chwili, zadowolony bądź że stwierdza swoje obycie w stosunku do osobistości najwidoczniej znanej, bądź że się stosuje do zwyczaju, którego nie znał pięć minut przed tem, ale który uważał za obowiązujący.

Rozumiałem doskonale urok, jaki ten wielki *Palace* mógł mieć dla pewnych osób. Był wyreżyserowany jak teatr, a liczna rzesza statystów ożywiała nawet jego architekturę. Mimo iż gość był tylko rodzajem widza, był zarazem ustawicznie wmieszany w widowisko, nie tylko jak w owych teatrach, gdzie aktorzy odgrywają jakąś scenę w sali widzów, ale tak jakby życie widza rozgrywało się wśród przepychów sceny. Tenista mógł wracać w białej flanelowej kurtce, odźwierny, aby mu wręczyć pocztę, przywdział niebieski frak ze srebrnymi galonami. Jeżeli tenista nie chciał wchodzić pieszo, był mimo to wmieszany między aktorów, jadąc na piętro w asyście równie bogato przybranego lift-boya. Korytarze osłaniały bieganie panien służących i pokojówek, nadmorskich piękności, do których amatorzy „subretki” docierali siłą kunsztownych zachodów. Na dole przeważał element męski, który, dzięki wczesnej i próżniaczej młodzieńczości owej służby, robił z tego hotelu rodzaj ucieleśnionej i wciąż dawanej na nowo tragedji judeo-chrześcijańskiej. Toteż na ich widok, mimowoli powtarzałem sobie nie owe wiersze Rasyna, które mi przysły na myśl u księżniczki Marji, gdy p. de Vaugoubert patrzył na młodych dyplomatów kłaniających się panu de Charlus, ale inne wiersze Rasyna, tym razem już nie z *Estery* lecz z *Atalji*; od hallu bowiem — tego, co w XVII wieku nazywano Portykiem — „kwitnący lud” młodych strzelców stał, zwłaszcza w godzinach podwieczorku, niby młodzi izraelici z chóru Rasyna. Ale nie sądzę, aby który z nich zdołał udzielić nawet tej mętnej odpowiedzi, jaką Joas znajduje dla Atalji, kiedy ta pyta młodocianego księcia: „Jaki twój urząd, dziecię?” bo oni nie mieli żadnego. Co najwyżej, gdyby ktoś spytał którego z nich, jak nowa królowa: „Cały ten lud, w tem miejscu dzisiaj zgromadzony — jakież ma zatrudnienie?” mógłby powiedzieć: „Przyglądam się harmonji wspaniałych obrzędów — i przydaję im blasku”. Czasami, któryś z młodych statystów podchodził do ważniejszej figury, poczem piękny efeb wsiąkał w chór, i o ile to nie była chwila kontemplacyjnego odprężenia, wszyscy splatali swoje bezcelowe, pełne szacunku, dekoracyjne i codzienne ewolucje. Bo z wyjątkiem „wychodni”, chowani „zdala od świata” i nie przekraczający granic dziedzińca, wiedli tę samą rytualną egzystencję co lewici w *Atalji* i wobec tej „młodej i wiernej gromadki” igrającej u stóp schodów, pokrytych wspaniałymi dywanami, mogłem sobie zadawać pytanie, czy wchodzi do Grand-Hotelu w Balbec czy do świątyni Salomona.

Wracałem wprost do swego pokoju. Myśli moje krążyły zazwyczaj koło ostatnich dni babki, koło tych cierpień, którem przeżywał na nowo, potęgując je tym elementem, trudniejszym jeszcze do zniesienia niż nawet cierpienie cudze i przydanym do nich przez naszą okrutną litość; kiedy myślimy, że tylko odtwarzamy boleść ukochanej istoty, litość nasza przesadza ją; ale może to ta litość ma rację, nie zaś świadomość własnego bólu jaką mają ci co go cierpią, nie zdający sobie sprawy ze smutku własnego życia, który litość widzi i nad którym tak cierpi. Bądź co bądź, moja litość przewyższyłaby w nowym skurczu cierpienia babki, gdybym wiedział wówczas to, czego długo nie wiedziałem, że babka, w wilgę śmierci, w chwili świadomości i upewniwszy się że mnie niema, wzięła mamę za rękę i przycisnąwszy do tej ręki spalone gorączką wargi, rzekła: „Bądź zdrowa, córeczko, żegnaj na zawsze.” I może w to wspomnienie matka musiała się wciąż wpatrywać tak bacznie.

Potem wróciły mi słodkie wspomnienia. Była moją babką, ja jej wnukiem. Wyrazy jej twarzy zdawały się pisane w języku istniejącym wyłącznie dla mnie; ona była wszystkim w moim życiu, inni istnieli tylko poprzez nią, poprzez sąd jakiegoby mi o nich udzieliła; ale nie, nasze stosunki były zbyt przelotne, aby mogły nie być przygodne. Nie zna mnie już, nie ujrzę jej nigdy. Nie byliśmy stworzeni wyłącznie dla siebie wzajem, była obca. Tej obcej oglądałem właśnie fotografię, zdjętą przez Roberta.

Spotkawszy Albertynę, mama, pod wrażeniem miłych rzeczy jakie Albertyna powiedziała o babce i o mnie, nalegała abym się z nią zobaczył. Naznaczyłem więc spotkanie. Uprzedziłem dyrektora, aby poprosił Albertynę do salonu. Oświadczył, że ją zna oddawna, jak również jej przyjaciółki, o wiele zanim doszły do „wieku dostalości”, ale że ma do nich żal z powodu tego co mówiły o hotelu. Musiały chyba nie być dobrze „poinfirmowane”, aby tak mówić. Chyba że je poczerniono (oczerniono). Zrozumiałem łatwo, że słowa „dostalość” użył zamiast dojrzałość.

Oczekując godziny, kiedy miał ujrzeć Albertynę, wpatrywałem się — niby w rysunek, którego się w końcu nie widzi, przez to że się mu za długo przyglądało — w fotografię zdjętą przez Roberta, kiedy nagle pomyślał na nowo: „To babcia, ja jestem jej wnuk”, jak cierpiący na amnezję odnajduje swoje imię, jak chory zmienia osobowość. Franciszka weszła, aby mi powiedzieć, że Albertyna już jest; widząc fotografię, dodała:

— Biedna pani, jaka podobna, jak żywa, nawet tę brodaweczkę ma na twarzy; tego dnia kiedy pan margrabia ją sfotografował, była bardzo chora, dwa razy się jej słabo zrobiło. „Ale, Franciszko — powiedziała do mnie — nie trzeba żeby mój wnuczek wiedział o tem”. Dobrze to ukrywała, była zawsze wesoła w towarzystwie. Tylko powiem tyle, uważałam że starsza pani robi się chwilami jakaś nudna. Ale to prędko mijało. I potem mówiła tak: „Gdyby mi się coś przytrafiło, trzeba żeby miał mój portret. Nigdy nie dałam się zdejmować”. Wówczas posłała mnie do pana margrabiego, prosząc żeby panu nie mówił że to ona prosiła, czyby jej nie mógł wyfotografować. Ale kiedy wróciłam z tem że i owszem, nie chciała już, bo się jej zdawało, że bardzo źle wygląda. „To jeszcze gorsze (powiadała), niż żeby nie miał żadnej fotografii”. Ale że starsza pani nie była wcale głupia, poradziła na to, niby kładąc wielki kapelusz z opuszczonym rondem, że nic nie było znać, kiedy nie była w słońcu. Była bardzo kontentna ze swojej fotografii, bo w tej chwili ona nie myślała żeby miała wrócić żywa z Balbec. Darma jej powtarzałam: „Proszę pani, nie trzeba tak, to grzech gadać takie rzeczy”; nic nie pomogło, takie miała zdanie. Ano cóż, już było sporo czasu, jak nic nie mogła jeść. Dlatego wysyłała panicza het daleko na obiad z panem margrabią. Wtenczas, zamiast iść do sali jadalnej, udawała że czyta, a kiedy powóz pana margrabiego odjechał, kładła się do łóżka. Bywało, że chciała sprowadzić naszą panią, żeby przyjechała ją jeszcze zobaczyć. A potem znów się bała, że ją przestraszy, niby że jej jeszcze nic takiego nie mówiła. „Widzi Franciszka — powiadała — lepiej niech tam siedzi z mężem”.

Patrząc na mnie, Franciszka spytała nagle, czy mi „jest niedobrze”. Odpowiedziałem, że nie, a ona dodała:

— Panicz mnie tutaj trzyma w miejscu i każe gadać z sobą. Może już ta wizyta do pana przyszła. Muszę zejść. To nie jest osoba na tutaj. I taka skakalska jak ona, mogła już odlecieć. Nie lubi czekać. O, teraz, panna Albertyna, to cała figura!

— Myli się Franciszka, panna Albertyna jest bardzo dobra na tutaj, za dobra na tutaj. Ale niech ją Franciszka przeprosi, że jej nie będę mógł dziś przyjąć.

Co za potop „litosiernego” gadulstwa rozpętałbym we Franciszce, gdyby widziała że płacze! Ukryłem to starannie. Inaczej zyskałbym jej sympatię. Ale ona zyskała moją. Nie dość wchodzimy w serce tych biednych sług, które nie mogą patrzeć jak płacemy, tak jakby płacz sprawiał nam ból, lub może im sprawiał ból. Raz kiedy byłem mały, Franciszka powiedziała mi: „Nie płacz tak, paniczu, nie lubię kiedy panicz tak płacze”. Nie lubimy wykrzykników, zakłęcz; źle czynimy: zamykamy w ten sposób serce na patos wsi, na legendę, w jakiej biedna służąca, odprawiona może niesłusznie za kradzież, pobladała, spokorniała nagle tak jakby zbrodnią było być oskarżoną, powołując się na uczciwość swego ojca, roztacza zasady swojej matki, rady swojej babki. Zapewne, ta sama służąca która nie może znieść naszych łez, wpędzi nas bez skrępowań w zapalenie płuc, bo pokojówka lubi przeciągi i grzeczność nie pozwala ich skasować. Bo trzeba, aby nawet ci, co mają rację, jak Franciszka, nie mieli racji, iżby Sprawiedliwość była rzeczą niemożliwą. Nawet skromne przyjemności sług spotykają się z odmową lub szyderstwem państwa. To jest zawsze jakiś drobiazg, ale głupio sentymentalny, antyhigieniczny. Toteż mogą powiedzieć: „Jakto, tylko tyle żądam w ciągu całego roku i odmawiają mi.” A przecież państwo przyzwoliliby o wiele więcej, byleby to nie było głupie i niebezpieczne dla nich — lub dla samych państwa. Z pewnością niepodobna się oprzeć pokorze biednej pokojówki, drżącej, gotowej się przyznać do tego czego nie popełniła, mówiącej: „odejdę dziś

jeszcze, jeżeli trzeba.” Ale trzeba też umieć nie pozostać nieczułym — mimo uroczystej i groźnej banalności jej zakłęk, mimo jej dziedzictwa po matce i godności jej „stron” — dla starej kucharki, udrapowanej w nieskazitelne życie i pochodzenie, trzymającej miotłę jak berło, strojącej swoją rolę w styl tragedji, przerywającej ją szlochem, prostującej się majestatycznie. Tęgo dnia przypomniałem sobie lub wyroiłem takie sceny, skojarzyłem je z naszą starą służącą i od tej chwili, mimo wszystkiego złego jakie mogła zrobić Albertynie, ukochałem Franciszkę przywiązaniem przerywanem to prawda, ale z rodzaju najsilniejszych, tych co mają za podłoże litość.

Cierpiałem cały dzień, siedząc przed fotografią babki. Zadawała mi tortury. Mniej wszelako, niż mi ich zadały wieczorem odwiedziny dyrektora. Kiedym wspomniiał o babce, a on ponawiał kondolencje, naraz rzekł (bo lubił używać słów, które przekręcał):

— To tak jak w dniu, kiedy szanowna babka pańska miała ową apleksję, chciałem pana uprzedzić o tem, bo z przyczyny klejenteli, nieprawdaż, to mogło przynieść ujmę zakładowi. Lepiej byłoby, żeby starsza dama wyjechała tego samego dnia. Ale ona błagała mnie żebym nic nie mówił i przyrzekła mi że już nie będzie miała apleksji, albo że za pierwszą apleksją wyjedzie. Coprawda służba doniosła mi, że miała drugą. Ale cóż, byliście państwo starzy klienci, którym człowiek chciałby wygodzić, i ostatecznie, skoro się nikt nie skarżył...”

Tak więc, babka miała ataki i kryła je przedemną! Może w chwili gdym był dla niej najmniej miły, kiedy musiała, mimo iż cierpiąc, udawać że jest w dobrym humorze, żeby mnie nie drażnić i uchodzić za zdrową, żeby jej nie wydalono z hotelu! „Apleksja”! nigdy bym nie wymyślił tej formy, która, w zastosowaniu do kogoś innego, wydałaby mi się może śmieszna; ale tu, w swojej osobliwej inowacji dźwiękowej, podobnej do oryginalnego dysonansu, pozostała długo czemś zdolnem obudzić we mnie najboleśniejże wrażenia.

Nazajutrz, na prośbę mamy, poszedłem wyciągnąć się trochę na piasku, lub raczej w wydmach, tam gdzie się można schować w ich fałdach, i gdzie wiedziałem że Albertyna i jej przyjaciółki nie zdołają mnie odnaleźć. Powieki moje, przymknięte, przepuszczały tylko jedyne światło, całkiem różowe — światło wewnętrznych ścian oczu. Potem zamknęły się całkiem. Wówczas zjawiła mi się babka siedząca w fotelu. Zdawała się tak słaba, robiła wrażenie że żyje mniej niż ktokolwiek. Mimo to, słyszałem jej oddech; czasem znak jakiś okazywał, że rozumiała to cośmy mówili z ojcem. Ale próżno ją ścisakałem, nie mogłem zbudzić tkliwego spojrzenia w jej oczach, ani trochę koloru na policzkach. Była nieobecna, robiła wrażenie że mnie nie kocha, że mnie nie zna, może nie widzi. Nie mogłem zgadnąć sekretu jej obojętności, przygnębienia, milczącego niezadowolenia. Pociągnąłem ojca na bok: „Widzisz przecie — rzekłem — jasne jest, że rozumiała dokładnie wszystko. To kompletne złudzenie życia. Gdyby tak sprowadzić twojego kuzyna, który twierdzi, że umarli nie żyją? Oto już więcej niż rok jak umarła i w rezultacie żyje ciągle. Ale czemu nie chce mnie uściskać? — Patrz, jej biedna głowa opada. — Ale ona chciała iść na Pola Elizejskie. — To szaleństwo! — Doprawdy sądzisz że toby jej mogło zaszkodzić, że mogłaby bardziej umrzeć? Nie możliwe jest, aby mnie już nie kochała. Czy choćbym ją całował, nie uśmiechnie się do mnie nigdy? — Cóż chcesz, umarli są umarli”.

W kilka dni później, słodko mi było patrzeć na fotografię sporządzoną przez Roberta; nie budziła wspomnienia tego, co mi powiedziała Franciszka, dlatego że mnie to wspomnienie już nie opuszczało, przyzwyczailem się do niego. Ale w stosunku do pojęcia jakie sobie wytworzyłem o jej tak ciężkim, tak bolesnym stanie owęgo dnia, fotografia, korzystając jeszcze ze sztuczek, zdolnych mnie oszukać nawet gdy mi je odsłonięto, ukazywała mi ją tak wytworną, tak niefrasobliwą w tym kapeluszu kryjącym nieco twarz, że mi się wydawała mniej nieszczęśliwa i zdrowsza niż sobie wyobrażałem. A mimo to, policzki jej, mając, bez jej wiedzy, własny wyraz, coś ołowianego, błędnego, jak wzrok zwierzęcia, które się czuje wybrane i naznaczone, dawały babce fizjognomję skazanej na śmierć, bezwiednie posępną, nieświadomie tragiczną, której nie rozumiałem, ale która nie pozwalała nigdy mamie patrzeć na tę fotografię — fotografię, która się jej zdawała nietyle portretem matki, ile portretem matczynej choroby, zniewagi, jaką ta choroba wyrządzała spoliczkowanej brutalnie twarzy.

Potem, któregoś dnia, zdecydowałem się powiadomić Albertynę, że ją przyjmę niebawem. Bo pewnego przedwcześnie upalnego ranka, tysiączne krzyki bawiących się dzieci, baraszkujących letników, gazeciarzy, opisały mi ognistemi rysami, splecionemi z sobą

płomykami, gorącą plażą, którą lekkie fale skrapiały swoim chłodem; wówczas zaczął się, zmieszany z pluskiem wody, koncert symfoniczny, w którym skrzypce wibrowały niby zabłąkany na morzu rój pszczół. I natychmiast zapragnąłem znów usłyszeć śmiech Albertyny, ujrzeć jej przyjaciółki, owe dziewczęta odcinające się na tle fal, żyjące w moim wspomnieniu jako nieodłączny urok, swoista flora Balbec; i postanowiłem wysłać przez Franciszkę słówko do Albertyny, umawiając się na przyszły tydzień, podczas gdy morze, przybierając łagodnie, za każdym bryzgiem pokrywało całkowicie kryształowymi falami melodię, której frazy jawiły się oddzielnie, niby owi aniołowie lutniści, na szczycie włoskiej katedry wznoszący się między grzebieniami modrego porfiru i pieniącego się jaspisu.

Ale w dniu kiedy Albertyna przyszła, było znów brzydko i chłodno; zresztą nie miałem sposobności usłyszeć jej śmiechu; była w bardzo złym humorze. „Balbec jest okropne w tym roku, rzekła. Postaram się nie siedzieć tutaj długo. Wiesz, że tu jestem od Wielkiej Nocy, więcej niż miesiąc! Niema nikogo. Wierz mi, to doprawdy niezbyt rozkoszne”.

Mimo świeżego deszczu i nieba zmieniającego się co chwila, odprowadziwszy Albertynę aż do Epreville (bo Albertyna, wedle swego wyrażenia, „kursowała” między tą plażą, gdzie pani Bontemps miała willę, a Incarville, gdzie była „na stacji” u rodziców Rozamundy), skierowałem się sam w stronę owego gościńca, którym toczył się powóz pani de Villeparisis, kiedyśmy jeździli na spacer z babką. Kałuże wody, których nie osuszyło błyszczące słońce, zmieniały grunt w prawdziwe bagnisko. Pomyślałem o babce, która niegdyś nie umiała przejść dwóch kroków, aby się nie zachłapać. Ale z chwilą gdym doszedł do drogi, to było prawdziwe olśnienie. Tam gdzie widziałem z babką w sierpniu jedynie liście i jakby rusztowanie jabłoni, teraz, jak okiem sięgnąć, jabłonie kwitły z niesłychanym przepychem, z nogami w błocie a w toalecie balowej, nie troszcząc się o to aby nie zniszczyć najcudowniejszego różowego atlasu, jaki można sobie wyobrazić, błyszczącego w słońcu; odległy horyzont morza dawał im tło jakgdyby japońskiej ryciny; kiedy podniosłem głowę, aby spojrzeć na niebo poprzez kwiaty, które przepuszczały jego roz pogodzony, niemal fiołkowy błękit, rzekłbyś że się rozsuwają, aby ukazać głęb tego raj. Pod tym lazurem, lekki ale zimny podmuch wiatru wprawiał w drżenie czerwieniące się bukiety. Błękitne sikory przysiadły na gałęziach i skakały pobłaźliwie między kwiatami tak jakby jakiś amator egzotyizmu i barw sztucznie stworzył to żywe piękno. Ale piękno to wzruszało do łez, bo choćby najdalej zaszło w swoim wyrafinowaniu, czuło się że jest naturalne, że te jabłonie są tam w szczerem polu jak chłopci, na gościńcu francuskim. Następnie, po promieniach słońca przyszły nagle promienie deszczu, posiekały pręgami cały widnokrąg, pochwyciły szereg jabłoni w szarą sieć. Ale te dalej wznosiły swoją kwitnącą i różową piękność na wietrze, który stał się lodowaty w tej ulewie: to był dzień wiosny.

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Tajemnice Albertyny. Dziewczęta, które widzi w lustrze. — Nieznajoma dama. — Lift-boy. — Pani de Cambremer. — Rozkosze pana Nissim Bernard. Pierwszy szkic dziwnego charakteru Morela. — Pan de Charlus na obiedzie u Verdurinów.*

W obawie aby przyjemność czerpana w tej samotnej przechadzce nie osłabiła we mnie wspomnienia babki, starałem się ożywić to wspomnienie, myśląc o jakimś jej wielkim cierpieniu duchowym; na moje wezwanie, zgryzota ta starała się wznieść w moim sercu, strzelała w niem w górę olbrzymimi filarami, ale moje serce było z pewnością dla niej za małe, nie miałem siły unieść tak wielkiej boleści, uwaga moja umykała się w chwili gdy ta zgryzota przeobrażała się cała i łuki jej waliły się zanim się spotkały, tak jak się załamują fale zanim zamkną swoje sklepienie.

Jednakże, już z samych moich snów, mógłbym poznać, że mój smutek z powodu śmierci babki malał, ponieważ babka jawiła mi się w snach mniej udręczona pojęciem, jakim sobie tworzył o jej nicości. Widziałem ją wciąż chorą, ale na drodze do wyzdrowienia, miała się lepiej. I jeżeli robiła aluzję do tego co wycierpiała, zamykałem jej usta pocałunkami i upewniałem, że teraz jest wyleczona na zawsze. Byłbym chciał dowieść sceptykom, że śmierć jest doprawdy chorobą, z której się wychodzi. Nie znajdowałem jedynie u babki dawniejszej bogatej samorzutności. Słowa jej były jedynie osłabioną, po-

wolną odpowiedzią, niemal prostym echem moich słów; ona sama była już tylko odbiciem mojej myśli.

Byłem jeszcze niezdolny doznawać na nowo fizycznego pragnienia, mimo to Albertyna zaczynała budzić we mnie jakby żądzę szczęścia. Pewne, wciąż bujające w nas marzenia o odwzajemnianej czułości chętnie łączą się, mocą jakiegoś powinowactwa, ze wspomnieniem kobiety, z którą zazналиśmy rozkoszy, pod warunkiem że to wspomnienie stało się nieco mgliste. To uczucie zbliżało mnie do obrazów Albertyny łagodniejszych, mniej wesołych, nieco odmiennych od tych które byłoby mi nastroczyło pragnienie fizyczne; że zaś owo uczucie było zarazem mniej naglące, chętnie odłożyłem jego realizację do następnej zimy, nie starając się widzieć Albertyny w Balbec przed jej wyjazdem. Ale nawet pośród żywego jeszcze smutku, pragnienie fizyczne odradza się. W łóżku, gdzie mi kazano codziennie długo odpoczywać, pragnąłem aby Albertyna wskrzesiła nasze dawniejsze igraszki. Czyż nie zdarza się, że w tym samym pokoju, w którym stracili dziecko, małżonkowie znów splatają się w uścisku, dając brata małemu zmarłemu? Próbowałem się oderwać od tego pragnienia, idąc do okna popatrzeć na morze. Podobnie jak w pierwszym roku, morze rzadko było jednakie. Ale pozatem nie było też prawie nic podobne do morza z owego pierwszego roku, czy że teraz była wiosna z jej burzami, czy że, gdybym nawet przybył w tej samej porze co za pierwszym razem, inna, zmienniejsza pogoda mogłaby odradzić to wybrzeże niektórym morzom leniwym, mglistym i nikłym, jakie widziałem wówczas, w gorące dni, śpiące na plaży, podnoszące niedostrzegalnie w miękkim pulsowaniu modre łono; czy zwłaszcza dlatego, że moje oczy, nauczone przez Elstira utrzymywać właśnie czynniki które niegdyś chętnie wyłączałem, patrzyły długo na to, czego w pierwszym roku nie umiały widzieć. Owa tak mnie uderzająca wówczas sprzeczność między sielskimi spacerami z panią de Villeparisis a płynnym, niedostępnym i mitologicznym sąsiedztwem wiekiutego Oceanu nie istniała już dla mnie. I przeciwnie, w pewne dni, samo morze zdawało mi się teraz prawie wiejskie. W dość rzadkie dni prawdziwej pogody, gorąco wyżłobiło na wodach, niby w polu, zakurzoną i białą drogę, poza którą ostrze rybackiego statku sterczało niby wiejska dzwonnica. Holownik, ukazujący jedynie komin dymiący w oddali niby odległa fabryka, podczas gdy na horyzoncie białe i wydęte prostokąt, wymalowany z pewnością przez żagiel ale osobliwie zwarty i jakby wapienisty, przywodził na myśl zalany słońcem róg jakiejś budowli, szpitala lub szkoły. I chmury i wiatr, w dniu kiedy się kojarzyły ze słońcem, dopełniały jeżeli nie błędnego sądu, to bodaj złudy pierwszego spojrzenia, sugestji zrodzonej przez nie w wyobraźni. Bo ciągnęła gra ostro od siebie odcinających się barw, jak te które są na wsi wyrazem odmiennych a sąsiadujących pól; szorstkie, żółte i jakby błotniste nierówności powierzchni wód; stoki i wzgórze, kryjące oczom łódź gdzie ekipa zwinnych majtków zdawała się sprzątać zboże, wszystko to w burzliwe dnie robiło ocean czemś równie zmiennym, równie stałym, równie urozmaiconym, ludnym, cywilizowanym, jak dostępna powozowi ziemia, po której jeździłem niegdyś i kędy znów miałem podjąć niebawem spacer. I raz, nie mogąc się już oprzeć swojemu pragnieniu, zamiast się położyć, ubrałem się i pojechałem po Albertynę do Incarville.

Chciałem ją prosić, aby mnie odwiozła do Douville, skąd wybierałem się do Feteme z wizytą do pani de Cambremer i do la Raspelière do pani Verdurin. Albertyna zaczekałaby na mnie przez ten czas na plaży i wrócilibyśmy razem w nocy. Wsiadłem do małej kolejki, której wszystkich przydomków nauczyłem się niegdyś od Albertyny i jej przyjaciółek; nazywano ją to *samouarek* z powodu lokomotywy, to *gąsienica* bo się ledwo wlokła, to *transatlantyk* z powodu przeraźliwej syreny, którą ostrzegała przechodniów; usadowiłem się w wagonie, gdzie byłem sam; świeciło wspaniałe słońce, było duszno, spuściłem niebieską storę, tak iż przepuszczała tylko jeden promień słońca. Ale natychmiast ujrzałem babkę, taką jak siedziała w pociągu w czasie podróży z Paryża do Balbec, kiedy, cierpiąc nad tem że piję piwo, wołała nie patrzeć, zamknąć oczy i udawać że śpi. Ja, który nie mogłem niegdyś znieść cierpienia, jakie babka odczuwała widząc męża pijącego koniak, narzuciłem jej nietylko ten ból, że piłem w jej oczach, z cudzej namowy, napój który uważała za zgubny dla mnie, ale zmusiłem ją do tego aby mi pozwoliła raczyć się nim do woli; co więcej, przez swoje dąsy, przez swoje ataki duszności, zmuszałem ją aby mi pomagała to czynić, aby mi doradzała, w ostatecznej rezygnacji, której niemię i zrozpaczony obraz, z oczami zamkniętymi aby nie widzieć, miałem teraz w pamięci.

Takie, wspomnienie niby dotknięcie różdżki przywróciło mi duszę, którą traciłem od jakiegoś czasu; cóż ja mógłbym robić z Rozamundą, kiedy wargi moje przebiegało jedynie rozpaczliwe pragnienie ucałowania zmarłej; o czym mógłbym mówić z Cambremerami i Verdurinami, kiedy serce moje biło tak silnie dlatego że się w niem odtwarzał co chwila ból, jaki babka cierpiała niedyś.

Nie mogłem wytrzymać w tym wagonie. Z chwilą gdy pociąg zatrzymał się w Maineville-la-Teinturière, wysiadłem odrzekając się swoich projektów, doszedłem do skalistego brzegu i szedłem jego krętymi drogami. Maineville nabrało od jakiegoś czasu niemałej ważności i specjalnej reputacji, ponieważ dyrektor licznych kasyn, handlarz szczęścia, zbudował niedaleko stamtąd, z niesmacznym przepychem, zdolnym rywalizować ze stylem *Palace*, zakład, do którego powrócimy jeszcze, a który, mówiąc poprostu, był pierwszym domem publicznym dla eleganckiego świata, jaki przyszło komu na myśl zbudować na wybrzeżach Francji. Był jedyny. Każdy port ma swój taki dom, ale dobry wyłącznie dla marynarzy i dla amatorów egzotyizmu, których bawi oglądać tuż obok odwiecznego kościoła, makarełę niemal równie starą, czcigodną i omszałą, stojącą przed osławioną bramą i wyczekującą powrotu statków rybackich.

Oddalając się od olśniewającego domu „rozkoszy”, bezczelnie wznoszącego się mimo daremnie kierowanych do mera protestów rodzin, wróciłem na brzeg i szedłem jego krętymi drogami ku Balbec. Usłyszałem wołanie głogów, nie odpowiadając na nie. Te uboższe sąsiadki kwitnących jabłoni krytykowały, mimo iż uznając ich świeżą cerę, ciężkość owych odzianych różowemi płatkami córek grubych fabrykantów jablecznika. Wiedziały, że one same, choć skąpiej uposażone, są jednak bardziej poszukiwane i że na to aby się podobać, wystarczy im ich pogniecionej bieli.

Kiedy wróciłem, odźwierny oddał mi kartę, w której margrabia i margrabina de Geneville, wicehrabia i wicehrabina d'Amfreville, hrabia i hrabina de Berneville, margrabia i margrabina de Graincourt, hrabia d'Amenoncourt, hrabina de Maineville, hrabia i hrabina de Franquetot, hrabina de Chaverny z domu d'Aigleville, udzielali mi wiadomości o swojej żałobie. Zrozumiałem, czemu mi przesłano tę kartę, dopiero wówczas, kiedym ujrzał nazwiska margrabiny de Cambremer z domu du Mesnil la Guichard, margrabiego i margrabiny de Cambremer, i kiedym wyczytał, że zmarła, kuzynka Cambremerów, nazywała się Eleonora Eufrazja Humbertyna de Cambremer, hrabina de Criquetot. Na całej przestrzeni tej prowincjonalnej rodziny, której prospekt wypełniał szereg drobnych i gęstych wierszy, nie było ani jednego mieszczanina — tak samo zresztą ani jednego znanego tytułu — było natomiast całe pospolite ruszenie miejscowej szlachty, która kazała śpiewać w swoich nazwiskach — były to nazwy wszystkich interesujących miejscowości w okolicy — radosnym końcówkom na *ville*, na *court*, czasami głuchszym na *tot*. Strojne dachówkami ich zamku lub tynkiem kościoła, z trzęsącą się głową ledwo przerażającą sklepienie lub fasadę gmachu i tylko poto aby się ustroić w latarnię normandzką lub w murek spadzistego dachu, nazwiska te robiły wrażenie, że otrąbiły wici wszystkich ładnych miasteczek, spiętrzonych lub rozrzuconych na pięćdziesiąt mil wokoło, i że je ustawiły w porządnym szyku, bez żadnej luki, bez żadnego intruza, na zwartej i prostokątnej warcabnicy arystokratycznej karty w czarnej obwódce.

Matka udała się do swego pokoju, dumając nad tem zdaniem pani de Sévigné: „Unikam wszelkich osób, które chcą mnie rozerwać po tobie; nie mówiąc tego wprost, chcą mi przeszkodzić myśleć o tobie, i to mnie obraża”; a to dlatego że prezydent sądu powiedział jej, że powinnyby się rozerwać. Do mnie szepnął: „O, księżna Parmy”. Mój strach pierzchnął, kiedym ujrzał, że kobieta, którą mi pokazywał, nie ma żadnego związku z Jej Królewską Wysokością. Ale ponieważ księżna kazała zatrzymać pokój aby zano-cować w hotelu kiedy będzie wracała od pani de Luxembourg, nowina ta odniosła dla wielu osób ten skutek, że brały każdą nowoprzybyłą za księżną Parmy — dla mnie zaś ten, że poszedłem się zamknąć na swoim poddaszu.

Nie byłbym chciał zostać sam. Była ledwie czwarta. Prosiłem Franciszkę, aby pojechała po Albertynę z prośbą by spędziła wieczór ze mną.

Sądzę iż skłamałbym powiadając, że już się zaczęła bolesna i ciągła nieufność, jaką miała budzić we mnie Albertyna; a tem bardziej specjalny, zwłaszcza gomorejski charakter, jaki miała przybrać ta nieufność. Z pewnością od tego dnia — ale to nie był pierwszy — oczekiwanie moje zabarwiło się pewnym niepokojem. Franciszka, puściw-

szy się w drogę, siedziała tak długo, że zaczynałem tracić nadzieję. Nie zapaliłem lampy. Już się dobrze ściemniło. Wiatr szeleścił chorągwią na kasynie. Katarynka, przystanąwszy przed hotelem, grała walce wiedeńskie, wątlejsza jeszcze w ciszy wybrzeża na którym wzbierało morze, podobna do głosu, któryby wyrażał i wzmagał denerwującą pustkę tej niespokojnej i fałszywej godziny. Wreszcie Franciszka wróciła, ale sama.

— Spieszyłam ile mogłam, ale panna nie chciała iść, niby że nie jest dość ładnie uczesana. Godzinę bez mała siedziała i pomadowała się; będzie istna perfumerja tutaj. Idzie już, przystanęła po drodze, żeby się przyrzadzić przed lustrem. Myślałam, że już ją tu zastanę.

Długi czas jeszcze minął, zanim Albertyna przyszła. Ale wesołość, przymilność, jakie wniosła tym razem, rozprószyły mój smutek. Oznajmiła mi (nawspak temu, co mówiła kiedyś), że zostanie przez cały sezon i spytała, czy nie moglibyśmy, jak pierwszego roku, widywać się codziennie. Odpowiedziałem, że obecnie jestem zbyt smutny i że raczej będę po nią przysyłał od czasu do czasu w ostatniej chwili, jak w Paryżu. „Jeżeli kiedy będzie ci ciężko, albo jeżeli będziesz miał ochotę, nie krępuj się — rzekła; poślij po mnie, przyłecę w te pędy; a jeżeli się nie boisz, że to może narobić zgorzienia w hotelu, zostanę tak długo jak zechcesz”.

Przyprowadzając Albertynę, Franciszka miała wyraz uszczęśliwiony, jak zawsze kiedy podjęła dla mnie jakiś trud i zdołała mi sprawić przyjemność. Ale sama Albertyna nie grała w tej radości żadnej roli, i zaraz nazajutrz Franciszka powiedziała mi głębokie słowa: „Panicz nie powinien widywać się z tą panną. Ja dobrze widzę, jaki ona ma charakter; narobi paniczowi samych zmartwień”.

Odprowadzając Albertynę, ujrzałem w jadalni przez szyby księżną Parmy. Popatrzałem na nią tylko, starając się aby mnie nie widziała. Ale przynaję, że znajdowałem pewną wielkość w królewskiej grzeczności, z której uśmiechałem się u Guermantów. Zasadą jest, że panujący są wszędzie u siebie, ceremonja zaś wyraża to w martwych i czczych zwyczajach, jak np. ten aby pan domu trzymał kapelusz w ręce we własnym salonie, dla stwierdzenia że nie jest już u siebie, ale u panującego. Otóż, księżna Parmy nie uświadamiała sobie może tego pojęcia, ale była niem tak przesiąknięta, że wszystkie jej postęпки, doraźnie narzucone przez okoliczności, wyrażały je. Kiedy wstała od stołu, wręczyła duży napiwek Aimému, tak jakby on tam był wyłącznie dla niej, i jakby, opuszczając jakiś zamek, wynagradzała kamerdynera przydzielonego do jej służby. Nie ograniczyła się zresztą do napiwku, ale z wdzięcznym uśmiechem rzekła mu kilka miłych i pochlebnych słów, wziętych w spadku po matce. Jeszcze trochę, a byłaby mu powiedziała, że hotel jest doskonale prowadzony, Normandja kwitnąca, i że ona, ze wszystkich krajów w świecie, najbardziej kocha Francję. Druga sztuka monety przeszła z rąk księżnej do rąk piwnicznego, którego kazała zawołać i któremu, niby generał po rewji, pragnęła wyrazić zadowolenie. W tej chwili przyszedł lift-boy, przynosząc Jej Wysokości jakąś odpowiedź; i on także otrzymał miłe słówko, uśmiech i napiwek, wszystko z dodatkiem ciepłych i pokornych słów, mających dowieść, że ona, księżna Parmy, nie jest niczem więcej niż oni. Ponieważ Aimé, piwniczny, lift-boy i inni sądzili, że byłoby niegrzecznie nie uśmiechnąć się całą gębą do osoby, która się do nich uśmiecha, niebawem otoczyła księżnę gromadka służby, z którą rozmawiała życzliwie; że zaś tego rodzaju obejście było nieznanne w wielkich hotelach, osoby, przechodzące tamtędy, nie znając nazwiska księżnej, myślały, że to jest jakaś stała klientka Balbec, która, wskutek swego niskiego urodzenia, lub w interesie zawodu (może żona komiwojażera pracującego w szampanach?) mniej odcina się od służby, niż naprawdę szykowni goście. Co do mnie, myślałem o pałacu w Parmie, o nawpół religijnych, nawpół politycznych przestrojach dawanych tej księżniczce, która postępowała z ludem tak, jakby go miała sobie zjednać na czas przyszłego panowania. Więcej jeszcze: jakby już panowała.

Wróciłem do pokoju, ale nie czułem się sam. Słyszałem, że ktoś gra miękko utwory Schumanna. Z pewnością zdarza się, iż ludzie, nawet ci których najbardziej kochamy, przesycają się wydzielałym się z nas smutkiem lub nerwowością. Ale jest coś, co może doprowadzić do rozdrażnienia, jakiego nie osiągnie nigdy żywa osoba: mianowicie fortepian.

Albertyna poleciła mi abym sobie zapisał daty, w których miała być nieobecna, bawiąc po parę dni u przyjaciółek. Kazała mi też zanotować ich adresy, na wypadek gdybym



jej potrzebował którego z owych wieczorów, bo żadna z przyjaciółek nie mieszkała zbyt daleko. Co sprawiło, że nieraz przyszło mi szukać jej od jednej do drugiej z dziewcząt, które oploty się całkiem naturalnie dokoła niej niby girlandy kwiatów. Śmiem wyznaczyć, że niejedna z tych przyjaciółek — nie kochałem jeszcze Albertyny — dała mi na tej czy innej plaży chwile rozkoszy. Te młode życzliwe towarzyszy nie wydawały mi się zbyt liczne. Ale niedawno znów myślałem o nich, przypomniały mi się ich imiona. Policzyłem, że w ciągu tego jednego sezonu dwanaście dziewcząt użyczyło mi swoich nikłych faworów. Jedno imię przypomniało mi się później — trzynastka! Wówczas, z jakimś dziecinnym okrucieństwem, chciałem poprzestać na tej liczbie. Niestety, przyszło mi na myśl, że zapomniałem pierwszej, Albertyny, której już nie było, a która była czternastą.

Wróćmy do toku opowiadania. Zapisałem sobie nazwiska i adresy dziewcząt, u których zastałbym Albertynę w dniu, kiedyby jej nie było w Incarville, ale myślałem, że z tych dni skorzystam raczej poto, aby się wybrać do pani Verdurin. Zresztą, pragnienia nasze w stosunku do różnych kobiet nie zawsze mają równą siłę. Jednego wieczora nie możemy się obyć bez tej, która później, przez miesiąc lub dwa, ledwie że działa na nas. Nie tu miejsce studjować przyczyny odmian. W momentach fizycznego wyczerpania, chwilową naszą starczość pociąga obraz kobiety, którą całowałoby się za ledwie w czoło. Co się tyczy Albertyny, widywałem ją rzadko, i jedynie w bardzo nieliczne wieczory, kiedy nie mogłem się bez niej obyć. Jeżeli mnie chwyciło takie pragnienie, a ona była zbyt daleko od Balbec aby Franciszka mogła tam dotrzeć, posyłałem lift-boya do Egreville, do Sogne, do Saint-Frichoux, prosząc go, aby się zwolnił nieco wcześniej. Wchodził do mojego pokoju, przyczem stale nie zamykał drzwi; o ile bowiem odrabiał sumiennie swoją „harówkę”, bardzo ciężką, polegającą od piątej rano na ciągłym sprzątananiu, nie mógł się zdobyć na trud zamknięcia drzwi, a kiedy mu się zwróciło uwagę że są otwarte, wracał, i osiągając maximum wysiłku, przymykał je lekko. Z demokratyczną dumą, która go cechowała i której nie dosięgają w zawodach wyzwolonych członkowie liczniejszych profesji, adwokaci, lekarze, literaci, nazywający innego adwokata, literata lub lekarza: „*mon confrère*”, on, posługując się słusznie terminem zastrzeżonym dla ciał szczuplejszych, jak na przykład akademje, powiadał, mówiąc o strzelcu, pełniącym funkcję lift-boya co drugi dzień: „Spróbuję się postarać, aby mnie zastąpił kolega” (*mon collègue*). Ta dumą nie przeszkadzała mu, celem dopełnienia tego, co nazywał „swojem uposażeniem”, przyjmować za drogę napiwków, które ściągnęły nań nienawiść Franciszki: „Tak, za pierwszym razem kiedy go się widzi, wzięłoby się go za jakiego aniołka, ale są dni, że on patrzy na człowieka jak ten zbój. Wszystko to wyłudzacze”. Kategorja, w której Franciszka tak często mieściła Eulaję i którą — gotując tem jakież nieszczęścia! — już obejmowała Albertynę, dlatego że często widziała, jak wypraszałem od mamy, dla mojej niebogatej przyjaciółki, drobiazgi, świecidełka. Franciszce wydawało się to rzeczą nie do przebaczenia, bo pani Bontemps miała tylko jedną służącą „do wszystkiego”.

Niebawem lift-boy, zdjawszy to co jabym nazwał liberją, a co on nazywał *uniformem*, zjawiał się w słomkowym kapeluszu, z laseczką, idąc starannie wystudjowanym krokiem, wyprostowany, bo matka jego zalecała mu, aby się starał nigdy nie robić wrażenia „robotnicarza” lub „strzelca”. Tak samo jak, dzięki książkom, wiedza dostępna jest dla robotnika, który przestaje być robotnikiem kiedy skończył pracę, tak samo, dzięki słomkowemu kapelusikowi i parze rękawiczek, elegancja stawała się dostępna dla lift-boya, który, skończywszy pod wieczór wozić gości, sądził że, jak młody chirurg skoro zdejmie kitel, lub wachmistrz Saint-Loup bez munduru, stał się skończonym światowcem. Nie był zresztą bez ambicji, ani bez talentu w manipulowaniu swoją klatką, tak aby nie uwięznąć między dwoma piętrami. Ale język jego był wadliwy. Wierzyłem w jego ambicje, ponieważ, mówiąc o odźwiernym który był jego zwierzchnikiem, powiadał: „Mój odźwierny”, tym samym tonem, jakim człowiek posiadający w Paryżu to co strzelec nazwał by „pałacym” mówiłby o swoim portjerze. Co do języka lift-boya, ciekawe jest, że ten chłopak, który słyszał pięćdziesiąt razy dziennie gości mówiących „winda”, sam mówił zawsze „wienda”. Pewne rzeczy były szczególnie drażniące u tego lift-boya; np. cokolwiek bym mu powiedział, zawsze przerywał mi wykrzyknikiem: „Ma się wie! albo: „Ma się wi!” co wyrażało albo to że moja uwaga jest tak oczywista iż każdy byłby wpadł na nią, albo też przesunęło na niego całą zasługę, jakby to on zwrócił na to uwagę. „Ma się wie” albo „Ma się

wi”, wykrzykiwane z największą energją, powtarzało się co dwie minuty w jego ustach, na rzeczy na które nigdyby nie wpadł, co mnie tak drażniło, że natychmiast mówiłem coś wręcz przeciwnego, aby mu dowieść że nie rozumie nic. Ale przy mojem drugim twierdzeniu mimo że było nie do pogodzenia z poprzedniem, odpowiadał tak samo: „Ma się wie”, „Ma się wi”, tak jakby te słowa były nieuniknione.

Z trudnością przebaczałem mu również to że używa pewnych terminów technicznych — które byłyby z tej przyczyny bardzo odpowiednie w sensie dosłownym — jedynie w przenośni, co im dawało intencję niby to dowcipną a w gruncie głupawą, naprzykład słowo „pedały”. Nigdy nie używał tego słowa, kiedy jechał na rowerze. Ale jeżeli szedł pieszo i spieszył się aby zdążyć na czas, wówczas dla określenia że szedł szybko, powiadał: „Ma się wi, że się wyciągało pedały”.

Lift-boy był raczej mały, źle zbudowany i dosyć brzydki. To nie przeszkadzało, że za każdym razem, kiedy mu się mówiło o młodym człowieku wysokim i smukłym, powiadał: „A, tak, wiem, jest zupełnie mojego wzrostu”. Pewnego dnia, czekając na jego powrót z odpowiedzią i słysząc kroki na schodach, otworzyłem przez niecierpliwość drzwi i ujrzałem Strzelca pięknego jak Endymion, z rysami niewiarygodnie doskonałemi; szedł z poleceniem jakiejś damy, której nie znałem. Kiedy lift-boy wrócił, wówczas, podkreślając jak niecierpliwie czekałem jego odpowiedzi, opowiedziałem mu, że myślałem że to on wraca, ale że to był strzelec z hotelu Normandzkiego. „A tak, wiem który, rzekł; tam jest tylko jeden; chłopiec mojego wzrostu. Z twarzy jest do mnie podobny tak, że możnaby nas pomylić; powiedziałby kto dwa bliźniaki.” Do tego chciał zawsze okazać, że wszystko rozumiał od pierwszej sekundy, co sprawiało, że kiedy mu ktoś dawał zlecenie, odpowiadał: „Tak, tak, tak, tak, tak, rozumiem wybornie”, pewnym i inteligentnym tonem, który mi dawał jakiś czas złudzenie; ale ludzie w miarę jak się ich poznaje są jak metal zanurzony w odczynniku; widzi się jak pomału tracą swoje przymioty (a czasem wady).

Zanim mu wydałem zlecenie, spostrzegłem że zostawił drzwi otwarte; zwróciłem mu na to uwagę, gdyż bałem się, aby nas kto nie usłyszał; uwzględnił moje życzenie i wrócił zmniejszwszy szparę. „Żeby panu zrobić przyjemność. Ale niema nikogo na całym piętrze, prócz nas dwóch”. W tej samej chwili usłyszałem przechodzącą najpierw jedną osobę, potem dwie, potem trzy. Drażniło mnie to z obawy niedyskrecji, ale zwłaszcza dlatego, że widziałem, iż jego to wcale nie dziwi i że to jest normalny ruch. „Tak, to pokojówka z obok, idzie po swoje rzeczy. Och, to jest nic, to piwniczny odnosi klucze. Nie, nie, to nic, może pan mówić, to mój kolega odbiera służbę”. Że zaś racje, dla których wszyscy ci ludzie przechodzili, nie zmniejszały mojej obawy że mogą mnie usłyszeć, przeto, na mój formalny rozkaz, poszedł — nie zamknąć drzwi — to byłoby nad siły tego cyklisty, który marzył o motocyklu — ale przymknąć je nieco bardziej. „Teraz jesteśmy całkiem spokojni”. Byliśmy w istocie tak spokojni, że jakaś Amerykanka weszła i wyszła, przepraszając że pomyliła numer pokoju. „Przyprowadzisz mi tę panienkę — rzekłem zatrzasnąwszy sam drzwi ze wszystkich sił, co sprowadziło innego strzelca dla sprawdzenia czy okno nie jest otwarte. — Przypominasz sobie dobrze: panna Albertyna Simonet. Zresztą masz napisane na kopercie. Masz jej tylko powiedzieć, że to odemnie. Przyjdzie bardzo chętnie — dodałem, aby go zachęcić i aby się znanadto nie upokarzać. — Ma się wi! — Ale nie, to wcale nie jest naturalne że przyjdzie chętnie. To bardzo uciążliwe wybrać się tutaj z Bemeville. — Pewnie! — Powiesz jej, żeby przyjechała z tobą. — Tak, tak, tak, rozumiem doskonale, odpowiadał owym ścisłym i sprytnym tonem, który oddawna przestał na mnie robić „dobre wrażenie”, bo wiedziałem że jest niemal mechaniczny i że poza swoją pozorną ścisłością kryje otchłań tumaństwa i głupoty. — O której godzinie będziesz z powrotem? — Nie trza na to dużo czasu, powiadał windziarz, który, wbrew prawdom wygłaszanym w *Uczonych Białogłowach* przez Belizę, stale posługiwał się formą trza zamiast trzeba. Mogę bardzo dobrze tam iść. Właśnie skasowano teraz wychodnię, bo jest w salonie śniadanie na dwadzieścia osób. A to była moja pora na wyjście. Tak że należy mi się, żebym trochę wyszedł wieczór. Wezmę rower. W ten sposób będę pędko”. I w godzinę później zjawiał się, powiadając: „Pan długo czekał, ale panienska jest ze mną. Jest na dole. A! dziękuję, a odźwierny czy się nie będzie gniewał na mnie? — Pan Paweł? on nawet nie wie, gdzie ja byłem. Nawet portjer nie ma tu nic do gadania”. Ale raz, kiedy mu zleciłem: „Trzeba koniecznie żebyś panienkę przyprowadził”, powiedział

z uśmiechem: „Pan wie, że nie znalazłem panienki. Niema jej tam. A nie mogłem zostać dłużej; bałem się, że mi się stanie tak jak memu koledze, którego wypędzono z hotelu”.

Nie przez złośliwość się uśmiechał, ale przez nieśmiałość. Myślał, że zmniejszy wagę swojej winy, obracając ją w żart. Tak samo, kiedy mówił: „*Pan wie*, że panienki nie znalazłem”, to nie dlatego aby sądził w istocie że ja to wiem. Przeciwnie, był pewny że nie wiem, a zwłaszcza bał się mnie. Toteż powiadał „pan wie”, aby sobie samemu oszczędzić wzruszeń, jakie przeżywał, wymawiając słowa mające mnie o tem powiadomić. Nie powinno się nigdy wściekać na tych, którzy, przyłapani przez nas na błędzie, zaczynają się podśmiewać. Nie robią tego dlatego aby sobie drwili, ale drżą że możemy być niezadowoleni. Bądźmy bardzo miłośni, bądźmy bardzo łagodni dla tych co się śmieją. Zmieszanie lift-boya, podobne do prawdziwego ataku, spowodowało u niego nie tylko apoplektyczną czerwoność, ale zmianę języka, który nagle stał się gminny. W końcu wytłumaczył mi, że Albertyny niema w Egreville, że miała wrócić dopiero o dziewiątej, i że jeżeli czasem — chciał powiedzieć „przypadkiem” — wróciłaby wcześniej, powtórzonoby jej zlecenie i w każdym razie byłaby u mnie przed pierwszą w nocy.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sodoma-i-gomora-czesc-druga-tom-pierwszy>

Tekst opracowany na podstawie: Marcel Proust, *W poszukiwaniu straconego czasu, Sodoma i Gomora, część druga, tom pierwszy*, Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1939.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Katarzyna Tomczak-Tomaszewska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0707-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).